

Izabela Szolc

Lęk Wysokości

Zysk i S-ka Wydawnictwo

Pozostańcie, o anioły, pozostańcie przy mnie!

Prowadźcie mnie z obu stron,

by się moja noga nie poślizgnęła.

z kantaty Jana Sebastiana Bacha do św. Michała

In paradisum deducant te angeli {Niech aniołowie zawiodą cię do raję} — antyfona benedyktyńska

Dla moich Przyjaciół

Właśnie tego u facetów nie znoszę, tego bezczelnego gapienia się na kobiety, na przykład teraz, na mnie. I chłopięcego udawania, że nic takiego się nie dzieje. Ten gość — wciąż na mnie patrzy, i to jak! Nawet mięsień mu nie drgnie na twarzy, nic, niczym słup soli. A ja? Jakby mnie ktoś podszewką wy wrócił na zewnątrz. Faceci! Niby nie ich wina, w końcu urodzili się chłopcami. I chłopcami pozostaną do końca życia. Gdyby się zastanowić, to ten tam, co utkwiał we mnie wzrok, jest podwójnie niewinny. Przecież nie musiałam na linii tego wzroku stawać. On zaś nie ma wyboŗru. Jest zwykłą kamienną rzeźbą. Razem z kolegą podtrzymuje sklepienie bramy sądu. Chyba nie Ostatecznego... Są półnadzy, całkiem ładny tors ma ten „mój” — przynajmniej jak na mężczyźnę z kamienia. Takie marnotrawstwo... Jestem smutna.

— Julia!!! — wrzeszcza na mnie jednocześnie: moja przyjaciółka i... on.

Odwracam się.

— To chyba koniec — mówię.

— Koniec — potwierdza Iwona. Błyskawicznie chwyta mnie za łokieć i podtrzymuje, jakbym miała zemdleć albo dostać napa-

du szafu. — Jestem przy tobie. — Deklaracja mojej przyjaciółki sprawia, że nie tonę w chaosie życia.

— Taaa — mamrocze Michał, przestępując z palców na pięty w tych swoich snobistycznych lakierkach, które powinny go ob-

7

cierać do żywej krwi. Ale założę się, że nie obcierają. Wie, za co płaci. Wszystko w najlepszym stylu, cholera... Zaczynam się kurczyć ze wstydu, poczynając od białych czubków swoich trampek.

— Trzymaj, kurna, fason — Iwona syczy mi do ucha.

Chwytam ją jeszcze mocniej: kobieta bluszcz.

— Pomyślałem sobie... Może pójdziemy na, hm, pożegnalną kawę?

A niech mnie diabli!

— Właśnie się rozwiedliście, a teraz chcesz iść z nią na kawę?! — moja podpora aż się jąka ze zdenerwowania, co u reporterki radiowej wysyłanej jedynie do kontrowersyjnych spraw („Na cepy ją" albo „Janie, spuść psy") może dziwić. — Na razie

— warczy, choć wyraźnie widzę, jak jej czerwone usteczka układają się w smakowite „won", a piegowaty nos pod czarnymi okularami marszczy się z oburzenia.

— Idziemy. — Kiwam głową. — Pa, Michał.

On macha do mnie ręką. Niepewnie. A potem wzrusza ramionami. Koniec. Sama się dziwię...

Wpół do dziesiątej rano; bodajże pierwszy dzień jesieni, a już zimno i zaczyna padać... Nerwowo poprawiam apaszkę w rybki.

— Nie pasowaliście do siebie. — Ciągnie mnie na drugą

stronę ulicy do otwierającej swe podwoje kawiarenki. — Ty Pan-
na, on Ryby... — Coś tam dalej mamrocze. — Przecież ty, Julia,
nie lubisz wody!

Rzeczywiście, nawet pływać nie umiem. Mościmy się przy pustym stoliku
przylegającym blatem do okna.

— Ty widzisz i jesteś widziana! — wykrzykuje radośnie

Iwona. Znak zodiaku: Skorpion.

Kokosimy się wokół yuppie, którzy z knajpy zrobili sobie przystanek przed pracą. To
taka nowa, świecka tradycja — After World Trade Center.

— „Kto wcześniej się z łóżka zbiera, ten wcześniej umiera”.

— Okropnie to zabrzmiało. Ale życie toczy się dalej...

— Dziękuję, że przyszedłś.

— Nie ma sprawy. — Iwonie podskakuje ruda jak wiewiór-
cza kita.

Kelnerka aż cofnęła się z wrażenia.

— Dla mnie czarną, dla koleżanki z podwójną śmietanką
i potrójnym cukrem. Właśnie się rozwiodła!

— Gratuluję — mówi kelnerka takim tonem, jakbym uro-
dziła pięcioraczki, pozostając panną.

;, Wredziocha!

— Iwona, może załóż jednak te okulary.

— Niezłe, co? — Aż się odwraca, żeby w pełni pokazać mi
dwa śliwkowe lima. Dziwne, że w sądzie nie zabrali jej na ob-
dukcję.

— Myślę, że powinnaś dać sobie spokój.

- Kawa dla pani... — wtrąca kelnerka.
- No coś ty! On mnie kocha!
- Jesteś walnięta!
- Rany. — Chichocze. — W pracy to i tak nie przeszkadza.
- Dotyka powiek. — A jego żona już prawie spasowała...
- Właśnie widzę. — Oparzyłam się w język.

Iwona zakochała się w starszym od siebie, żonatym nauczycielu fizyki jej siostrzenicy (poziom: gimnazjum, chyba). Właściwie to ten Jędrzek też ją chyba kocha, ale zgoła mniej pozytywne wibracje powoduje ów cudzołożny związek w Jędrkowej połowicy (pani profesor — chemia — poziom: uniwersytet — dwójka dzieci). Przedwczoraj czekała na Iwonę przed studio i oblała ją parasolką.

- Też miałam parasolkę! Mówię ci, pojedynek jak w debiu—
cie Ridleya Scotta. Był w „Ale kino” ostatnio.

U Scotta? Raczej u Dumasa! „Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego”.

- Boli?
- Trochę. Miałam kapelusz, co osłabiło uderzenia.

Witamy w Ascot.

- Nie boisz się?
- A ty, Julia? Nie boisz się?

- Jak cholera.
- A widzisz... W gruncie rzeczy jednak nie jesteśmy same...

Wiem, już czuję to muśnięcie anielskich skrzydeł.

- Aha! Mam coś dla ciebie, na nową drogę życia. — Podaje mi reklamówkę, którą dzierży od początku spotkania.
- Co to?

— Furba. No wiesz, takie zwierzątko. Elektroniczne. Nawet gada po furbiańsku, a nie trzeba z nim wychodzić na spacer. Sam zysk.

Grzebię w torbie, bo więcej tam pudełek.

— Co?! „Penetracje analne”?!

— Eee... Pokaż. Dawaj! — Wyrzywa mi kasetę i groźnie mruczy coś do siebie. — Tam jest jeszcze jedna...

— „Studniówka”?

— Ta jest dla ciebie. Na te dni, na które... — Krzywi się radośnie. — No wiesz, nachodzi cię!

— A tamta?

Chowa ją za plecami.

— Były w komplecie, słowo harcerza!

Kawa już prawie dopita.

— „Studniówka”, co? — Kiedy to było, a właściwie „tamto”?

— Julia, ile ty właściwie masz lat?

— Dwadzieścia pięć.

— Aha.

— Dużo?

— Co ty, całe życie przed tobą.

— A ty?

— Kupujesz mi prezenty na urodziny, to chyba wiesz... —

Oburza się.

— Ale chcę to usłyszeć z twoich ust. Jak ty przed chwilą.

— TRZYDZIEŚCI!

Czapki z głów.

— I NIGDY JESZCZE NIE WYSZŁAM ZA MAŻ!

Już wiem, dlaczego huragany mają żeńskie imiona, na przykład Iwona albo Julia.

10

*

Przyszłam z Furbą do domu. Mało nowocześnie sobie mieszkam

— tak przynajmniej uważam. Żadnych jasnych, brudzących się

obić (i żadnych foteli w ogóle), szkła czy metalu. Mieszkam

„mięciutko”: poduszkowo-pluszowo-drewniano. Na dziewiątym

piętrze — widok mam piękny, prawie panorama miasta, a cała

dzielnica (co prawda nie najlepsza) jak na dłoni. Tak przynaj-

mniej mówią mi znajomi. Ja mam lęk wysokości, więc jak trzeba

na balkon, to tylko na czworakach. Zaciskam zęby, patrzę na

własne kolana i głęboko oddycham, by nie wymiotować. W su-

mie taka panorama to też kłopot... Kosztuje zdrowie i pieniądze

— muszę zatrudniać (tylko od święta — im mniej widać przez

matowy brud, tym lepiej) Panią Do Mycia Okien. W ramach pro-

mocji pozostałe kąty mam również przejrzane i dowiaduję się, co

ojciec Rydzyk mówił ostatnio w swoim eterze.

Żeby dostać się na to mieszkaniowe K2, potrzebna jest win-da. A ta niekiedy się psuje — wówczas chudnę. Nie, żebym była przesadnie gruba... No dobrze, nie jestem też szczupła. Przy-najmniej od czasu do czasu... Nie. Zbyt często, cholera, zwłaszcza przy wzroście stu sześćdziesięciu centymetrów. Właściwie to stu

pięćdziesięciu dziewięciu, ale troszeczkę się zawyżam; raz w urzędzie napisałam całą prawdę i teraz mam w dowodzie „ni-ska”. Straszna skaza, a przy okazji znak szczególnie... Powinna zostać projektantką mody, one zawsze takie małe przy swoich modelkach, a nikt się z nich nie śmieje. Jak ostatnio byłam na urodzinach u mojej siostry, to jej klasa przez nieuwagę o mały włos mnie nie zdeptała. „Tu jest jakaś kobieta! Dzień dobry pani”. Ha, ha...

Raz winda zepsuła się ze mną w środku — zupełnie pecho-wo. Dodam, że oprócz lęku wysokości oraz wzrostu siedzące-go doga arlekina mam też klaustrofobię. Marzę, że z tej przy-krej przypadłości mógłby mnie wyleczyć na przykład namiętny seks w stojącej między piętami windzie. Niestety, ten pierwszy (i miejmy nadzieję ostatni) raz zatrzasnęłam się zupełnie sama. Boże, jak ja wrzeszczałam. Krzyczałam i czekałam. Długo —

11

w moim bloku panowała znieczulica, odkąd lokatorka z dzie-wiątego piętra urodziła syna...

— Ten to ma płuca! — stwierdziła przygłucha, osiemdzie-sięcioletnia sąsiadka, kiedy przywieźli dziecko z kliniki.

Mały jak nic zostanie śpiewakiem operowym albo kibolem — żyć nam nie daje. Słysząc go, kiedy wyjeżdża w wózek. Gdy jego matka otwiera pierwsze z podwójnych drzwi, potem drugie... Flaki się wykręcają, kiedy wózek wyjeżdża na korytarz. Słonie w Zanzibarze i morsy na Arktyce mdleją, kiedy mały je-dzie windą. Nie przestaje się drzeć, pokonując schody ostatniego półpiętra. Krzyczy, gdy wyjeżdża na dwór, a wrzask odbija się echem od kubików innych bloków. Później krzyk zanika, ginie za następnym skrzyżowaniem. Chłopiec codziennie spaceruje do parku. To bardzo zdrowe dziecko, dotlenione. Jakiś czas póź-niej wszystko wraca. Najpierw krzyk. Dalej krzyk i nasza ulica, krzyk i nasze podwórko, krzyk, wózek i stopnie, krzyk, wózek i winda. Krzyk, wózek i moje piętro. Krzyk, wózek i zgrzyt otwieranych, a potem zamykanych drzwi — pierwszych i dru-gich. Ten przeraźliwy, niemowlęcy wizg jeszcze długo dźwięczy nam w uszach — jakby matrycą odbił się na mózgu.

W dodatku ja nawet nie lubię matki Walusia.

O wilku mowa. Spoglądałam na nią nerwowo, za nerwowo: i ona już wie.

- Dzień dobry, pani Julio. Byłam na zakupach...
- Brzydka pogoda.
- Nie sędzę. Z synem już spacerowałam. Dzieci trzeba har-
- tować. — Dzięki ci, Boże, że tym razem ta opera mnie ominęła.
- A Pani? Wydawało mi się, że rankiem pani lubi pospać... —
- 1 pomyślelibyście, że ona jest w moim wieku? Żmija.
- Takie tam „sprawy rodzinne” — nerwowo się uśmiecham.
- To pani ma rodzinę? — dziwi się.
- Cóż, nie widać czasami...?
- Istotnie, nie widać. A ostatnio to już w ogóle.

12

Winda wreszcie przyjechała. Ciekawe, czy morderstwo również potrafiłoby wyleczyć z klaustrofobii.

- Boże, ale tu śmierdzi tymi papierosami.

Obwąchuję się dyskretnie, acz nerwowo: nic. Jak zwykle zre-szta. Choć jestem ekspalaczem („Nie będę się całował z popiel-nicą”, mawiał Michał), wciąż mam kompleks, że śmierdzą niko-tyną.

O kurna, Furba zaczęła mi się szamotać w torbie.

- Co tam pani ma? Zwierzątko?

Pokazuję.

Sąsiadka spogląda wymownie na mój brzuch.

- A nie, nie... Nic podobnego. To po prostu prezent.

— Ciekawa rzecz. Ale Walusiowi pozwolę się bawić tylko zabawkami ekologicznymi. W dzisiejszych czasach...

Pomyśleć, że trochę inni rodzice, inne geny i też taka mogłam być. Ekologiczna! Ech, życie.

— Swoją drogą, pani mąż pożyczył ode mnie taką ręczną wiertarkę. Na korbkę...

Ciekawe, po co mu była? Nie potrafił nawet wkręcić żarówki!

— Tak, wiem. Mam jednak obawy, że z Michałem to się długo nie zobaczę.

— Aha... — Współczująco się krzywi.

Mnie zastanawia jedno: nie brałam udziału w Big Brotherze, nie jestem gwiazdą filmową ani nawet posłanką. Zawsze uważałam się za odludka, a cały blok wie, jakie życie prowadzę. W dodatku dokonuje jego analizy szybciej i dokładniej niż ja sama.

— Mieszkanie zostało przy mnie. Michał wziął tylko samochód, pamięta pani? Taki zielony fiat — mówię. — Wziął też chyba ekologiczną wiertarkę. Musi zbudować nowy dom.

— To może mogłaby pani...

Jasne.

— Do widzenia. Przepraszam, ale strasznie się spieszę. —

Dobrze, że klucze miałam na wierzchu.

JULIA WRACA DO DOMU.

13

*

Napcham się — jajecznicą z trzech niedoszłych kurczaków, dwie bułki z marmoladą śliwkową, paczka plasterkowanego sera, pół kalafiora (niewyrośnięty jakiś), odtłuszczony jogurt, kilka sojowych kiełbasek (takie maleństwa, że aż wstyd liczyć). Podobno obżarstwo znamionuje głód uczuć; muszę więc być chorobliwie głodna albo łakoma. Czy to pocieszające, że mogę być łakoma?

Klucz zazgrzytał w zamku.

— Michał?!

— To ja. Cześć, siostra. — Aśka stoi w miejscu i ani się nie wita, ani nic.

— Co jest? — Przy niej mogę sobie pozwolić na językową niedbałość.

— Ja tylko patrzę.

— Widzę.

— To już?

— Tak.

— Wcale inaczej nie wyglądasz.

— A powinnam?

— Powinnaś świecić „wewnętrznym światłem” — mówi z przekonaniem.

— Jakbym była święta. Ja się tylko rozwiodłam. — Ile razy jeszcze to powtórzę?

— To może ty masz na odwrót...

— Zapewne.

— Na pewno już?

Kiwam głową.

— I jest OK?

— W porządku.

— To dobrze! — Siostrzyczka podbiega do mnie i wreszcie się przytula. — Chciał ze mną pogadać w jakiejś knajpie.

— Podnosi głowę, mało nie wybiwszy mi zębów. — Ale nie poszłam!

Wykonuję nieokreślony gest wdzięczności. Aśka macha ręką i rusza do kuchni.

14

— O, była Iwona — zaczyna grzebać w moich spożywczych półproduktach. — Głodna jestem. I muszę cię chronić przed bulimią.

— Świetnie.

— A, mama przysłała ci ciasto. — Wyjmuje bezkształtną bryłę z plecaka i kładzie ją na blacie.

— Przecież nie umie piec?!

— Kupiła. Pomyślała, że jest okazja.

— Bardzo się martwi?

Aśka wzrusza ramionami.

— Normalnie.

— Też mam coś dla ciebie. Leć do mojego biurka, jest w górnej szufladzie.

Rzeczywiście pobiegła.

— Britney Spears?!

— Myślałam, że ją lubicie. Wy...

— Siostra, nie mam słabości do młodych kobiet, które potrafią zakładać nogi za ramiona.

— Zrozumiałam.

— Wiesz, że podobno ona jest jeszcze dziewicą?

— No to jej sprawność fizyczna się marnuje.

Chichoczemy.

Spaliłam jajka. Nieumiejętność gotowania odziedziczyłam po rodzinie.

— Więc czego wy słuchacie? — Ciekawa jestem, naprawdę.

Niby siostra, a znam ją tyle co przypadkowego Marsjanina.

— Madonny, na przykład.

— Like a Yirgin?

— Julia, czy ty masz jakąś obsesję? Ostatecznie seks to nie wszystko.

— Ej, wsuwaj tego kalafiora!

„HEJ MISTER D.J. * PUT A RECORD ON * I WANNA DANCE WITH MY BABY * AND WHEN THE MUSIC STARS * I NEVER WANNA STOP * IT'S GONNA DRI-

15

VE ME CRAZY * MUSIC * MUSIC MAKES THE PEOPLE COME TOGETHER * MUSIC MAKES THE BURGEOISIE AND THE REBEL..." Nic dodać, nic ująć.

— Dobra, na przyszłość będę pamiętać: nie Britney, lecz

Madonna...

— Julia, liczy się doświadczenie, siła przebicia, nie samo na-
ście lat.

— Aśka, chorujesz ostatnio?

— Dbam o siebie. Zieloną herbatę poproszę. — Drapie się po brodzie. — W zasadzie to mama prosi cię o przysługę.

— Za jedno ciasto?

— Magda Politańska wychodzi za mąż...

— Kto?

— Córka jakichś znajomych rodziców. Podobno nawet się

znacie... Więc rodzina Walewskich wybrała cię na swojego przedstawiciela.

— Chyba żartujesz?

— Julka, proszę! Rodzice mają ciche dni, przez co są wybitnie nietowarzyscy, ja mam randkę, a do kościoła ktoś musi iść! Wiem, że w twojej sytuacji ta prośba brzmi wyjątkowo paranoicznie, ale...

— Nie.

— Ech, moi kumple z klasy mawiają, że z rozwódką nigdy by się nie spotykali, bo to towar felerny, zgorzkniały i nieużyty.

Felerny, tak? Nieużyty? Niech ich cholera jasna. Dobra, pójdę na ten ślub — może kogoś na nim poznam (byle nie pana młodego: ci należą do Iwony). Nie bez znaczenia jest też satysfakcja, że ja będę tą jedyną, która wie, jak to całe małżeństwo się skończy. Aha!

Ślub! Po co w ogóle to komu! Żeby to zrobić? Niemożliwe. Po co na nich bywać?! Taki stres! I wszyscy drapieźnie czekają — niczym mentalne sępy — aby w końcu ktoś wszedł i powiedział, dlaczego ta para nie może się pobrać.

16

„Bo pan młody kocha mnie!”

„Bo on nie jest rozwiedziony!”

„Bo świat się kończy!”

Oczywiście musiałam się na ten ślub spóźnić. Nie dość, że taksówka nie dojechała na czas, wcześniej zapanowała paniko-klęska ubraniowa. Po pierwsze: nie mam czystych majtek. Majtki to fundament kobiety. Jeśli nie włożę majtek, to nie mogę też włożyć cienkich pończoch. Zamierzałam iść w kostiumie, a przeproszę bardzo, ale Sharon Stone nie jestem. Gdybym źle usiadła, umarłabym ze wstydu... Skoro nie majtki i nie pończochy, to rajstopy, i to te grube. Z rodzaju tych „bezpiecznych”. Dalej stanik z poduszkami. To żadna próżność, lecz operacja ratująca życie! I podkoszulek. Cholera, jak nałożę podkoszulek, nie zmieszczę się w żakiet. A jeśli włożę żakiet na gołe ciało, to panna młoda może się na mnie obrazić, że przyciągam

męskie spojrzenia, a przecież to JEJ Dzień Piękności i Zainteresowania. Wiem, co mówię. Kiedyś byłam na ślubie, na którym pojawiła się dziewczyna ubrana w koszulę z siatki. No i nie miała biustonosza. „Kto to jest? Znasz ją?” — wciąż pytano, a panna młoda mdlała w zakrystii (swoją drogą nigdy nie ustalono tożsamości wicherzy-cielki). Kombinuję więc, że raczej włożę bluzkę. Tyle że na bluzkę zakiet nie wejdzie, nie ma co marzyć, a ja zmarznę, bo w końcu to już nie lato... Dobra, włożę zakiet, Magda Politańska to żadna przyjaciółka. I obiecuję, Panie Boże, że nie będę się pochylać przy modlitwie! Przynajmniej w spódnicy się mieszczę. Czy to jakiś znak? Nie tyję w tyłku, tylko w górnej części... Może rzeczywiście powinnam kupować inne staniki? Bardziej miękkie, nie od razu protezę...

Zamówiona taksówka już czeka, a ja nawet nie zaczęłam się malować!

Panika!!!

Kiedy w końcu wysiadam o dziwo, od razu pod właściwym kościołem!) obok, z białej półciężarówki (jeśli coś jest dłu-

17

gie, a niewysokie, to czy można to nazwać półciężarówką? Ja się nie znam, kobietą jestem) wyskakuje panna młoda. Też się spóźniła.

— Powiedz, że zamknęłaś się w windzie — radzę i już mnie tam nie ma.

Jej ojciec, pan Politański, musiał bardzo zmarznąć, bo tak pociąga nosem. Pani Politańska siedzi w fantazyjnie wielkim kapeluszu i peroruje, „że tylko matka zrozumie córkę, ale tego wyboru nie rozumie. Chyba że się lubi pieniądze. Przecież oni bardziej wyglądają na rodzeństwo niż, niż...” (w miejsce kropek wyraz, który żadnej matce nigdy nie przejdzie przez gardło).

Zamiast stanąć gdzieś pod kościelnym filarem i umrzeć z niedopływu krwi do spuchniętych nóg wbitych w ośmiocentymetro-we szpilki, przepycham się przez tłum i depcząc innych nie-szczęśników, rozsiadam się w kościelnej ławie. Ława okazuje się stać zbyt blisko ołtarza, w związku z czym jest za głośno. Na dodatek zapach kwiatów aż kreci w nosie, a obok siedzą dwie wszystko muszące widzieć i wiedzieć plotkary. Akurat wchodzi panna młoda wdzięcznie prowadzona przez papę, więc Plotkara 1 zaczyna:

— Słyszała pani...

— Co? — pyta Plotkara 2.

— Że chciał ją zostawić!

— Przed ołtarzem?! — Plotkara 2 aż strzyże uszami, a za-
różowiona panna młoda płynie ku panu młodemu.

— Przed ślubem.

— Och!

— Tak, tak. Podobno nie był pewien, czy ona nada się na
matkę jego dzieci.

— Co pani powie...

— Więc mu powiedziała, że zawiadomiła już cały swój wy-
dział. I że raczej się zabije, a tego nie odwoła... Studiuje historię
sztuki, a tam sama pani wie, krytycy.

Ojciec zdołał właśnie przekazać córkę w ręce oblubieńca i śmignąć gdzieś w bok.
Młodzi uklękli.

18

On jest wysoki i chudy. Łysieje. Denerwuje się chyba, bo krople potu perlą się na
jego czole. Ona jest ruda, trochę przypo-
mina Iwonę...

— .Czy ty, Piotrze Aleksandrze Henryku... — zaczyna ksiądz.

Panowała już względna cisza, ale wszyscy milkną, gdy ko-
ścielne drzwi otwierają się
ze skrzypem godnym horroru klasy B. Wchodzi młody mężczyzna. Wyciągamy
głowy, aby go lepiej obejrzyć — jest okazja, bo on sunie pewnie środkiem nawy,
pro-
sto do ołtarza. Kie lichy? Były narzeczony? Więc jednak skan-
dal? „Skandal”
jest przystojny, czarny i kędzierzawy. Założę się, że ma błękitne oczy, a jego
aksamitny garnitur jest z nie byle ja-
kiego „second handu”. Paryskiego pewnie albo
londyńskiego, któż to może wiedzieć...

— Cześć — odzywa się Mroczny Przybysz; trochę do nas,
gości, trochę do przyszłego małżeństwa. Stuka w ramię pana

młodego, który wyraźnie kontempluje swoje splecione modli-
teownie palce. — Przepraszam, spóźniłem się.

Cisza. Tylko ona potrafi tak głośno dźwięczeć w uszach.

— Ale już jestem. Usiądę sobie.

I siada. Zgadnijcie gdzie? Obok mnie!

Dostaję się pod taki ostrzał numerów 1 i 2, że już po minucie palą mnie uszy. O, Mroczny Przybysz bardzo ładnie pachnie. Ciekawa jestem, czy odczuwanie takiego dziwnego mrowienia w kościele to grzech?

Ślub i msza w intencji nowej drogi życia tych dwojga toczą się dalej..

— Przekażcie sobie znak pokoju — mówi kapłan.

Przekazujemy sobie, proszę bardzo. Na przykład Mroczny

Przybysz przekazuje go mnie (tak przy okazji, miałam rację — ma kobaltowe oczy. Kobaltowe jak jasna cholera). Później Mroczny Przybysz przekazuje znak pokoju tym plotkarom. I ja robię to samo: przekazuję im. Pełna kultura. Chwilę potem Mroczny Przybysz wstaje i tym swoim pewnym krokiem rodzącym się gdzieś w pierwotnym napięciu pośladków idzie pod ołtarz. Tym razem w ogóle zlewa państwa młodych.

19

— Przekazuję ojcu znak pokoju! — rzece Mroczny, przy-
trzymując proboszcza za ornat.

Proboszcz wygląda jak były bokser: widać, że miał niegdyś złamany nos — męczennik za wiarę albo ofiara stromych scho-
dów w seminarium duchownym. Proboszcz zna Magdę od dzie-
ciństwa. Pewnie ją nawet chrzczył, a teraz ktoś próbuje jego para-
fiance skopać ten najważniejszy dzień w życiu.

— Znak pokoju! — Mroczny jest natarczywy. Macho, albo
też męczennik.

Panna Młoda zbladła jak śmierć. Proboszcz przeciwnie, zro-
bił się czerwony. Jednak ona nie mdleje, a on bierze głęboki od-
dech:

— Idź w pokoju i zejdź mi z oczu!

Bardzo zadowolony Mroczny odchodzi.

Ulżyło mi, ale nie do końca. W zasadzie serce bije jak młot... Cholera, chyba się zakochałam. Już? Przecież dopiero co przeprowadziłam rozwód!

Na wesele zawiozła mnie jakaś babka. Nomen omen, znowu ruda. To znaczy Ruda. Jestem pod kościołem i miotam się nie-zdecydowanie (to znaczy miotanie jest najzupełniej zamierzone, ale Mrocznego nie widzę), gdy przystaje przy mnie samochód. W nim baba w moim wieku.

— Wskakujesz?

— Dokąd?

— Do domu weselnego.

W zasadzie nie powinnam, nic takiego jak „wesele” nie go-ściło na moim zaproszeniu. Ale może ktoś nie dojedzie, może się nie poznają. Podam się za ciotkę z Ameryki (z ciotkami w USA mam doświadczenie) albo zełgam coś innego... No bo jeśli on tam będzie, a mnie nie będzie, to co? Głośno trzaskam drzwiami.

— Podobało ci się? — pytam.

— Ślub jak ślub. Ale ten gość był śmieszny...

Spoglądam koso, ale ona śmieje się ze mnie.

— Jestem Ruda...

20

— Julia.

— Tacy mnie nie ruszają. Zresztą mam romans.

— Z kim? — Nawet mnie zaciekała.

— Dziecko jesteś, a tak staro wyglądasz! — Z radości uderza pięściami w kierownicę. Trochę nas rzuca. Ruda ma twarz starej Indianki. — Jak to z kim?! Z panem młodym, rzecz jasna!

Poznaliśmy się w górach. Chciał zostać ratownikiem. Ale to

w końcu ja go ratuję, bo Magda z nim tylko raz na dwa tygodnie. Rozumiesz...

Mruczę potakująco, bo w końcu ona prowadzi.

— I pozwoliłam mu się ożenić... Tolerancyjna jestem.

Stajemy pod domem weselnym.

— Wyskakuj!

— A ty nie idziesz?

— Nawet tolerancja ma swoje granice.

Prawda.

Śmierdzi jak zwykle bigosem, galaretką i tanimi perfumami. Ni-gdzie nie widać Mrocznego. Wypijam dla kurażu coś, co mi po-daje kręcący się wszędzie kelner.

Świeżo upieczona żona zdjęła buty pod stołem, a jakiś młody człowiek siedzący naprzeciwko pozwolił jej położyć nogi na swoich kolanach. Pan młody już się zdążył wciąć (słaba głowa, duży stres) i opowiada dowcipy:

— Co to jest? Małe, zielone i pachnie świnką?

Nikt nie wie.

— Palec Kermita.

Faceci. Są zupełnie jak dzieci...

Widzę go! Jest Mroczny! A obok niego jakaś blondynka. Przy kości, nawet bardziej ode mnie. Prawie kładzie się na Mrocznego swoim wielkim biustem. I tak jakoś się potyka do przodu. To chyba przez ten jej zez.

— Milena jestem — przedstawia się Przybyszowi. — Jestem socjologiem. W dzieciństwie ojciec porzucił mnie i brata, dlate-

21

— Przekazuję ojcu znak pokoju! — rzecze Mroczny, przy-trzymując proboszcza za ornat.

Proboszcz wygląda jak były bokser: widać, że miał niegdyś złamany nos — męczennik za wiarę albo ofiara stromych schodów w seminarium duchownym. Proboszcz zna Magdę od dzieciństwa. Pewnie ją nawet chrzczył, a teraz ktoś próbuje jego parafiance skopać ten najważniejszy dzień w życiu.

— Znak pokoju! — Mroczny jest natarczywy. Macho, albo też męczennik.

Panna Młoda zbladła jak śmierć. Proboszcz przeciwnie, zrobił się czerwony. Jednak ona nie mdleje, a on bierze głęboki oddech:

— Idź w pokoju i zejź mi z oczu!

Bardzo zadowolony Mroczny odchodzi.

Ulżyło mi, ale nie do końca. W zasadzie serce bije jak młot... Cholera, chyba się zakochałam. Już? Przecież dopiero co przeprowadziłam rozwód!

Na wesele zawiozła mnie jakaś babka. Nomen omen, znowu ruda. To znaczy Ruda. Jestem pod kościołem i miotam się niezdecydowanie (to znaczy miotanie jest najzupełniej zamierzone, ale Mrocznego nie widzę), gdy przystaje przy mnie samochód. W nim baba w moim wieku.

— Wskakujesz?

— Dokąd?

— Do domu weselnego.

W zasadzie nie powinnam, nic takiego jak „wesele” nie gościło na moim zaproszeniu. Ale może ktoś nie dojedzie, może się nie poznają. Podam się za ciotkę z Ameryki (z ciotkami w USA mam doświadczenie) albo zełgam coś innego... No bo jeśli on tam będzie, a mnie nie będzie, to co? Głośno trzaskam drzwiami.

— Podobało ci się? — pytam.

— Ślub jak ślub. Ale ten gość był śmieszny...

Spoglądam koso, ale ona śmieje się ze mnie.

— Jestem Ruda...

— Julia.

— Tacy mnie nie ruszają. Zresztą mam romans.

— Z kim? — Nawet mnie zaciekała.

— Dziecko jesteś, a tak staro wyglądasz! — Z radości uderza pięściami w kierownicę. Trochę nas rzuca. Ruda ma twarz starej Indianki. — Jak to z kim?! Z panem młodym, rzecz jasna! Poznaliśmy się w górach. Chciał zostać ratownikiem. Ale to w końcu ja go ratuję, bo Magda z nim tylko raz na dwa tygodnie. Rozumiesz...

Mruczę potakująco, bo w końcu ona prowadzi.

— I pozwoliłam mu się ożenić... Tolerancyjna jestem.

Stajemy pod domem weselnym.

— Wyskakuj!

— A ty nie idziesz?

— Nawet tolerancja ma swoje granice.

Prawda.

Śmierdzi jak zwykle bigosem, galaretką i tanimi perfumami. Nigdzie nie widać Mrocznego. Wypijam dla kurażu coś, co mi podaje kręcący się wszędzie kelner.

Świeżo upieczona żona zdjęła buty pod stołem, a jakiś młody człowiek siedzący naprzeciwko pozwolił jej położyć nogi na swoich kolanach. Pan młody już się zdążył wciąć (słaba głowa, duży stres) i opowiada dowcipy:

— Co to jest? Małe, zielone i pachnie świnką?

Nikt nie wie.

— Palec Kermita.

Faceci. Są zupełnie jak dzieci...

Widzę go! Jest Mroczny! A obok niego jakaś blondynka. Przy kości, nawet bardziej ode mnie. Prawie kładzie się na Mrocznego swoim wielkim biustem. I tak jakoś się

potyka do przodu. To chyba przez ten jej zez.

— Milena jestem — przedstawia się Przybyszowi. — Jestem socjologiem. W dzieciństwie ojciec porzucił mnie i brata, dlate-

21

go nie wierzę w związki, ale jeśli jesteś z kimś związany, spławiemy ją socjotechnik...

Uwaga, uwaga! Trzeba interweniować! Sio! Cholera, ten numer na tatusia, trzeba jej przyznać...

— Przekażemy sobie znak pokoju? — Wyrastam pomiędzy nimi i bezczelnie łapię go pod ramię. Co mnie napadło?!

— Zawsze musisz dostać to, co chcesz? — zapytała mnie później Milena.

— Zawsze — stwierdziłam, choć nie jestem do końca taka pewna.

Facet w ogóle mnie nie podrywa. Od czasu do czasu powie coś niezobowiązującego albo coś, czego nie rozumiem. Tymczasem ja opowiedziałam mu już ze dwadzieścia lat życia. Z drugiej strony jakaś część mnie czuje, że gość o mnie myśli. Postanawiam zaryzykować.

— Chodź.

— A co teraz będzie?

— Oczepiny.

— Co?

— Nudno będzie.

— Słucham?

— Tutaj będzie nudno.

„U siebie w domu, głuptasie, pokażę ci bramy raj” — oczywiście gryzę się w język. Muszę się zdystansować. I wtedy pisze jego komórka. Dostał SMS-a.

— Żona? — szczebioczę zaniepokojona.

— Mama. Przypomina, żebym wcześniej położył się spać, bo ostatnio mizernie wyglądam.

Wcześniej? Kochanie, przy mnie położysz się nad ranem.

SMS od taty: „Fajnie, że się rozwiodłaś, a jak tam ślub? Twój eks nie oddał mi miota udarowego. Papa”. SMS od mamy: „Kochanie, pamiętaj, co alkohol czyni z kobietą”. Podpisane: Walewska.

22

SMS od siostry: „Sa tam jakieś spódniczki? Szkockie rzecz jasna — A”.

Rany boskie! Przyprowadziłam do domu mężczyznę. Nie męża, mężczyznę! W mieszkaniu puszczam go na żywioł, a on zaczyna przeglądać kąty. Tu zajrzy, tam pogrzebie. Moja kolekcja porcelanowych żab obchodzi go bardziej ode mnie... Chociaż może właśnie taki jest jego sposób, może się zwyczajnie denerwuje? Ja, „kobieta z przeszłością”, jestem zdenerwowana, a co dopiero taki nieusidlony dotąd motyl (skąd wiem? Instynkt, no i gość nie jest zmanierowany). A jeśli u niego to jest taka gra wstępna? Nim dotknie mnie, dotknie żabkę...

— Chcesz kawy? — Pragnę być dobrą gospodynią.

— Nie, po niej nie mogę spać.

Szlag! On chce spać! O nie! Znalazł fotografię mojej...

— To nie ty? — Spogląda to na mnie, to na zdjęcie. Jakby się upewniał.

— To macocha mojego męża. I jego zdjęcie, jest fotografią...
kiem. ..

Kiwa głową.

— W zasadzie to mój były mąż. — Odbieram fotografię i stawiam ją przodem do ściany. — A Megan zawsze miała dobre plecy.

— Australijka?

— Urodziła się w Zakopanem.

— Miała bardzo przewidujących rodziców... No wiesz, to imię.

— A tak. Nie pocałowałbyś mnie...

— Rafał, mam na imię Rafał.

Jęknęłam potwornie.

— Coś nie tak? Możesz mówić do mnie inaczej, jeśli chcesz...

Kurwa, znowu anioł!

— Zawsze zastanawiała mnie płęć aniołów. Myślisz, że to

23

chłopcy czy dziewczynki? Gdyby sprawdzić pod tymi ich su-kienkami ...

Zdębiał, ale tylko na moment. Szybko dochodzi do siebie.

— Myślę, że chłopcy. Duzi chłopcy. — Wreszcie wszedł w rolę mężczyzny zaproszonego do pustego mieszkania świeżo poznanej kobiety. Wolnej i atrakcyjnej (taką mam nadzieję). —

A ty? Dlaczego nie masz tu zdjęcia? Jesteś ładniejsza od tamtej...

Głuptas, ale jaki miły. Nagle ramka z fotografią upada na fo-tel. Zadrżałam.

— Julia?

Rozglądam się nerwowo.

— Ja tylko potrąciłem półkę...

— Na pewno?

— Co na pewno?

- Ty potrafiłeś?
- A któż inny?!
- No to — przelykam ślinę — możemy kontynuować...
- A antykoncepcja?

O la, la.

- Zaliczona.

Nie wiedziałam, że uwielbiam się tarzać z prawie obcymi mężczyznami po dywanie. I że ujdzie mi to na sucho. Taaa, żaden anioł nie wkurza się na grzesznicę.

O rany, odlatuję! Prawie odlatuję, bo jednak nie lubię wysokości. Niech będzie, że kończę na rozbiegu.

- Julia!...

Pamiętał moje imię! Chyba tylko z filmów wiem, że czasem je pamiętają.

Świta.

Z filmów też wiem, że mężczyźni lubią się nasycić i wyjść bez zobowiązań. Co prawda ten wygląda tak, jakby chciał tylko spać, spać, spać. A jakby tak...

- Rafał?
- Słucham, kochanie?
- Ubieraj się.

24

- Dlaczego... — Biedny zaspany łoś.
- Ubieraj się i sio! Idź spać do siebie! Wynocha! — Jak dalej tak dobrze będzie mi szło, to zrzucę go ze schodów.

Rany, skarpetki wkłada już na korytarzu; ciekawe, czy Ekologiczna patrzy? W sumie guzik mnie to obchodzi. Jestem silna.

- Mogę do ciebie zadzwonić?
- Wołaj windę.

— Proszę...

— Jeśli znajdziesz numer w książce telefonicznej. — Przy-
cięłam mu stopę drzwiami windy. — Pa!

— Julia!

Przez rozdzielającą nas szybę pokazuję mu przycisk, który musi wcisnąć.

— Parter — sylabizuję wolno, żeby zrozumiał z ruchu
warg.

Pojechał.

W pełni zaspokojona wracam do mieszkania. Jakie satysfakcjonujące jest
wyrzucenie kochanka nad ranem! Z tym odkryciem moje życie wyraźnie dało krok
do przodu — kino jednak nie kłamie. No i nie jestem już romantyczką.

2

Głowa z cukru

Jak wyszłam za mąż — czy tak jak inne? Nie. Owszem, ja chciałam zrobić to z
miłości, ale powód mojego małżeństwa był tak dziwaczny i pokrecony, że wątpię, iż
ktokolwiek mi uwierzy.

Powodem był anioł i seks.

Jak poznałam Michała? W wiejskich okolicznościach. To znaczy one na początku
były wiejskie, a potem... Miałam dwadzieścia lat, gdy postanowiłam dokonać
czterech reform: wyprowadzić się z domu, zrobić wystawę poza gmachem
macierzystej ASP („nie kłaść własnego gniazda”), pozbyć się dziewictwa (lepiej
późno niż wcale) oraz nauczyć się zasypiać na całej szerokości łóżka, a nie jak
dotąd gnieździć się w jednym rogu. W praktyce udało mi się połączyć punkt
pierwszy z punktem trzecim, przy czym punkt czwarty się zdezaktualizował. Punkt
drugi określił mnie jako artystycznego pariasa. Malowałam cholernie ładne aniołki,
ale pies z kulawą nogą nie pofatygował się na mój wernisaż. Pewnie zawiódł
marketing...

Może nie do końca pies z kulawą nogą, bo przyszedł Michał.

Na pierwszy rzut oka lat dwadzieścia siedem i pół. Przeciw: wąsik. Za: oczy zielone

jak oceany. I w skupieniu ogląda nimi moje obrazy. „Mój ci on!”

— Jesteśmy tu sami? — Gwałtownie obraca się na pięcie.

Wampir czy co?

— Absolutnie. — Nie chciałam pomniejszać katastrofy,

26

wspominając o „animatorce kultury”, która była ze mną tylko po to, by pogasić światła i zamknąć drzwi osiedlowego domu kultury. W dodatku im szybciej, tym lepiej.

— Może bilety były za drogie?

— Nie było biletów. — Twarz zaczyna mnie palić.

— Wiesz, Julia — odczytał moje imię z powielanego na ksero plakatu — wolny wstęp to też nic dobrego.

Z szyi i barków zwiesza mu się kilka aparatów fotograficznych. „Aha, prasa — myślę — niezły kanał”. Mój brak talentu i medialności został zdemaskowany i kto wie, może będzie odnotowany. Król jest nagi.

— Rozesłałaś zaproszenia?

Kiwam głową.

— A te plakaty...

— Rozkleiłam, gdzie się dało... — szepczę. — Jeśli chcesz, możesz zrobić zdjęcie.

Flesz błyska i mnie oślepia.

— Myślałam raczej o obrazach. — Mrugam.

— JWIOŁOWm ZAWKJDA CI% <DO (RJIJD? I tylko tak o nich opowiadasz?

— Wyłącznie — burczę. — Myślałam, że to komercyjny temat.

— Ba, temat ponad inne tematy!

O tak!

— A czy znaczy to także — wiruje po pustej sali jak derwisz

— że zostało dla nas więcej orzeszków i wina?

— Jeśli mamy duże apetyty. — Pociągam nosem. Duży apetyt to powód do smutku.

— Michał jestem. — Wyciąga dłoń. — Jak tamten, o... Archanioł.

— Jeśli państwo już się poznali, to ja chcę zamykać — warchaniolka, która nagle materializuje się tuż za nami.

— Uch, baba cerber... — Drzwi osiedlowego domu kultury zamykają się za nami z głuchym szczeknięciem. — Wygnańcy ze świątyni sztuki!

27

Chichoczemy, choć jest zimno, a listopadowy wiatr rzuca liście pod nogi.

— To udało mi się uratować. — Pod kurtką „Archanioł” ukrył butelkę wina.

Czy wolno latać w stanie nietrzeźwym, bo ja cała fruwać? Nieważne. Pierwszy pocałunek.

Potem romans przerodzi się w komedię, a ta w dramat sądowy „Wyskubać pierzaka”.

Uprawiać seks, robić to, tete-a-tete, kochać się, otwierać wrota tajemniczego ogrodu, łaskotać, wpadać w sidła rozkoszy! Odpowiadać na zew natury, być hiperaktywnym, zachowywać się nieodpowiedzialnie, robić, co kobieta z mężczyzną powinni (nawet według Koheleta — „wszystko jest marność”).

— O, kotek ma pieprzyk na brzuszku!

— Rybeńka nosi śmieszny staniczek!

— Pysiu się ubrudził!

Pocałunki, pieszczoszki, dorosłe zabawy. Zamiast zamknąć oczy i „myśleć o Anglii”, otwieram je szeroko (trochę ze zdu-mienia, trochę z ciekawości) i czekam. Jestem gotowa! Nie na wiele przydała się lektura stojącej u rodziców Sztuki kochania doktor Wisłockiej, gdzie autorka zamiast tradycyjnej gry wstępnej poleca bitwę na poduszki. Cóż, okazało się, że jestem osobą konserwatywną. Żadnych latających jaśków, dajcie mi Michała. Go west young men.

Pierś mi faluje z oczekiwania, a tu nagle jak coś nie huknie! Jakieś błyski, hałas trzepoczących anielskich skrzydeł i głos:

— NI<E CV<DZOŁÓŻI

Potężna siła wynosi Michała z jego własnego łóżka (nie ry-zykowałamby takich zabaw we własnym domu) i rzuca nim o ścianę, jedyną, która dzieli mieszkanie od fotograficznego atelier.

— Kochanie — mój niedoszły kochanek podnosi się ciężko z podłogi — wystarczyło powiedzieć „nie”.

28

A ja już wiedziałam, że z obiektywnych względów nic z tego przed ślubem nie będzie, więc wzięliśmy ślub.

— Wyjdiesz za mnie, misiu patysiu?

— Skoro koteczek tak ładnie prosi...

Pobraliśmy się tak szybko, że ja nie zdążyłam stracić pier-wotnego, erotycznego zapachu, a Michał wciąż krył pod śnieżną koszulą „ścianowe” sińce.

Bardzo przyjemny był ślub mój (Julii Walewskiej) i Michała (Michała Sosiny), taki ślubowaty. Wydawało mi się, że jesteśmy dla gości symbolem... nadziei na przyszłość. W pewnym mo-mencie cukrowemu panu młodemu odpadła głowa i stoczyła się z tortu.

— Zły omen — ktoś postanowił.

A ktoś inny zapytał, ile będziemy mieli dzieci.

— Pięcioro! — ryknęła moja niezastąpiona siostra, a ja obla-

łam się zimnym potem.

Podejrzewam, że zachowałabym się tak samo przy pięcio-krotnie mniejszej liczbie narybku. Brrr. Za to bardzo spodobało się to teściowi (przyjechał na ślub aż z Australii, wraz z trzecią, młodszą o trzydzieści lat żoną). W sumie to dobrze, że coś go udobruchało po drace, jaką zrobił, kiedy się dowiedział, że zostałam przy swoim nazwisku.

— A Sosina to się nie podoba?

— Tato, to artystka. Obrazy sygnuje panieńskim nazwiskiem.

— Phi, Walewska! Żebym ja wam nie powiedział, kim dla areny międzynarodowej jest ta pani Walewska! A Sosina to nazwisko ładne i nie ciągnane po historii!

Uwaga! Rzucam bukiet! — wrzasnęłam.

Wiązanek chwyciła moja matka, co wcale do niej niepodobne.

29

— Zuzanna, oddaj to natychmiast córce! — krzyknął tato.

— Ale to takie ładne kwiaty...

— Ładne, kapuściane. — Moja jedyna babka okazuje się uzależniona od bigosu („najprawdziwszy, szlachecki”), który — choć o tym j jeszcze nic nie wiemy — zaprowadzi ją na tamten świat.

Na koniec Aśka wsadziła druhnie rękę pod sukienkę, aby się upewnić co do preferencji swojej rodzącej się seksualności. Do stała od napastowanej różową torbą. Po głowie, parę razy.

— Czy ty nie widzisz, że to niewinna dziewczeczka? — Miałam leciutko w czubie, więc rzuciłam się siostrze na ratunek. — Chciała tylko zobaczyć, czy duże dziewczynki noszą figi z dnia mi tygodnia. Prawda, Joanno?

Pokręciła głową. Wyrastała ze swojej kolejnej sukienki.

— Jak spoglądam wokół, to widzę, że heteroseksualizm jest przereklamowany, nieuchronnie prowadzi do ślubu, pomyślałam więc sobie...

— Co sobie pomyślałaś?

— Że sprawdzę, czy duże dziewczynki są miłe w dotyku.

— Natychmiast z nią zatańcz! — rozkazałam Michałowi.

— Ale...

— Tańcz! Nie jesteś pryszczaty, nie jesteś bubkiem. Moja siostra musi cię polubić.

— OK. — Wzruszył ramionami.

— Michał! — krzyknęłam za nim.

— Co?

— A nic. Tańcz...

Jakiś czas po ślubie Michał postanawia zrobić mi zdjęcie.

— Jesteś piękna, wiesz?

Teraz już wiem. W sumie życie młodej mężatki jest całkiem absorbujące, a niekiedy bardzo przyjemne!

— Twoja twarz nie jest komercyjna. — Trzyma mnie chwyttem specjalisty za kościsty podbródek. — Ale kto wie? W sumie jest taka Kate Moss.

30

Gdybym zdobyła się na to, by uświadomić mężowi, że nie jestem supermodelką... Ja jednak tylko przybieram wdzięczną pozę i ustawiam się na jasnym tle.

— Z życiem, dziewczyno! Z życiem! Więcej seksu! W lewo!

Dobrze! Dół... Ruszaj się! Ruszaj! Poczekaj, poczekaj! Stój, ro-

bię zdjęcie. Uwaga, ptaszek!

Faceci jednak są śmieszni.

— Zobaczysz, zarobimy mnóstwo kasy.

Nawet w to wierzę.

— Gdzie je wywołasz?

— Tutaj, na początek użyłem czarno-białego filmu.

— Bo jest tańszy — burczę.

— Kochanie, kalendarz Pirellego też jest monochromatyczny.

Pirelli, co? Monochromatyczny, co? Moss, co?

Wypstrykaliśmy z dziesięć filmów.

— Padam z nóg! — protestuję przed jedenastym.

— To poczekaj. — Całuje mnie. — Pójdę do ciemni.

— Idę z tobą.

Cholera, wszędzie bym za nim poszła.

— Poczekaj chociaż, aż wyschną negatywy!

W ciemni ostro pachnie wywoływaczem.

— Nie dotykaj tej kuwety. Utrwalacz plami.

Dobrze. Ustawiam się w kącie jak posłuszna uczennica gimnazjum i czekam. A potem...

— Och, to naprawdę ja?! Nieeemożliwe!

Bo na odbitkach jest po prostu Julia Walewska: z kościstym podbródkiem i odrobinę za szeroko rozstawionymi oczami. Chwała Bogu, że wytrzeszcz przeszedł mi wraz z dojrzewaniem...

— Ładne.

— Hm...

Czyżby spodziewał się czegoś lepszego? Czyżby już mnie nie kochał? Panika!

— Czegoś nie rozumiem... — Marszczy brwi i wpatruje

się w odbitkę jak sroka w gnat. Rany boskie, co jest ze mną nie tak?

31

— Co? — Pochyliam się ku niemu, a serce wali mi z niepokojem.

— Wydawało mi się — sylabizuje — że nikogo oprócz ciebie tam nie było...

Bezrozumnie patrzę mu w oczy.

— Tu! Spójrz na niego...

Rzeczywiście. Za moim prawym ramieniem wywołał się dodatkowo jakiś obcy facet.

— Szlag mnie trafi! Jest na każdym zdjęciu!

— Nie denerwuj się, Michał...

— Nie denerwuj się? Dziesięć filmów do kosza! W dodatku to jakiś przebieraniec!

No rzeczywiście — nosi skrzydła.

— Jakiś dziwak. Ale całkiem przystojny...

— Julia!

— Przepraszam.

— Bydlaki sprzedały mi zużyte filmy...

— Niemożliwe.

— Niemożliwe?! A obcy facet tu skąd?! O, ja się jutro do nich przejdę!

Zamiast więc rozwiesić zdjęcia do wysuszenia, drze je z zapamiętaniem. Portrety Julii Walewskiej z obcym skrzydlakiem.

Pewnego dnia po prostu spieprzyła się aura. Dokumentnie i nieodwołalnie.

Skończyłam studia, przy okazji poczułam się stara i wypalona. Tyle — nie muszę nic więcej definiować. Zamknęłam skrzynkę z farbami. Miałam w nosie aniołki, bo głębiej nie wypada. Przeostałam śmierdzieć terpentyną i odrosły mi paznokcie. Na złość, Bóg wie komu, obciąłam włosy. „No nie wiem...” — powiedziała moja przyjaciółka z absolutnie tępą miną. Dziś może poradziłoby mi feng shui; wtedy „szukaj wiatru w polu”. Gdzieś tam po drodze kupiliśmy mieszkanie (za moje wiano i Michałowe

32

pieniądze z kilku ekstrazłeczeń). Mieszkanie było piękne, tylko balkon był za wysoko. Nieco schudłam (ale ze zgryzoty, więc to zdaniem Iwony nie liczy się in plus) i doszczętnie zgubiłam pomarańczową skórkę z ud (patrz nawias wyżej). Zaczynałam jednak podejrzewać, że Michał woli inna uda — te o długości całych moich nóg i jeszcze połowy kadłuba... Czułam się jak „Tita-nic”. Marzyłam o seksie z Leonardo di Caprio. Byłam wierna. Michał całymi dniami siedział w atelier (które oczywiście za-trzymaliśmy) i strzelał portfolio początkującym modelkom, za plecami których nie krył się dziwaczny facet. A potem, cholera, nadpłynęła góra lodowa.

Żona idzie z kanapkami w torbie do atelier swojego męża (wciąż ma klucze). Nigdy wcześniej tego nie robiła. Ot, podku-siło ją dobre lub złe licho.

— Michał? — Pusto.

Gdzie on mógł się podziać? Czy nic się nie stało?

— Michał?!

W porządku, woda leje się w łazience. Zrobię mu niespodziankę! Żona odstawia torbę, rozpina guziki płaszcza — pod spodem cieniutka bluzka, bez stanika („Kobieta musi być ku-charką w kuchni, a dziwką w sypialni” — Jeny Hali). Odsuwa nieprzezroczyście, pleksiglasowe drzwiczki...

Strumień gorącej wody zmywa pianę z migdalącej się pary.

— Kto to? — piszczy łabędzica, która wygląda na grubo nieletnią i grubo wyższą nie tylko ode mnie, ale i od Michała. Uściślijmy: na grubą nie wygląda ani odrobinę. Jest, cholera, piękna.

„Nie wstyd ci?! — chciałabym krzyknąć. — Ona przejdzie ponad tobą i nawet nie zauważy, co jej się pętało pomiędzy nogami!”

Jednak pytam tylko:

— Czy zostawiliście trochę mydła?

Iwona przywiozła mi z Francji takie fajne bżowe mydełko. Nie pamiętam już, przy jakiej okazji podrzuciłam je do atelier, ale byłam do niego przywiązana.

33

— Julia... — Michał, owinięty w ręcznik, przysiada się do mnie na zarwanej kanapie. — Przecież się nie rozwiedziemy?

— Oczywiście.

A potem bach — i jestem wolną kobietą.

Majtkowa rewolucja

Iwona wtacza się do mojego mieszkania pijana w trzy dupy.

— Pieprzeni akwizytorzy! I jeszcze nachlani! — Z piętra niżej dochodzą ryki podciętego piwem sąsiada, któremu przeszkodziła w oglądaniu Kiepskich.

— Gdzie ty mieszkasz? — Drży i czka.

— Pomyliłaś piętra?! — Nie mogę uwierzyć.

— Jestem samotna. W życiu nie znajdę sobie faceta. Nie będę miała dzieci. I umrę — rozpoczyna Wielką Improwizację.

— Jędrek...? — pytam pełna złych przeczuć.

— A nie... Nadal się waha, trochę ciała ja, trochę obiadków

ona.

— To skąd ten...

Sadzam ją na skórzanej kanapie (eksmąż nie zabrał) i podaję szklanekę mineralnej z cytryną (dużo cytryny).

— Dół? Przez media, kochana. Przez moje radio. Na mojej audycji zadzwonił do mnie jakiś gówniarz, męska szowinistyczny na świnia, i zaczął się wychrumkiwać...

— Co?

— Wywnętrzać się zaczął, jakie to kobiety są straszne! Że przeczytał „Dziennik” swojej dziewczyny i od razu ją zostawił, bo dowiedział się z niego, co nam chodzi po głowie...

— Że jak?

— MAŁŻEŃSTWO! I pampersy. A podobno mężczyźni zdo-

35

byli wolność ekonomiczną, odkąd nie muszą utrzymywać nas kobiet, bo pracujemy. Tylko że my tak naprawdę nie pracujemy, lecz polujemy na nich. Na ich wolność i święty spokój. I żebyśmy jeszcze wyglądały jak Jennifer Lopez i podwiązały sobie ja-jowody, ale gdzie tam! My jesteśmy zupełnie nieodpowiedzialne! Biedni faceci dostają przez nas nerwicy seksualnej. A te, to znaczy my, po trzydziestce, to już najgorsze. Zdesperowani asa-syni męskiego ego!

— Ale palant! Pewnie jeszcze mieszka z matką.

— Ja też jeszcze mieszkam z matką...

— Kutas! Cienki kutas!

— Cienki i krótki.

— Rachityczny konus!

Od razu zrobiło nam się lepiej.

— Na rynku z mężczyznami jest kryzys — twierdzi już spo-

kojniejsza Iwona. — Nie ma ich na półkach. Sam ocet. Trzeba to zmienić. Tylko jak zrobić majtkową rewolucję?

— Otóż to — mówię i otwieram wino.

Klik. Mój korkociąg przedstawia chłopca z wyposażeniem, a owo wyposażenie (stanowiące korkociąg właściwy) właśnie ułamało się u samej nasady. Zwykły szajs...

— I dziwić się, że mają kompleks kastracyjny.

— My czy oni?

Wzruszam ramionami.

— Trzeba wydłubać...

— Najgorsze jest to — Iwona pluje ukruszonym korkiem — że oni się kapnęli, iż nigdzie nie są bezpieczni.

— A wszystko przez ten seks. Karmelitanki bose są szczęśliwsze.

— Bo najlepiej byłoby, żeby można uprawiać ten seks, z nadto nie zbliżając się do faceta. No wiesz, fizycznie...

— Eee, to raczej niemożliwe?

— Nie wiesz, co potrafi ewolucja! Jest taka argentyńska kaczka: oxyura vittata. I samiec tej kaczki ma tak długiego jak on sam!

36

— Co?! — Aż podskakuję.

— No! Ponad czterdzieści centymetrów.

Gwiżdżę cichutko.

— A wiesz, po co im takie długie?

Kręcę głową.

— Bo kacze kobiety odsuwają się od nich i wtedy oxyura tak je tym na odległość...

— A nie sądzisz, że i w tym wypadku problem bliskości po-
zostaje sprawą kaczora?

Tak mocno łupnęła kieliszkiem, że zachwiaił się stolik.

— Ty nawet po następnych pięciu małżeństwach się nie wy-
zwolisz!

Być może. Ale wcale nie mam zamiaru sprawdzać tego empi-
rycznie. Co to, to nie!

Czuję się na tyle źle, że muszę sobie co najmniej raz dziennie przypominać, że jestem wolna i że to wspaniałe! A skoro jestem wolna, to mogę sobie pozwolić na licealnego papierosa. Tak.

Odeszłam od kiosku z paczką salemów. Musiałam się jej do-
brze przyjrzeć: z wyjątkiem tej naklejki, co się z niej płaci poda-
tek, od tylu lat w ogóle się nie zmieniły! To były moje pierwsze papierosy. Od razu skojarzyły mi się ze sztuką Arthura Millera Czarownicy z Salem; sztuka z kolei kojarzyła mi się nie z maccar-
tyzmem (jak chyba z dramaturgicznego punktu widzenia powin-
no), lecz z feminizmem... Kupiłam je na szkolnym plenerze, który był do bani. Poprosiłam wtedy bardziej doświadczonych kolegów, by nauczyli mnie palić. Z zaciągania się nic mi nie wy-
chodziło — w ogóle nie jestem oralna, bo mam wątle płuca i szczękę, wcale też tak dużo nie gadam. Pamiętam, że staliśmy wkoło nad taką wyschniętą studnią, na skraju lasu — pamiętając o przepisach przeciwpożarowych, uczyniliśmy ze studni wielką, betonową popielniczkę. Staliśmy tam i snuli młodzięcze marze-
nia, a ja uczyłam się palić...

— Julia, wciągaj to do płuc!

37

— Nie oszukuj! Dym nie poszedł ci nosem! No, zrób smo-ka... Mikołaj! Koleżanka nie słucha kolektywu. Studencki!

Mój wysoki kolega pochylił się nade mną z ustami pełnymi dymu. Nasze wargi spotkały się, a on wdmuchał mi wszystko wprost do płuc. Zawirowało mi w głowie, a potem zaczęłam się dusić — z nadmiaru emocji zapewne. Zastanawiałam się, czy na niego też tak podziałało. Skąd mogłam wiedzieć, że już wtedy był zdeklarowanym (przynajmniej w głębi ducha) gejem. Później wyjechał do Holandii w poszukiwaniu tolerancji i miłości swojego życia...

Przerwałam celofan, otworzyłam pudełko, wyjęłam papierosa, zapaliłam...

Fuj! Nie przypominam sobie, żeby palenie było takie wstrętne. No cóż. To była długa przerwa. Odrobina treningu... Po piętnastej fajce było mi bosko, ale i trochę mdło.

Teraz siedzę nad numerem „ELLE” i nagle rzednie mi mina: „Niezależnie od tego, czy palisz sama czy ktoś obok, dwa tysiące składników dymu tytoniowego powoduje pojawianie się u ciebie wolnych rodników i podrażnień skóry. Palenie jest jedną z najważniejszych przyczyn starzenia się skóry. Nikotyna działa na enzymy odpowiedzialne za elastyczność naczyń krwionośnych. Z czasem powoduje zaciśnięcie, skurczenie tych naczyń, co z kolei wpływa negatywnie na wygląd cery i stan ogólny skóry”.

Żesz franca jasna w kuper kopana i to ma być sprawiedliwość?! Jak już wolno, to szkodzi!

Aby uspokoić ducha, zaczynam mantrować: „Jestem wolna i bardzo mi się to podoba. Jestem wolna i bardzo mi się to podoba”.

Czy ten Rafał nie potrafi korzystać z książki telefonicznej? A może mam zastrzeżony numer?

*

38

Seks to przyjemna sprawa. Naprawdę. Człowiek jest potem taki zrelaksowany i ma całkiem pustą głowę. Ciało też jakby chudsze, szkoda tylko, że pocętkowane jakimiś takimi czerwonymi plamkami.

Mruczę i przytulam głowę do jego klatki piersiowej — niezłe owłosionej jak na niewinnego anioła...

— Miło?

— Na tyle, żeby spróbować znowu.

— Zboreźnica.

— Może — potakuję, a za chwilę unoszę się na łokciach. —

Wiesz, ja tak naprawdę nic o tobie nie wiem.

— Naprawdę nic?

— Nic, a nic.

— A co chciałabyś wiedzieć?

— Wszystko!

— Więc — odchrząkuje — mam na imię Rafał i...

— To wiem!

— ...lubię małe szatynki.

Małe, phi!

— A nazwisko?

— Zamojski.

— Z tych Zamojskich?

— Nie.

— Szkoda. Masz chociaż samochód? Moja matka twierdzi, że samochód jest bardzo ważny dla dziewczyny.

— Kurczę, a wydawało mi się, że twoja matka to sympatyczna osoba. — Przyciąga mnie do siebie i całuje mój wypukły brzusek. — Prawdę powiedziawszy, to ja nawet nie mam prawa jazdy.

— Łaskoczesz. — Wiję się jak małolata. To co, już ten drugi

raz?

— Pracuję w agencji reklamowej jako copywriter. No wiesz, „Zawsze coca-cola” i „OK-OB”. Ale zawsze chciałem zostać pisarzem, a nie specjalistą od damskich środków higienicznych.

39

Tak. To już drugi raz. Trafiony — zatopiony! Odkryłam, że seks to zabawa, która wcale się szybko nie nudzi, jeżeli w ogóle.

— A dzieciństwo? — Próbuje złapać oddech. — Opowiedz mi coś o dzieciństwie.

— Cóż... — Przekręca się na brzuch, zrzucając przy tym kołdrę na podłogę. — Miałem kiedyś misia...

— Naprawdę?

— Bawiłem się z tym misiem w lekarza: robiłem mu zastrzyki z wody albo herbaty. Różnie. I pewnego dnia miś zaczął gnić...

Zachichotałam.

— Schowałem rozpadającego się misia głęboko w szafie, ale on zaczął lekko cuchnąć... — Uśmiechnął się pod nosem. — Mieliśmy w domu taki ogromny kaflowy piec i miś trafił na całopalenie. Miałem sześć lat i patrzyłem, jak ojciec harcierską finką szatkuje misia, a potem wrzuca jego członki do ognia. Zacząłem płakać, a ojciec musiał usłyszeć, bo się odwrócił i spojrzał na mnie. „Żal ci misia?” — zapytał. Kiwnąłem głową. „Ale tak trzeba. Dostaniesz nowego, a teraz masz chociaż to na pamiątkę”. Wydłubał misiowi szklane oczy i włożył mi je do spoczonej ręki...

Dopadł nas egzystencjalny lęk, więc... Do trzech razy sztuka. Później zwiesiłam się z łóżka w poszukiwaniu swojej torby, która leżała na podłodze. Wyjęłam z niej papierosy.

— Hej! — Rafał przytrzymał moją rękę. — To niemiłe, kiedy kobieta pali. Będę miał wrażenie, że całuję się z popielniczką. ..

— Dobra — burknęłam i odłożyłam papierosa. Swoją drogą, dlaczego w takich chwilach mężczyźni nie mogą wykrzesać z siebie odrobiny altruistycznej troski i powiedzieć na przykład: „Moja ukochana! Nie pal, bo boję się, że możesz dostać raka. A ja chcę, byś wyszła za mnie za mąż i byśmy żyli w zdrowiu i w szczęściu rodzinnym przez następne pięćdziesiąt lat”?

Nagle rozdzwonił się telefon. A że był środek nocy, miałam ochotę przegryźć kabel.

— Dobry wieczór, Iwonko...

40

— Skąd wiedziałaś, że to ja?

A skąd bociany wiedzą, jak dolecieć do Afryki?

— Dzwonię tak późno, bo chyba mam depresję. Czarne chmury zebrały się nad moją biedną głową i...

— Tak? — Daję Rafałowi znaki: tak, już, zaraz, natychmiast kończę. Szczególnie, że widzę, iż zaczyna się ubierać.

— Julia, ty nie jesteś sama?

— Ależ oczywiście, że jestem. Opowiadaj dalej o tych chmurach...

— Kłamliwa zdiuro! Masz taki głos...

— Jaki, taki?

— Ty się...

— Nieprawda!

— Prawda! I to nie raz! — zaperzyła się moja najlepsza, wrażliwa przyjaciółka. — Ani mi się waż! Wyczerpujesz energię seksualną we wszechświecie, a dla twojej przyjaciółki może jej nie wystarczyć! Zostaw seks starszym od siebie!

Rafał wykonał jakieś pożegnalne gesty. Drzwi trzasnęły. Pięknie...

— Przez ciebie, krowo, mi uciekł!

— A kto to w ogóle jest? I ile ma lat?

— Tak naprawdę to niewiele o nim wiem...

— A zabezpieczyłaś się? AIDS nie wyleczysz penicyliną...

Przynajmniej mogłam zapalić papierosa.

— I mówisz, że jest copywriterem. — Iwona przyjechała do mnie na śniadanie, ale nic nie je, tylko gada i ssie mentolowe cukierki, bo ją podobno gardło boli.

— Tak... — Wyjmuję jajka z lodówki, ale natychmiast odkładam je na miejsce (wszystkie z wyjątkiem jednego), kiedy natykam mroźne spojrzenie.

— Julia, jajko to bomba cholesterolowa. Po dwudziestym piątym roku życia więcej niż jedno tygodniowo zabija.

— Ale ja nie jestem „po”.

41

— Milcz, niewdzięczna! — oburza się. — I posłuchaj o tych

swoich paniczach z agencji reklamowych. Jakaś firma wypuściła nowy środek owadobójczy, taki w proszku i niby bezbolesny dla robali. A ci, no ten twój, wymyślili reklamę, która pokazuje gospodyniom, jaki ten proszek wielce łagodny i jak ładnie pachnie kwiatami. Ale bryndza, toto się w ogóle nie sprzedaje! Więc ci chłopcy zrobili badania marketingowe i zapytali gospodynie domowe, co im się nie spodobało. I wiesz co?! Do tępienia robactwa babki potrzebują spray, bo jak psikasz takiego karalucha sprayem, gonisz za nim, to to jest miniwojna. Upolowany karaluch zdycha u twoich stóp, macha łapami, dogorywa, dostaje rzucawki, a potem koniec. Nie ma karalucha. Marketingowcy zapytali te kobiety, czemu właśnie tak wolą. A one im na to, że taki karaluch to od razu im się kojarzy z facetem i lubią tak mu do pieca...

— No popatrz... — Zakłopotana wyłamuję palce.

— Tak, tak. — Iwona smutno na mnie spogląda. — Mówię ci, reklama bez kobiet nie ma przyszłości.

— Aha. Wiesz co? Przepraszam cię strasznie, ale w zasadzie to muszę zaraz wyjść...

— Ja też. — Iwona zgrabnie zeskakuje z wysokiego stołka.

— A ten twój nowy to jaki znak zodiaku?

— Nie wiem.

— No jak to nie wiesz? Żeby tylko nie Ryby... Ryby to są ostatnie cipy. — Znacząco milknie. — Zresztą sama wiesz...

Z drugiej strony Baran też nie jest najlepszy. Krnąbrny...

Boże, jak czasem dłużej się te przejażdżki windą.

Zostałam kobietą pracującą. Znalazłam zatrudnienie w galerii sztuki. Mam etat wykwalifikowanej sprzedawczynie i jest to fucha dość kiepska dla malarza. Nie wolno mi zacierać linii: my (artyści) — oni (handlarze) — truj dupy (krytycy, z których każdy według mojej teorii artystą chciał zostać). Siedzę całymi dniami, mając za plecami różnorodne krajobrazy z młynami, odaliskami

42

oraz wschodami i zachodami słońca. Jest też parę widoczków mojego prowincjonalnego miasta rodem z podłej pocztówki. Jest, bo to się sprzedaje. Znajdą się też płótna z kwiatami i cała masa ciuchów, które wyglądają, jakby sześciolatek uszył je na zajęciach ZPT bez pomocy igły. Jest jeszcze biżuteria: każda z bransoletek urwałaby mi nadgarstek, ale szefowej to się podoba. Szefowa to historyk sztuki i dziecko historyków sztuki (czyli głębokie skażenie krytykanctwem i teoretyzowaniem) o imieniu Maja. Imię ma, jak twierdzi, na cześć obrazu Goi, ale modelką to by mogła być tylko u Rubensa. To straszliwie kłótlive i jazgotliwe monstrum. Staram się jej nie słuchać. Obsługuję klientów, ale częściej gram w takiego wężyka na moim telefonie komórkowym. Jednak coś innego jest w tym wszystkim najgorsze. Maja się rozwiodła, sąd zaś podzielił galerię sztuki na pół. Majka urzęduje na jednej połowie, drugą trzyma w swojej pieczy jej były mąż, Ryszard. Wiem, jak ma na imię, bo kiedyś mi się przedstawił — w słownych kontaktach między sobą eksmałżeństwo nie używa imion.

— Purchawa! — porykuje Maja w jego stronę.

— Krowa z BSE! — To rewanz.

Jest wesoło. Gdybym nie potrzebowała pieniędzy, już by mnie tu nie było. Chyba robię się nieszczęśliwa. Muszę na siebie uważać.

A tego dnia...

— Rysiu!

Chyba śnię! Ona z nim rozmawia?

— Pokaż mi ten obraz. — Wskazuje na stojące po jego stro-

nie przedstawienie łba jakiejś dorożkarskiej szkapy. — Chcia-

łabym go kupić.

— A po co?

Maja się uśmiecha.

— Powieszę go sobie w kłocie.

— Co?!

— Jest tani. A ja jestem tak biedna po rozwodzie z tobą, że tylko mnie na to stać, ty śmierdząca purchawo!

Dobrze. Można wracać do wężyka.

43

— Takich jak ty raczej nie obsługuję! Zresztą dla rogacizny ceny rosną dwukrotnie!

— Chciałbyś, oszuście! Dawaj to barachło...

Pan Rysio zarechotał.

— Nigdy nie miałaś gustu!

— Inaczej bym za ciebie nie wyszła! — Maja energicznie zabiera obraz i wkłada go pod pachę. — Julio, zapłać mu pięć niędzmi z kasy.

Kiedy płacę, pan Ryszard pyta mnie, jak z nią wytrzymuję i czy nie chcę przenieść się na jego część sklepu. „Nie, chcę się stąd wynieść w ogóle” — myślę, ale przy nich nabieram wody w usta.

Gdy wracam na stoisko, Majka właśnie przekleja na nabyte dzieło jakąś obłądną cenę i eksponuje obraz w honorowym miejscu.

— Kretyn! Nigdy nie potrafił niczego się nauczyć! Gdyby podetknąć mu pod nos Renoira, to by nie poznał!

— A co to?

— Tak długo rozmawiałaś z Ryśkiem, że się głupotą zaraziłaś? Kossak! Niesygnowany Kossak, a u nas Kossak to więcej

niż Renoir! A ten baran wywiesił go za dwieście złotych. Idiota!

— Boja, prostacka dziolcho, tak cenię tego twojego Kossaka jak i twój gust! Malarstwo dla nuworyszów. — Rozległo się z odległego kąta.

O rany, dopiero południe... Aha, jeszcze ważna sprawa.

— Pani Maju, pani trochę spóźnia mi się z wypłatą...

— Musisz jeszcze trochę poczekać.

— Słucham?

— Kupiłam synowi łódkę. Za tydzień ma spływ i nie mógł czekać. A przecież ten sknerus...

Nie głosuję na lewicę. W ogóle nie głosuję, ale czasami to mnie trzęsie; gdybym nie liczyła na to, że będę kiedyś obrzydliwie bogata, zostałabym socjalistką. A tak muszę siedzieć cicho, w imię kapitalistycznej przyszłości.

44

— Już wiem! — krzyczę do słuchawki.

— Co wiesz?

— To Byk!

— Kto?

— No jak to kto? Rafał!

— Więc problem.

Coś trzeszczy na linii.

— Jaki problem?!

— Nigdy nie byłam z żadnym Bykiem — mówi Iwona. —

Obawiam się, że jesteś na pierwszej linii frontu.

- Taaa...
- Chociaż jak sobie przypominam, Byki są bardzo rodzinne.
- A nie Raki?
- Raki? Może, ale Byki też. To znaczy, że się z tobą ożeni.
- Ale ja się dopiero rozwiodłam i nie chcę...

— To mi go odstęp...

Co za tupet!

- Iwona, a Jędrek to nie Rak?
- Bardzo śmieszne, he, he...
- Eee, przepraszam.

- No co ty?! Aha, i Byki lubią seks. Są bardzo wymagające wobec partnerek.
- Jak bardzo?
- BARDZO.
- To okropne...
- Słuchaj, a może zrób jakąś imprezę, żebyśmy mogły go poznać?
- My?
- No chyba że znasz kogoś innego niż ja.
- Tak. Tylko że ty... — Staram się być delikatna. — Ostatnio pochłaniasz cały mój czas i...
- Muszę kończyć, Andrzej dzwoni na komorę. Pa! Julia?
- Tak?

— Tylko nie biegnij do sex shopu. Byki nie lubią plastiku.

Skąd ona to wszystko wie?

45

Potem jeszcze przysłała mi SMS-a. Fragment książeczki dla dzieci niejakiego Munro Leafa. To był long SMS:

Powędrowało dobre byczysko przez pola, laki na swe pastwisko; pod ulubionym usiadło drzewem, chłodząc się lekkim wiatru powiewem. I odtąd, chociaż może to plotka, zawsze w tym miejscu można go spotkać, jak sobie siedzi i wącha kwiatki: maki, stokrotki, jaskry, bławatki. Słucha, jak szumią łąsy i niwy, I jest podobno bardzo szczęśliwy.

PS

Sprawdziłam w jeszcze jednej książce: lubi pośladki!

PPS

Co to sa niwy?

Jest taki moment w życiu każdej współczesnej dziewczyny, kiedy ta musi pojechać w odwiedziny do rodziców. To taki zaakceptowany przez obie strony rytuał. Matkom pozwala to skrytykować ciuchy, a ojcom chłopaków, choć w zasadzie to matki mówiąc „Ta spódnica jest trochę za krótka”, dają do zrozumienia, że z wybrankiem coś jest nie tak. Surrealizm... W sumie nie poznałam jeszcze dokładnie problemu odwiedzin gniazda. Z moimi rodzicami mieszka Aśka, ale kilkoro ze znajomych „dzieci” opowiadało mi, że w gnieździe wcale nie są witani z otwartymi ramionami. Ich rodzice mogą dopiero teraz pozwolić sobie na życie, o jakim marzyli od osiemnastu lat... Moja matka przefarbowwała się na granatowo i wycieniowała włosy w pazurki. Zupełnie jak nie mama.

Rozmawiamy w kuchni:

— Co u Aśki?

46

— Chce zostać aktorką.

— To fajnie. — Kiwam głową, ale matka ma chyba inne zdanie. Wzrusza ramionami.

— Dlaczego żadna z was nigdy nie chciała zostać lekarzem albo prawnikiem? Przecież takie zawody naprawdę mają perspektywy... — Popatruje na mnie, żebym na pewno zrozumiała, co jej chodzi.

— Już pracuję. Nie mogę znowu iść na studia.

Kiwa głową, ale uśmiecha się.

— A co u taty? Nawet się nie przywitał.

— Ha! Sama zobacz. — Podnosi się i prowadzi mnie do jego pokoju. Rzeczywiście, nawet nie zauważył, że przyszedłam. Siedzi przed komputerem, gdzie bez reszty pochłonęła go jakaś gra. Małe ludziki strzelają do siebie, a wszystkiemu towarzyszą okrzyki „Za Stalinu!” i „Mein Gott”. Mama uśmiecha się krzywo.

— Zawsze był melancholikiem, tylko mu się trochę pomiejszało...

— Cześć, córuś. — Usłyszałam. Ale wzroku od ekranu nie oderwał.

Słysząc trzask drzwi wejściowych, więc zostawiamy tatkę

1 zamykamy mu drzwi. Aśka rzuca mi się na szyję.

— Nie przyjdę w niedzielę na obiad — mówię do matki. — Robię w domu imprezę.

— Masz kogoś? — pyta niby od niechcenia.

— Mogę przyjść? — dopytuje się siostra z miną proszącego

spaniela.

— Może — odpowiadam.

— Aśka, do przedpokoju i ściągnij buty! — woła mama, a potem zwraca się już tylko do mnie: — Nie pakuj się w kolejne małżeństwo. Przecież możesz żyć na kartę rowerową...

Pięknie.

— Mama nie wie, że już nie ma kart rowerowych? Zlikwidowali. — Dobiega z przedpokoju. — To co, siostra, mogę przyjść?

*

47

Rafał naprawdę się ucieszył z przyjęcia.

— Moi przyjaciele chcieliby cię poznać... — Spojrzałam załotnie.

— To fajnie.

— Oni też tak myślą.

— Wynajęłaś firmę cateringową?

— Sama ugotuję!

Zaczyna się tak śmiać, że spada z łóżka. Hm, rzeczywiście nie przypominam sobie, by dotąd jadł u mnie coś poza jajecznicą, ale czy to usprawiedliwia taką reakcję?

Z Amadeuszem chodziłam do przedszkola. Miał przerabane z powodu swego imienia (nazwisko „normalne”: Jarząbek). Dla dzieci imię było dziwne i obce, dla przedszkolank — burżuazyjne. W podstawówce było już lepiej, nie licząc uporczywej pały z muzyki (za wiele od niego wymagano) i ksywki „Mozart”. Teraz jest całkiem dobrze... Amadeusz „Amadeo” jest stylistą; ma pseudo pasujące do dzisiejszych czasów. I nosi torebkę od Prądy. Damską. Umówiliśmy się na spotkanie w jego dawnym ulubionym pubie.

— Ładna — mówię.

— A ty się nic nie zmieniłaś! Nie myślałaś, żeby skrócić włosy?

Bardzo go kocham. Platonicznie. Możliwe, że w przedszkolu nawet mi się oświadczył podczas leżakowania, ale pamięć jest zawodna. A gdyby to wyszło na jaw, jego chłopak byłby za-zdrosny.

— Więc się rozwiodłaś? — powtarza za mną. — A kiedy wyszłaś za męża?

— Nie wiedziałeś?

— Niezbyt często się spotykamy.

— Michał był trochę zazdrosny...

— Było, minęło. Szukasz znowu kogoś?

— Chyba już znalazłam...

48

— To trzeba się będzie napić. — Śmieje się. — Fajny gość?

I lawina poszła. Amadeusz tylko kiwa głową. Często nią ki-wa: jak plastikowa zabawka.

— Cholera, znam go!

— Słucham?

— On chyba robił reklamę dla naszej redakcji...

— Podobał ci się? — pytam ostrożnie. Moje perfumy, nie wspominając już o torbie, nie wytrzymują porównań ze stylem Amadeusza.

— No coś ty! To znaczy on jest dla kobiet... — Krzywi się jakoś dziwnie. — Myślę, że na tym twoim przyjęciu nie będę mógł wcale tyle pić.

— Co?!

— Alkohol wysusza mi cerę.

Z innymi (Martą, Marią, Ksawerym, Tomkiem, Duszka, Willem, Maurycym, Piotrem, Szymonem, Kaśką, Piotrkim Drugim) po-szło tak samo. Zgodzili się przyjść. Ucieszyli się, choć udawali, że widzą ducha.

— Ale ty się zakopałaś w tym małżeństwie...

Powiedzieć to Iwonie czy nie powiedzieć? Powiem.

Choć to mało prawdopodobne, moja praca coraz mniej mi się po-doba. A może jestem typem permanentnego i perfidnego bezro-botnego? Złą zjawą centrowego ministra pracy?

Majka codziennie rano goni mnie po pączki do cukierni i ma-rudzi, że ja tam tak marudzę. Już nawet nie tłumaczę, że tam jest zawsze kolejka. Bo i prawda: patrzę na te trzęsące się, ma-łolet-nie chudziny i już wiem, że to zwykli gońcy wykorzystywani przez pączkową burżuazję. Co nie zmienia faktu, że też chcia-łabym być globalistyczna i burżuazyjna. Zresztą ja się starzeję i niedługo naprawdę będę potrzebowała drogich kremów!

Wracam więc z tymi pączkami, a szefowa się drze, póki nie

49

zapcha głośnika ciastkami (kupuję zawsze sześć sztuk: ani wię-ciej, ani mniej). Nigdy mnie nie częstuje, bo tłuste ekspedientki „są nieestetyczne" (przy okazji przypomina, że nie zrobiłam cer-tyfikatu z angielskiego, a w zasadzie to jest wymóg pracy tutaj). Później wyciąga ku mnie te swoje lakierowane palce i prosi, by je wytrzeć serwetką, bo nie może po nic sięgnąć.

Popołudniami zaś często przychodzi artysta Wiktor Wasioł. Wiktor Wasioł jest siwy, co jest normalne, bo jest bardzo stary. Jego włosy przypominają białą lwia grzywę, co u faceta wcale nie jest już takie częste, bo teraz nawet trzydziestolatkowie są łysi. Wiadomo, testosteron. Wasioł najwyraźniej ma mało testo-steronu, Majka zaś twierdzi, że i zbyt mało czasu.

Majka ma dobry sepi węch i niczym grabarz węszy w śmierci Wasioła dobry interes. Wasioł maluje takie pstrokate widoczki, które podobają się klientom. „Wasioły" są drogie. Majka dba więc o Wasioła, czasem da mu nawet pączka, żeby przynosił wasioły tylko dla niej. Zbiera je tak, jak wiewiórka składa orzechy na zimę — wie, że gdy Wasioł w końcu odwali kite, ona zgarnie fortunę. Ostatnio część tej fortuny

prawie zleciała mi na głowę, gdy szukałam czegoś w magazynie. Było tego tyle, że z punktu widzenia Majki Wiktor Wasioł może spokojnie umierać.

— Dzień dobry, kochany panie Wiktorze! Jak tam zdrowko? A samopoczucie? Trzeba uważać na ciśnienie, teraz taki wstrętny okres... — grucha, gdy tylko staruszek przekroczy próg sklepu. — Namalował pan coś ostatnio? Proszę przynieść. I proszę pamiętać o lekarstwach...

Z lekarstw Wasioł najbardziej lubi kordiał rumowy. Wiadomo, artysta.

Dwa razy kino. Z dwiema osobami mającymi największy wpływ na moje życie (nie liczę Boga; o Nim nie zapominam, ale On występuje w trzech osobach i gdziekolwiek by o Nim wspomnieć, od razu robi się tłok). Z Rafałem obejrzałam Moulin Rouge! Spóźnił się. Co prawda Woody Allen mawia, że jeśli nie widzia-

50

ło się początku filmu, to można go sobie w ogóle darować, ale jednak poszliśmy. Rafał nalegał, ja się boczyłam i milczałam. Wychodzi z tego, że Rafał jest popaprańcem, ale nie popaprańcem neurotykiem. Pocieszające. Nasze dzieci mają szansę na bezpieczną przyszłość — gry, dresy, żadnych okularów ani Oscarów.

„BEZ PRAW. BEZ OGRANICZEŃ. JEDNA REGUŁA. ZA-POMNIJ O MIŁOŚCI” — nie spodobało mi się to fatalistyczne hasło na plakacie, szczególnie że miałam mnóstwo czasu, żeby wbić je sobie w pamięć. Film piękny, Kidman też — i jaka odważna! Przy produkcji dwa razy sobie zebro złamała! Penelopy Cruz by to nie spotkało, bo mniejsza i ma lepsze ciało do tańca. Do różańca też — już wstąpiła do Kościoła scjentologicznego, przed czym Nicole broniła się latami. Ponoć o to poszło w rozstaniu z Tomem...

— Też wolę Cruz — powiedział Rafał, jakby czytał w moich myślach.

Dla mnie to lepiej, że lubi małe i ciemne, ale... Jakoś dziwnie to zabrzmiało. Przeczucia...

Na drugim filmie tkwię teraz z Iwoną, a ta zachowuje się jak jakiś potwór z planety X.

— O Boże, o rany! — woła i dyszy. W sumie lubi kino am-bitne.

— Niech pani przestanie! — drze się na nią jakiś facet.

— Zajmij się sobą, uniwersytecki gburze — odszczekuje przyjaciółka.

Jesteśmy na Intymności. W małym kinie, na małym ekranie, ale i tak robi wrażenie.

— Widziałaś? — Iwona aż się podnosi. — Miał ze czterdzieści centymetrów!

Seks w kinie zawsze mnie krępował. Kiedy kończy się seans i zapalają światła, zawsze mam czerwoną gębę.

— Rewolucja! Ona mu naprawdę obciągała!

— Eee, myślę, że już kręcili takie sceny... Dużo wcześniej.

— No tak, ale teraz jest to SZTUKA.

Sztuka — muszę zapamiętać. Przez cały film myślę o tym, że

51

muszę schudnąć, kupić balsam do ciała i nie wchodzić do łóżka w rajstopach.

Magiczne słowo: catering! Nie rozumiem... Jestem zwykłą dziewczyną, a nie żarłoczną bizneswoman! Polskie szlacheństwo zobowiązuje mnie bardziej do żurku niż do creme de brule. A su-shi? Surowa ryba? No nie wiem — generalnie wszystkie ryby kojarzą mi się z przedwigilijnym karpem pływającym w wannie. Zjeść surową rybę (w domyśle prawie żywą!) to chyba jednak świństwo. Do czego to cateringowe wyrafinowanie może doprowadzić! No i jak to możliwe, żeby zarcie było tak drogie! Czy to sushi jest zrobione z latimerii?

Straszne! Czyżbym kompletnie nie potrafiła gotować?

Podam smalec i chleb.

A dla vegetarian ów chleb z sałatą.

Grunt to minimalizm.

Impreza! Szaleństwo! Gorączka niedzielnej nocy! Czy oni wszyscy nie idą w poniedziałek do pracy? Bo ja idę. Chyba że... nie pójdę? Nie pójdę! Rewolucja!

No i proszę — ludzie się bawią! I piją! Z głośników leci nieli-chy żeński melanz: Geri Halliwell na przemian z Britney Spears, Madonna albo Kylie Minogue...

— Cudownie! — Amadeusz całuje mnie w szyję. — Wszystko takie naturalne! — Iz zapałem konsumuje pajdę chleba ze smalcem (on nigdy nie je, zawsze konsumuje). Gdybym nie wiedziała, nie uwierzyłabym: myślałam zawsze, że taka przaśność przez gardło mu nie przejdzie. Aśka bryluje między gośćmi szczęśliwa jak Kubuś Puchatek z pyskiem w miodzie. Znajomi są nią zachwyceni.

— Gdzie chowałaś przed nami taką cielęcinkę?

52

— Jeśli już, to to jest homar, Ksawery.

— Przede wszystkim moja siostra, więc łapy precz.

Oho, jak ona patrzy na Ksawerego...

— Jak ci się podoba Rafał? — pytam konspiracyjnie.

Wzrusza ramionami i odchodzi.

Cholera, dlaczego nawet najmłodszy członek rodziny nie mogą zaakceptować mojego chłopaka? Cóż, za przyjemności płaci się niechęcią innych...

I wtedy ktoś zauważył, że coś łomocze w moje drzwi wejściowe. Pobiegłam otworzyć.

— Czyś ty oszalała?! — Ekologiczna mała płuc nie wypluje.

— Dziecko mi obudzisz!

Nie, dziecko już się obudziło. A ta zaczyna wrzeszczeć:

— Ech, wy, wolne kobiety! Powinnyście nam pomagać! Do czegoś dążyć! Tylko żerujecie na cudzych rodzinach i udajecie nastolatki! A może same spróbujecie wychować dziecko!

Co ją ugryzło?

Rozległy się chichoty i padły nawet jakieś komentarze, ale zagięły w tym hałasie.

— Może wejdiesz?

Odwraca się i zatrząskuje drzwiami. MOJE drzwi. Bezcelność...

— W sumie — mamrocze — powinnaś nam dziękować za niż demograficzny. Twój maluch z braku konkurencji na pewno dostanie się do szkoły muzycznej...

Drzwi znów się otwierają.

— I wsadź sobie gdzieś tę wiertarkę! Mój mąż kupił nową!

Tym razem to był już głośny rechot. A przecież tak naprawdę

to ja chcę mieć dzieci... Dziewczynkę i chłopca... I to ona po-winna mnie przepraszać, że co dzień rujnuje mój mit o słodkim macierzyństwie z reklam pieluszek i proszków do prania... Nagle trąciłam pomykającą chyłkiem Iwonę. W płaszczu.

— Hej, ty, chciałaś wyjść po angielsku!

— Eee, no tego, widzisz, umówiłam się z Jędrkiem i...

Kiwnęłam głową z rezygnacją

— Idź, idź. Rozumiem...

53

— Naprawdę? — rozpromienia się.

— Ale nie zapomnę, że chciałaś uciec z MOJEJ imprezy. —

Skubię usta.

— Rozmażesz sobie pomadkę.

— Jak ci się podoba Rafał?

— Tak szczerze, to nie wiem, czy to facet dla ciebie...

Przyjechała winda.

— Ale wiesz, nie poznałam go jeszcze zbyt dobrze. Może i fajny...

Straszny ziąb na korytarzu.

— To na razie!

Ksawery uczy grać moją siostrę w łapki (siostra przegrywa, a tego nie lubi, oj nie lubi). Ja zaczynam się za kimś rozglądać.

— Tam. — Amadeusz pokazuje w kierunku balkonu.

Cholera, naprawdę boję się tu wchodzić. Ale wchodzę i trzymam się muru.

— Hej, Julia! — Rafał siedzi w kurtce na mokrym leżaku i pali potwornie wielkiego skręta. — Nie wiedziałem, że masz tu taki ekstatyczny widok! Tak to bywa, gdy człowiek przestaje się wokół siebie rozglądać.

— Ciepło ci? — chrypię.

— Chodź, chodź się przytulić do tatusia.

Robię to z pewnym ociąganiem.

— Już ci się nie podobam? — pyta.

Kręcę głową.

— Jasne, że mi się podobasz, głuptasie. Ale... — I wskazuję brodą straszliwą przestrzeń pozabalkonową.

— Przy mnie nie musisz się bać. — Ma gryzący golf, ale ładnie pachnie. Sobą i Chanel, Egoist. Platinium.

Nagle się zrywa i przyciąga mnie do barierki. Wydaję głośny pisk.

— Nie bój się. Bądź odważną dziewczyną. Lęki trzeba prze-

łamywać.

54

Gdyby nie to, że zjadłam tylko listek sałaty, zwymiotowałabym!

— Puść mnie — proszę.

— Jak chcesz. — Odsuwa się.

Uciekam do drzwi balkonowych. Rafał patrzy na mnie z wyrzutem.

— Nie rozumiem, dlaczego nie potrafisz poczuć się przy
mnie bezpieczna...

— Daj mi trochę czasu — mówię.

— Jasne. — Przekrzywia głowę. — W końcu to tylko balkon. Można go obudować...

Zaciąga się mocno, a potem wstaje i posłusznie idzie za mną.

— No i zobacz... — mówi Iwona, rozkładając przede mną paździenikowe „ELLE”.

Jest trochę rozstrojona, odkąd Jędrzek powiedział jej, że Jędrkowa spodziewa się dziecka. Iwona była pewna, że tamta jest już po menopauzie, a nawet jeśli cuda się zdarzają, to przecież Jędrzek leżał niemal krzyżem i przysięgał, że z żoną nie współżył i plon nie jego. Teraz oskarża drań niewinne bociany.

— Są jak pizza.

— Kto? — pytam mrukliwie, bo po wypiciu pewnej ilości
wina zdarza mi się zamyślać.

— Oni.

Staram się skoncentrować wzrok na liście pięćdziesięciu jeden najbardziej
pożądanych kawalerów.

— Spójrz, każdy ma inne dodatki, inny smak. Chciałoby się
smakować od początku do końca, tylko że to niewskazane ze
względu na dietę. I nie wiadomo, co może zaszkodzić.

— Iwona, ty byś tak wszystkich... — Zawsze podziwiałam jej żarłoczność.

— A co będę tracić czas... Chociaż margerity bym nie wzięła ani Boryny na Hawajach.

— A który to? — pytam.

55

— Jak to który? To Golec.

— Bo ja wiem... Ze ścierniska San Francisco? Podobno tam są trzęsienia ziemi.

— I o to chodzi, głupia! Nie czytałaś Hemingwaya? „I wtedy ziemia pod nami zadrżała”. Góralski superorgazm.

Bardzo zabawne.

— A ja bym wzięła tę. — Pokazuję.

— Marcina Urbasia? Lekkoatletę? „Dla szybkich”? Zaspiesz się, za dużo palisz.

— Ale tylko po pijaku! Nie bądź już taka zasadnicza. A może taką z czarnymi oliwkami...

— Michał Lesień. Lat dwadzieścia siedem. Grał w Ciemnej stronie Wenus.

— No dobra. Więc który?

— Ten przedostatni. „Spojrzenie romantyczne, a dusza praktyczna”.

— No pokaż. Ładny... Tomasz Bałuk, numer trzydziesty szósty, „dla porządnych”. Ho, ho... Dyrektor generalny agencji re-

klamowej Grupa 66... Wiesz, Julia, ty niby taka romantyczna jesteś z tymi swoimi aniołami, a od razu byś się chciała wżenić w pieniądze. To wybierz młodego Rywina... „Dla rowerzystek”. Jeździsz na rowerze, nie jeździsz...

— Iwona, to mężczyzna się wżenią, kobieta wychodzi za męża. Wszystko ci się pokręciło...

— I dlatego wciąż jestem sama! — Gasi mi papierosa na kapciu i zaczyna pociągać nosem. Niepokorny ogień gaśnie, ale dziura w pantoflu zostaje...

— Wiesz, u mnie też nie różowo...

Zasnęliśmy na podłodze.

Pierwszy listopada. Rafał sam się zadeklarował, że pojedzie ze mną na groby przodków. Ucieszyło mnie to, bo dzięki niemu mogłam się wykręcić od „rodzinnych” obchodów tego święta, które charakteryzuje się stypą odbywaną przy grobie każdego

56

Walewskiego, nawet jeśli ten zmarł dwieście lat temu i wcale nie należał do rodziny.

W pierwszej kolejności poszliśmy na grób babci Heleny i dziadka Marka.

Zapaliliśmy świeczkę. Rafał spojrzał na ich wspólną tablicę.

— Też tak chciałbym z tobą leżeć — powiedział.

No czy to nie jest romantyczne?

Nic o nim nie wiem, ale po lekturze takich książek jak Dziennik Bridget Jones boje się go pytać. Mam wrażenie, że jak tylko za-cznę, to fruuuuu — puści mnie w trąbę.

A moja matka chce wiedzieć, czy go zaproszę na obiad.

— Nie!

Udaje obrażoną.

— Tylko pytałam. Aśka mówi, że mu źle z oczu patrzy...

Proszę, tylko facet zaczyna mnie obchodzić i od razu nagonka!

Aśka ostatnio wydedukowała, że jest lesbijką. Powiedziała

o tym mamie, a mama na to odrzekła, że to pewnie grypa. Wspomniała rodzina. Aż się odechciewa zakładać własną. A nuż będzie jeszcze weselsza...

— Jeśli chcesz, w święta pojedziemy na Słowację — mówi

Rafał.

Fajnie, że to zaproponował, bo w obecnej sytuacji „rodzinna wigilia” to nie to, co mi się marzy. Z drugiej strony, Słowacja? Czy zakochany facet nie powinien zabrać kochanki w jakieś egzotyczne miejsce elektryzujące libido — jak choćby do Hiszpanii? Na Słowacji byłam na koloniach. Miałam dwanaście lat. Zęby mnie wtedy bolały. Zresztą dopiero minęło Święto Zmarłych. Ale z drugiej strony do Mikołaja został już tylko miesiąc. Swoją drogą to ciekawe: Mikołaj też święty, a święty tylko dlatego, że też zmarł i to dość dawno. Czytałam kiedyś o procesie beatyfikacyjnym. Nie tylko musisz być dobry. Przede wszystkim — zimny trup.

A co do romantycznego seksu zakochanych...

57

— Zrób trupa — mówię do Rafała. — Pamiętaj, nie wolno ci się poruszyć — dyryguję.

Czas na romantyczny seks zakochanych.

— Ale wcześniej zrzucaj te łańchy...

I podchodzę do niego naga jak po narodzinach. Fajnie! Władza i posłuch — może mam w sobie jakieś geny rodziny królewskiej? No dobra, czas wziąć byka za rogi.

— Powiedz mi coś o sobie.

— Jestem twój. Nie widać? — Chichocze. — Chociaż matka przestrzegала, żebym nie wiązał się z rozwódką.

Ha! Gdyby woleli panny, to Iwona dawno miałyby już męża. Ale przynajmniej wiem, dlaczego jeszcze nie poznałam „teściów”. Gorzej, że Rafałowi wymknęło się przy seksie, iż mieszka u rodziców. Zawisło to nad nami.

— A ty nie jesteś ciekawy? — „Mojego życia, egoisto!” —

dodaję w myślach.

— Julia, czasem lepiej nie wiedzieć...

No tak, ale telepatia jednak w pewnym stopniu działa. Naza-jutrz Rafał kupuje mi czerwoną pomadkę i czerwoną bieliznę.

Wstydę się w niej chodzić — to znaczy w pomadce, bo maj-tek i tak nie widać. Hm, z drugiej strony czuję się teraz jak bogini seksu Walewska. Czy katoliczce to wypada? Wypada! A Maria Magdalena?! Grunt to dobre alibi, na przykład zły mąż albo złe duchy.

Obudziłam się rano ze świętym przekonaniem, że mam problem. Moim problemem jest to, że mam faceta. Serio. Zawsze mie-wałam tylko mężów. Dobra, jednego męża. Wiem, jak być mę-żatką, ale jak być czyjąś dziewczyną? Do czego to prowadzi? Do rozstania? No nie! Do małżeństwa? Przecież ja nie chcę być zno-wu mężatką! W małżeństwie seks nigdy tak dobrze mi nie sma-kował — chodzi oczywiście o smak owocu zakazanego. Żeby wyrwać się z monotonii małżeństwa, trzeba się rozwieść albo sprawić sobie co najmniej trójkę dzieci. Wtedy mąż w ogóle nie

58

ma ochoty się tobą interesować, a ty nie masz czasu, by go do tego zachęcać... Logika nieco pokrętna, ale prawda jest taka, że za cholerę nie wiem, co mi się z Rafałem przydarzy. Żadne roz-wiązanie mnie nie satysfakcjonuje...

— O czym myślisz? — pyta. Spostrzegł, że bujam w chmu-rach.

Spacerujemy po hipermarkecie i robimy kolacyjne zakupy. Oszaleć można: gorąco, tandetna muzyka, ludzie jeżdżą nam wózkami po nogach. Gdzie się podziały małe sklepy pach-nące drewnem i ciastem?

— Hej!

— O niczym.

— Że co?

Stoimy naprzeciwko siebie. Śmiesznie to wygląda, jak w filmie.

— Mówię, że kompletnie nie myślę. Cisza. Pustka w eterze.

— Aha. Taka najbardziej mi się podobasz. Masz wtedy takie wielkie oczy...

Przytrzymuje mnie za podbródek i całuje. Jakiś dzieciak patrzy na nas i przeciągle gwizdże przez zęby.

— I na ciebie przyjdzie kolej, młody człowieku — mówi mu Rafał, ale tamtemu najwyraźniej nie spodobało się protekcyjne potraktowanie, bo prycha w naszą stronę i wbiega na salę.

— Ci to mają apetyty. — Wzrusza ramionami. — Ja w ich wieku bawiłem się kolejką.

Może te zakupy nie są takie złe? Taki ogólnospołeczny sposób na życie z romanssem w tle...

— Chodź. — Rafał coś wypatrzył i ciągnie mnie za sobą. Aż trudno mi nadażyć.

Stajemy przed automatem do ekspresowych zdjęć. Ciągle nie mogę się nadziwić, że te diabelskie urządzenia mamy już w Polsce. Zacofana chyba jestem.

— Zrobimy sobie zdjęcie!

Chichocząc, włączymy do środka i zasuwamy zasłonkę. Rafał wkłada mi ręce pod sweter i podciąga go, mrużąc na widok czerwonego stanika.

59

— Ej!

— Cicho. Będzie pamiątka!

Błysk flesza całkiem mnie oślepia.

— Gotowe. Zmykamy.

Nerwowo obciągamy sweterek i wychodzimy na zewnątrz. Rafał pochyla się nad szczeliną, z której wysuwają się fotki. Przyglądam się...

— Oooo nie! — Wrywam je Rafałowi z rąk.

— Uważaj, bo rozmażesz emulsję.

Cóż, nie jest to moje najlepsze zdjęcie. Zwykle wychodzę trochę lepiej. To chyba przez ten czerwony nos. No i wypieki. Poza tym jestem chorobliwie blada... A te moje ślepia!

— Ale masz wielkie oczy — mówi z kpiącym podziwem.

Na zdjęciu poły szarego płaszcza mam rozsunięte, różowy sweterek powędrował do góry (zaraz, zaraz, a kiedy ja sobie coś takiego kupiłam?), ale...

— Będziemy mieli co pokazywać wnukom.

Czym wnukom? Bo to wcale nie jestem ja! Tak, czegoś tu brakuje... Kogoś...

— Co się tak wpatrujesz jak sroka w gnat? Ładne jest!

Przez chwilę czuję się okropnie samotna.

— Nie wiedziałam, że tak się zmieniłam... — Chowam zdjęcie do torebki.

Rafał spojrzał na mnie tak jakoś poważnie.

— Przepraszam, skończmy te zakupy... Mamy już wszystko.

Czy on kiedyś wróci?

Boże drogi! Wiedziałam, że nie cierpię dentysty. Obrzydzeniem napawała mnie w szkole pracownia fizyczna i sala gimnastyczna. Bardzo nie lubiłam katechezy z siostrą Hermenegildą i zjazdów rodzinnych wokół babki Heleny. Mierzi mnie zapach mokrego psa i podgrzewanego szpinaku. Nigdy jednak nic nie wywoływało u mnie takiego natężenia paskudnych odczuć jak praca w galerii! Miałam dzisiaj wyjść wcześniej, bo Maja planowała

60

zamknąć galerię w związku z jakimiś nieprzewidzianymi obowiązkami, ale widzę, że wybiera się gdzieś samotnie, zostawiając mnie na straży jak podwórkowego psa. O, właśnie włożyła płaszcz. Ten jej płaszcz z tchórzofretek byłby nawet ładny,

gdybym w zoo nie oglądała tchórzofretek na żywo. W stanie żywym te futrzane kruszyny podobały mi się znacznie bardziej. Ile trzeba zamordować takich małych zwierzątek, żeby uszyć płaszcz dla takiej grubej baby? Nawet gdyby sztyto coś takiego dla Kate Moss, to nadal pozostaje to morderstwem. Może obleję to futro farbą i zostanę ekologiczną? Albo podejść do krowy i zapytam

0 swoją zaległą wypłatę. Tak!

— Nie mam jeszcze. Musiałam popłacić parę rzeczy. No

1 syn wyjeżdża, mówiłam ci chyba...

— Tak, wiem. — Gryzę policzek od wewnątrz. Jak tak dalej pójdzie, będę musiała się przenieść do mniejszego mieszkania albo od razu do rodziców... Mam nadzieję, że taka Kidman wyciągnie od Toma Cruise'a koszarne alimenty i będzie to satysfakcją dla wszystkich kobiet, które miały za mężów popaprańców...

— Nie możesz teraz wyjść.

— Jestem umówiona.

— Wiesz, że mam masę latania. Zadzwoń...

— Arbeit macht frei! — drze się w naszą stronę pan Ryszard.

— Faszysta!

— Wolę już być nagi, niż chodzić w futrze!

— I co byś pokazał, he?

— Kossaka! Na koniu!

Machnęła ręką.

— Julia, zadzwoń, gdzie musisz. Komórka jest w szufladzie, i powiedz, że nie przyjdiesz.

— Niemożliwe.

— Jak to niemożliwe? Musisz... — przerywa, bo do środka wchodzi właśnie pan Wasioł z nowym obrazem.

— Przyniosłem. — Stawia go na ladzie. Siwe włosy opadają mu na twarz. Żyłki w oczach ma popękane, ze zmęczenia albo i nie...

61

— Taki mały?

— A co! Będiesz teraz sztukę kupowała na metry? — re-
chocze Rysio.

— Niech pan nie przejmuj się tą menda... Ten obraz wez-
mę, jest ciekawy. Ale nie taki zamawiałam. Musi się pan, panie Wiktorze, pospieszyć, bo klient się niecierpliwi.

— Tak, wiem. Trochę się ostatnio przeziębilem...

— Zaraz panu kupię aspirynę. I może chce pan Red Bulla?
To dodaje energii...

Majka zdecydowanie uparła się go wykończyć.

— I kto tu jest faszystą! — ryczy eks.

— Panie Wiktorze, niech pan da sobie spokój. Ta modliszka
w tchórzofretkach tylko czeka, aż pan wyciągnie kopyta...

Rany boskie! I ja to powiedziałam? Maja aż zamilkła. Taaa... Rodzice nie mają
żadnego wolnego pokoju. Chyba że przeme-blujemy. Albo... Eureka! U Rafała! To
znaczy z Rafałem. Wy-prowadzi się od swoich rodziców i wynajmiemy coś razem.

Bo na moje mieszkanie to od teraz mnie nie stać.

Istna telepatia! Rafał zadzwonił, że chce się ze mną zobaczyć, dosłownie na minutę.
Czeka za rogiem. Ciekawe, co mu przyszło do głowy? Kiedy ja się zakochuję, tracę
dystans. Oczywiście nie powiedziałam Rafałowi, że go kocham. Nic z tych rzeczy;
nie chcę straszyć, lecz raczej koić.

Jest Rafał! Ma na sobie świetny granatowy płaszcz, sama bym sobie takiego nie
wybrała... Tylko dlaczego mnie nie przy-tulił ani nie pocałował? I nie uśmiecha się...

— Cześć! — wychrypiani. Przez ten cały stres mam problemy z wydobyciem głosu. — Mam tylko chwilę. Umówiłam się z Iwoną.

— To nawet dobrze. — Patrzy na mnie troskliwie, ale tak nieprzyjemnie troskliwie; jakbym miała raka i on by o tym wiedział, a ja nie.

— Coś się stało?

62

— Właściwie dużo się stało... Wcześniej chciałem ci powiedzieć...

Stoimy tak wrośnięci w chodnik, niczym obcy sobie ludzie. Czas nagle zaczyna zwalniać.

— Musimy dać sobie spokój. Nie potrafię cię oszukiwać...

Nie zawiązał dobrze szalika, przezięb się... Co się ze mną, cholera, dzieje?

— Jestem zakochany. Na poważnie.

— Ja...

— No właściwie chodzi o to, że nie ty. Przepraszam.

— A ŻEBYŚ PADŁ GĘBĄ NA JEŻA! — Nie poznaję siebie. Z jakiej lektury to wyjęłam? Żeby takich więcej! Drań! A ja uczuciowa analfabetka!

Wbiegam do snack-baru „Metropolis” tak szybko, że przy właściwym stoliku cumuję z lekkim poślizgiem. Iwona siedzi pod oknem i spogląda czujnie.

— Myślałam już, że cię ta krowa nie wypuściła. Że przyjdiesz wściekła, a ty...

— Iwona...

— A ty biegniesz i wcale nie wyglądasz na wściekłą, tylko na cholernie smutną. — Przerywa, żeby spojrzeć na mnie uważnie. — A teraz płaczesz.

A juści. Zaczynam ryczeć jak bóbr, aż oglądają się na mnie nieliczni o tej porze amatorzy szybkich przekąsek. Buczę jak elektryczny przekaźnik, jak dziecko, które dowiedziało się, że święty Mikołaj nie istnieje.

— Zdradzał mnie, sukinsyn! Od samego początku! Żyje z jakąś zdziwą, pewnie z tej swojej agencji...

— Rozumiem. Ale spróbuj...

— Zostawił mnie, słyszysz! Miał być moim ocaleniem. Pieprzony anioł uzdrowiciel. Wiesz, co znaczy jego imię? „Bóg uleczył”.

— To zwykły facet. I miałam rację, zwykły palant.

63

— Ale co ja mam teraz zrobić?

— Jak to co? Iść do wróżki.

— Do wróżki?

Kiedy zdołałam się trochę uspokoić, pomysł wydał mi się całkiem, całkiem...

— Pod warunkiem że pójdziesz ze mną.

Iwona kręci się nerwowo.

— No nie wiem. Może nie powinnam prowokować losu...

— A książkami Gretkowskiej o tarocie potrafisz się zacytować?

— Ja nie czytam ich dla tarota — syczy cicho moja przyjaciółka.

Kiwam głową, że zrozumiałam.

— Wyrzucili mnie z pracy...

4

Każdy ma swoją Amelię

Dobra! — warczy Iwona, stojąc w kolejce do kinowej kasy.

— Obejrzymy tę twoją wróżkę z Montmartre — potwornie się krzywi i jest nieszczęśliwa. — Myślałam, że w kinach nie ma już kolejek. Trzeba było kupić w przedsprzedaży. Teraz dostanę miejsce za jakimś grubym dupkiem i nic nie będę widzieć!

„Gruby dupek” z kolejki odwraca się do niej.

— Trzeba było sobie przynieść grubą poduszkę.

— Pomidor — odpowiada, uśmiechając się promiennie.

W takich chwilach jest prawie piękna. I prawie sympatyczna.

Namówiłam ją na ten film, cytując fragment wywiadu z „Amelią”, Audrey Tautou: „Ten film jest jak słońce, ludzie wychodzą z niego, promieniejąc. Wszyscy mieliśmy świadomość, że powstaje film fantastyczny. Z drugiej strony mówimy sobie: prośbę, oto przygoda skończona. I jest w tym odrobina żalu...”.

— Co za bzdury! — prycha, a zaraz potem dodaje: — Muszę to zobaczyć.

Więc jesteśmy w kinie. Oczywiście gdy tylko zaczął się film, Iwona zaczęła swoje

komentarze.

— Czy to przypadkiem nie o tobie? — pyta sarkastycznie, oglądając dzieciństwo Amelie Poulain.

— Moja matka żyje!

— Trochę ciszej — odzywa się ktoś z tylnego rzędu.

— Phi — prycha Iwona.

65

Wtedy ktoś z tyłu szczypie ją w ramię. Ha! To „gruby dupek”.

— Oglądała pani Teksańską masakrę piłą mechaniczną? Może się pani ze mną umówi?

„Ten film jest jak słońce, ludzie wychodzą z niego, promie-niejąc”. A mnie żołądek się ściska przy każdej scenie, w której pokazują dworcowy automat do robienia zdjęć.

— To wszystko jest oszustwem — szepcze nerwowo Iwona.

Film się skończył, a ona siedzi pod kinem i ociera łzy. Mnie cierpnie skóra.

— Julia, masz papierosa?

— Nie palę...

Wyczułam milczące ostrzeżenie, więc jednak częstuję. Głę-boko zaciąga się salemem.

— No to obie pójdziemy do tej wróżki.

To jednak dobrze, że Iwona umówiła nas obie. Będzie różniej. Nie lubię ryzykować z czarną magią, nawet jeśli jest „czarną” magią, ale rozumiem powagę sytuacji. Iwona musi i nie popuści. Liczy na mnie. Ja liczę na anioła, który mnie ochroni.

Budynek, w którym wróżka Angelika przyjmuje swych „pa-cjentów”, nie wygląda jednak jak zamek duchów czy pałac czar-noksiężnika. Przypomina raczej stare przedszkole albo dom kul-tury w stanie upadku...

— Podobno tu straszą kroki.

- Sroki straszą?
- Kroki. Kroki słycać, a nie widać nikogo, kto by je robił.
- Skąd wiesz?
- Czytałam.
- Coś jeszcze czytałaś?

Mimo wszystko jestem sceptykiem. Przynajmniej jeśli chodzi o kroki.

- Jest najlepsza — mruży Iwona. — Piszą o niej w gazetach.

66

- Bo im płaci.
- To nie była reklama — zaperza się Iwona.
- Nie tylko w ten sposób można wykupić „ogłoszenie”.
- Jak możesz! — zaperza się jeszcze bardziej. Cały etos dziennikarski z niej paruje.
- Oj, odpreź się.
- Dobra. Chodźmy do tej gwiazdy...

Gwiazda jest mniej więcej w wieku Iwony i dużo bierze. Najpierw pieniądze, potem przyszłość — antykapitalistom by się nie spodobało. Mnie też się nie podoba. Ma płaską twarz radzieckiej traktorzystki. Wymalowana jest również jak radziecka trakto-rzystka idąca na zabawę. I nosi bujną, rudą perukę.

- Jestem Angelika — przedstawia się. — Angelika, osoba publiczna. — Uśmiech. Jej wzrok podąża za spojrzeniem Iwony.
- To zdjęcie z prezydentem Łomży.
- A gdzie nasz prezydent?
- Jeszcze nie mam.
- To my może posłuchamy tych kart — ośmielam się wtrącić.

Popatruję wokół: szmaciana czarownica, niebieski, porcelanowy słonik-świecznik z

urwaną trąbą, kserokopiarka... Co? Faktycznie. Przed wejściem był napis, że można tu zrobić ksero. Nic z tego nie rozumiem. Wróżka wielofunkcyjna jak kombajn... Jest jeszcze szklana kula, piramidka, jakaś nagroda i wypchana sowa (wieczny odpoczynek racz jej dać, Panie, jeśli prawdziwa).

— Pani jest w ciąży! — Wróżka rozkłada karty przed moim nosem i krzywi się nad nimi, jakby śmierdziały.

— Ja?! O wielu rzeczach nie wiem, ale na pewno nie jestem w ciąży.

— To może pani będzie. Proszę nie przeszkadzać i kart słuchać...

— Na pewno nie jestem w ciąży — powtarzam.

Iwona się czerwieni.

— Możliwe! Karty nie zawsze mówią wprost. Być może mąż...

67

— Nie mam męża.

— No przecież się ożeni! Skoro będą dzieci...

Iwona napięła mięśnie, jakby szykowała się do powstania.

— A pani to los wygra na loterii. — Wróżka spojrzała na nią krytycznie. — Ale nie będzie pani aż tak bogata.

— Julia! — Poderwała się. — Idziemy!

— Z fusów jeszcze wróżę...

— Ja to bym się herbaty napiła — mówię. Oglądam się przez ramię i z ochotą dodaję: — Ale w lepszym towarzystwie.

Wychodzimy prędko na korytarz.

— Żeby nas tylko nie przeklęła.

— Chyba tym zdechłym lisem, co go trzymała na głowie...

Widziałaś jej pazury?

Brrr...

Na krzeselku czeka mała, piegowata dziewczyna w wieku lat nastu. Wyraźnie się denerwuje.

— Przyszłaś zrobić ksero? — pytamy równocześnie.

— Nie...

— No to zmiataj stąd, jak ci życie miłe. — Iwona odwraca do mnie twarz. — Wywróży jej ciążę i zdeformuje psychikę.

— Ciekawa jestem, kto do niej przychodzi.

— Jak to kto? — Iwona bierze się pod boki. — Bardzo smutne kobiety.

— My jesteśmy wesołe — mówię.

— Julia, przepraszam za ten wróżebny falstart. Niektórym dziennikarzom nie wolno ufać.

Ukryta idealistka.

Zaczynam się poważnie niepokoić! Od pół godziny krążymy po jakimś gomułkowskim blokowisku, gdzie czas zatrzymał się czterdzieści lat temu...

— Iwona, jesteś pewna, że wiesz, gdzie idziesz? — pytam dramatycznym szeptem.

— Daj na luz, maleńka. Daj na luz... — odpowiada, a ja się

68

poważnie zastanawiam, kogo ona zaprasza do tego radia, że łapie takie odżywki? Gang pruszkowski? Clint Eastwooda?

Robi się coraz parszywiej (jest zimno, a z nieba leci wredna mżawka) i moim zdaniem kręcimy się w kółko. Zaczynam wykuwać teorię, że niektóre wróżki

specjalnie przyjmują w głębokiej konspirze. Znowu je palą na stosie czy co?

— To tutaj.

Stajemy przed blokiem takim samym jak dziesiątki innych w promieniu kilometra.

— I zachowuj się! To emerytowany profesor uniwersytetu, socjolog. Dorabia w ten sposób, bo ma lichą emeryturę.

Rzeczywiście, wita nas jakiś schludny staruszek w anilano-wym rozpinanym sweterku.

— Obie panie?

— Obie.

— Razem?

— A jak pan woli?

— Niech będzie razem...

Powoli rozkłada tarota. Podobno wróżenie z tych kart może przywołać siły nieczyste z innego wymiaru. Ciekawe, czy profesor o tym wie? Nie pasuje mi za bardzo taka para: on i demon ósmego kręgu... Wróżbita nerwowo kląska językiem o podniebienie i rusza swoją sztuczną szczęką. Straszne...

— Jest aż tak źle? — pyta Iwona.

Czuję, jak w moim żołądku rośnie olbrzymia gula nieprzetrawionego strachu.

— Nic nie widzę — mówi profesor wróżbiarstwa stosowanego.

— Proszę? — Pochyliłam się przez stół ku niemu.

— Nic a nic.

???

— Przykro mi.

— Czy to znaczy, że eee... obie umarłyśmy?

— O nie, z pewnością wtedy bym coś zobaczył... A tu nic.

Przykro mi.

Wychodzimy od niego złane potem jak polne myszy w okre-

sie wypalania traw. Iwona spogląda na mnie, ja spoglądam na Iwonę.

— A widzisz!

Wróżka numer 3.

Nie wiem, czy to normalne tak chodzić od wróżki do wróżki, żeby usłyszeć dokładnie to, co chce się usłyszeć, skoro one i tak starają się utrafić w twoje gusta. Przyszłych partnerów wybierają na zasadzie kontrastu. Jak jesteś blondynką, wywróżą bruneta wieczorową porą. Brunetce z kolei zafundują blondyna o północy. Serio. Wiem, co mówię. Jeszcze parę wycieczek z Iwoną i zostanę ekspertem. Myślę, że ma to jakiś związek z zasadą przyciągania się przeciwieństw. Przeciwieństwa się przyciągają. Chyba że nie. Wyjątkowo oczywiście. Wyjątek potwierdza regułę, a jeśli reguła ma obejmować sześć miliardów ludzi, to i wyjątków jest wiele, nie? Proste.

Wygląda na to, że tym razem trafiłam z Iwoną do dentystki. Śmierdzi tu jakimś środkiem odkażającym. I już mi wibruje żołądek. Jest tak zawsze, gdy czekam na plombę. Zabawne, ale w poczekalni u ginekologa bolą mnie zęby. Ostatnio coraz częściej... Staram się skupić na rybkach w akwarium: jest tu takowe. Chyba po to, żeby łagodziło stres oczekiwania, ale te ryby wyglądają jak małe piranie i nie jest to widok odprężający.

Iwona weszła pierwsza i jeszcze jej nie ma. Mija prawie czterdzieści minut. O, drzwi skrzypnęły. Wychodzi. Rany, jaki ma ogłupiały wyraz twarzy! Ale i zadowolony...

— I co? — Podrywam się.

Szklisty wzrok! Ratuj się, kto może, szklisty wzrok! I nie mówi mi nic normalnego, to znaczy „nic” albo „zamknij się”. Przykłada tylko palec do rozciągniętych warg.

— Następną panią poproszę.

Więc idę. Co mi tam...

— Panna Julia?

Phi, Iwona powiedziała jej, jak mam na imię.

— Owszem, powiedziała.

Nie odzywam się. Nie myślę. Uciekać...

Wróżka ma naturalnie jasne, krótko obcięte włosy. I krótkie paznokcie zamiast szponów. To ładne ręce, subtelne. Może mieć czterdziestkę i kojarzy mi się z Enyą. Rozglądam się wokoło — pusto.

— Wróżę z dłoni.

— Oczywiście...

— Podaj mi, Julio, lewą rękę.

Podaję. Moja dłoń jest gorąca, a jej chłodna i sucha. Taka, jaka powinna być.

— Rozwódka.

Bąkam coś pod nosem.

— Został ślad po obrączce.

Aha. Swoją drogą zawsze wydawało mi się, że obrączkę nosi się na prawym palcu serdecznym; ja kazałam swoją włożyć na lewy. Chciałam mieć Michała przy sercu...

— Ten etap masz już za sobą.

Wiercę się.

— Za sobą — powtarza z naciskiem.

O cholera.

— Los się do ciebie uśmiechnie, ale wcześniej... — marsz

czy brwi — długa podróż.

Hawaje?

— Może być nieprzyjemna.

Ukraina. I obrobiją mnie na dworcu.

Uśmiecha się.

— A potem trafisz na swojego księcia z bajki...

— Brunet, blondyn?

Spojrzała na mnie ostro.

— Wie pani, nie chciałabym przegapić... — tłumaczę się jak sztubak.

— Nie widzę.

71

No pięknie. Pewnie łysy. Będę miała romans z Oleksym w kuszetce na Ukrainie... Z postkomunistą. Babka się w grobie przewróci...

Zwalnia uścisk, więc zabieram rękę.

— To wszystko? — Jestem trochę rozczarowana. Nastawiłam się na czterdzieści minut i...

— Twój przyjaciel jest na mnie zły, niepotrzebnie...

O kim ona mówi?

— Dobrze mieć takich przyjaciół. To znaczy dobrze mieć jakichkolwiek, ale takich w szczególności.

Dopiero kiedy wychodzę, spostrzegam, że w akwarium pływa najprawdziwsza złota rybka.

Jak poznałam Iwonę? Oto pytanie tego samego kalibru co „Jak wyszłam za męża”. Ważne pytanie, niechże sobie przypomnę...

— Ty, Walewska, myślisz, że jesteś orzeł, a reszta to kury!

— Tak magister Kielana darła się na moją siostrę na każdej lekcji fizyki.

Była to antymiłość od pierwszego wejrzenia. Drugą antymiłością mojej siostry była sama fizyka.

— „Kiedy ciało A działa na ciało B z pewną siłą, to ciało B działa na ciało A z tą samą siłą, lecz zwróconą przeciwnie”.

— To bez sensu!

Przed naszą rodziną stanęła więc wizja repetującej najmłodszej Walewskiej.

— Kiedy ona się tego nauczy?

— Jak tylko to polubi...

Ze względu na obecność magister Kielany jakakolwiek sympatia wydawała się niemożliwa.

— Ty, Walewska, jesteś artystką ze spalonego teatru!

— Proszę pani, ona idzie na zwolnienie, a tak naprawdę słu-
cha Madonny... — dodaje mała Kasia Stefaniak (najlepsza z fi-
zyki).

72

Kiedy Aśka mi to opowiedziała, zaczęłam ją prowadzić na korki.

— Pójdę sama! — Oburzała się przy każdej próbie odprowa-
dzenia. Sęk w tym, że nie miałam złudzeń. Dla Aśki jakiekol-
wiek dodatkowe zajęcia z fizyki są katorgą. Może zniknąć z ra-
dar, a pieniądze przejeść w cukierni (w najlepszym wypadku).

— Nie ufasz mi, siostra?

— Ależ oczywiście, że ci ufam... — Łatwo można urazić
dziewczynę w wieku dojrzewania.

Puściłam ją samą i ze wstydem w sercu udałam się jej tropem niczym szpieg z Krainy
Deszczowców.

Facet od korepetycji mieszkał na osiedlu w sąsiedztwie mo-
ich rodziców. W bloku, na niskim parterze... Wystarczyło się za-
sapać i postawić pod oknem fragment archaicznego kubła na śmieci. Później zmówić modlitwę, opłacić ubezpieczenie, po-
że-gnać zęby, stanąć na kubie, wspiąć się na palce, podciągnąć na parapet...

— A ty co? Własny chłop nie wystarcza? I to w biały dzień?

Co za chamstwo!

To była zazdrosna i rozjuszona Iwona. Oczywiście wtedy nie znałam jeszcze jej imienia.

— Przyszłam na korepetycje z moją...

— Ja ci dam korepetycje, zdiro!

Później pogodziłyśmy się... W zasadzie życie uratowała mi Joanna, która ujrzała dwie kobiety okładające się na skwerku.

— A gdzie to zaufanie?

Zdała fizykę na troję, a z Iwoną zaprzyjaźniłyśmy się przyjaźnią najsilniejszą z możliwych: braterstwem krwi.

Czuję się dziwnie. I nieswojo. Chyba przez te perspektywy, co to się przede mną zdaniem wróżki otwierają.

Wolność!

Nie chodzę do pracy, nie chodzę na randki... Na jasną chole-

73

rę mi taka wolność?! Natychmiast chcę zostać spętana więzami miłości! No i nudzę się trochę... Matka powtarza, że „inteligentni ludzie się nie nudzą”, więc ja chyba nie jestem zbyt inteligentna. Dam ogłoszenie matrymonialne albo poproszę Aśkę, żeby mnie poznała z jakimś swoim szkolnym kolegą, gdy on tylko dorośnie. Skoro pięćdziesięcioletni mężczyźni mogą się spotykać z dwudziestolatkami, to chyba nic nie stoi na przeszkodzie, żeby to funkcjonowało na odwrót? Szczególnie że faceci szczyt swoich możliwości seksualnych osiągają około dwudziestki, a potem już z górki. Tylko o czym ja z nim będę rozmawiać? O Poc-kemonach?

Zwykle nie jestem impulsywna, ale tym razem postanowiłam — ot, tak po prostu — złożyć niezapowiedzianą wizytę rodzicom.

— Witaj, wejdz — wita mnie ojciec. — Mamy nie ma,

ale... Chodź, chodź! — mówi szybko, jakbym miała się rozmyślić.

Cmoknęłam go w czoło.

— Wyłysiałem trochę, co? — Uśmiecha się krzywo.

Czyżby papa wpadał w kompleksy? Przysiedliśmy w kuchni.

— No i jak?

Wzruszam ramionami. Ojciec nie spuszcza ze mnie wzroku. Bierze mnie za rękę.

— Nie był ciebie wart...

Opowiadam mu wszystko. Sięga do szafki, tej, w której trzyma śrubokręty i inne dziwactwa. Na stole ląduje butelka koniaku. Wzdycham. Ojciec też wzdycha.

— Twoja matka to ładna kobieta. Miałem szczęście, że zgodziła się za mnie wyjść.

Nie lubię koniaku. W smaku to taki smar do maszyn... Ale grzeje.

— Ostatnio mieliśmy małe kłopoty...

— Nie przejmuj się, tato... — Ha! „Za Stalinu!”

— Poszedłem do lekarza. Sam. Później po viagrę...

74

— Nie bój się. Nie powiem mamie.

Pokazuje mi małe, błękitne tabletki.

— To prawda, że po nich widzi się na niebiesko?

„Doniosłym warunkiem sukcesów kierownictwa partyjnego jest LENINOWSKI STYL PRACY. A styl leninowski to styl twórczy, obcy subiektywizmowi, oparty na naukowym podejściu do wszystkich procesów społecznych”. Leonid Breżniew.

Telefon. Przegryzę kabel, a potem telepatycznie ochrzanię Iwonę i wyjaśnię, żeby nie dzwoniła, kiedy mam zły humor i z nikim nie chcę gadać (stan określany w poważnych podręcznikach psychologicznych terminem „domek ślimaka”). A w szczególności, gdy mam zły humor i grzeję ciało w gorącej wodzie z relaksującą pianą, w starej dobrej wannie...

— Iwona?

— Julia!

To nie Iwona!

— Kto mówi?

— Czy pani jest zła?

Jezu, to na pewno jakiś zboczeniec! Trzeba było zastrzec nu-mer. ...

— Ale kto mówi?!

— Jak to kto? Wasioł.

— Pan Wiktor!

— Zaskoczyła mnie pani decyzja o rezygnacji z pracy.

— Mnie też.

— Kiedy jest się młodym, taka stresująca robota tylko krę-
puje ruchy.

— Panie Wiktorze...

— Pani chyba kiedyś malowała?

— Jakby to...

— „In paradisum deducant te angeli”. Malowała pani, prawda?

75

— Tak — potwierdzam smętnie. Nie wiem dlaczego „smęt-
nie”.

— To proszę do mnie przyjechać, do pracowni. Proszę zapi-
sać adres. Żeromskiego dwadzieścia trzy.

— Ale chciałabym...

— No niech pani pisze!

— Dobrze... Zapisałam.

— Wyjdę po panią. Może być o piątej?

No i proszę, jednak znowu dałam się w coś wkręcić!

Czeka na mnie przed pięknie zdobioną, ale bardzo zniszczoną bramą.

— Proszę, lewa oficyna.

Wiktor Wasioł ma pracownię w jakiejś kompletnej kamie-nicznej ruinie! Wyszczerbione schody, wilgoć, poprzegryzane kable... Myślę, że to już takie artystyczne wariactwo.

— Gdybym chciał dostać lepsze mieszkanie, musiałbym pić, mieć pięcioro dzieci i obcięte nogi... Ale wie pani? Mnie tylko tych nóg szkoda...

Kiwnęłam głową.

— Czytałaś Dumasa? — Nagle przeszedł na „ty”.

— Trzech muszkieterów

— Choćby. Albo coś innego z dwustu pięćdziesięciu siedmiu tomów powieści, pamiętników i innych utworów prozą. Napisał też dwadzieścia pięć tomów sztuk teatralnych — mówi usłużnie.

Gwiżdżę i patrzę w sufit.

— Miał dwadzieścia siedem kochanek, tych odnotowanych.

Oj.

— Był Mulatem. Ze strony ojca. Urodził się w tysiąc osiemset drugim roku, dwudziestego czwartego lipca, zmarł...

— Po co mnie pan tu zaprosił?

Pracownia jest nieogrzewana. Uświerknę tu za chwilę... Podszedł bliżej. Patrzy zamyślony... Rany boskie, czy próbuje mnie

76

uwieść? Gdyby był w wieku mego ojca, to wszystko w porządku, fale on mógłby być dziadkiem mojego ojca!

— Czy wiesz, kto to jest „murzyn”?

Jedno jest pewne. Wasioł w życiu nie słyszał o „political correctness”.

— Wynajęci literaci pisali za Dumasa książki, by on mógł bawić w zamku Monte Christo... W sumie nic oburzającego. Z pewnej perspektywy... Niejaki Maquet, współpracownik od Muszkietarów, dzięki współpracy z Dumasem zyskał sławę i pieniądze. Miał zamek Saint-Mesme, kiedy Dumas umierał w nędzy.

— Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego! — Dlaczego ja się zgodziłam tu przyjść? Jeszcze nie potrafię się zdecydować, czy staruszek nudzi czy ciekawie opowiada. — Jednak to nazwisko Aleksandra Dumasa, a nie Maqueta pojawia się na okładce Trzech muszkietarów. — Dzięki ci, Boże, za logikę.

— No właśnie. — Wiktor Wasioł cały się rozpromienia.

— Czy mnie się wydaje, że pan myśli o tym, o czym ja myślę? Uśmiecha się jak chudy Budda.

— Przecież ja wiem, po co pani Mai te wszystkie moje obrazy...

Ha, spisek wykryty.

— Chciałbym po prostu trochę odpocząć, użyć życia, jak to mówią. Gdyby pomogła mi pani malować...

— To fałszerstwo!

— Jeśli to jest fałszerstwo, to czym jest to, co robi Maja? — Krzywi ironicznie twarz. — Proszę się zgodzić, pani Julio.

Czy już jestem przestępczynią?

Kiedy zła jak osa wracałam z Urzędu Pracy („Umie pani sprzątać? Szyć? Gotować?... Może pani po prostu wyjdzie za mąż?”), weszłam na męża właśnie. Od

rozvodu nie zmienił się ani na jotę. Zresztą nie zmienił się od dnia ślubu!

— Cześć.

— Cześć.

77

— Jak ci leci?

— W porządku. — Kiwam głową. — W porządku.

— Przejdziemy się gdzieś? — pyta.

— Właściwie to nie mam czasu.

— Aha... No to cześć...

— No cześć... Aha, Michał?

— Tak? — Ma taką minę, jakby oczekiwał, że będę błagała,

abyśmy odnowili przysięgę małżeńską albo z żądz polecieeli do pierwszego lepszego kibla.

— Sąsiadka się wścieka o tę ręczną wiertarkę...

— Tak, tak, pamiętam. Odniosę jej.

— Wspomniała, że jej mąż już chyba odkupił. Ale pogadaj z nią, żeby mi dała wreszcie spokój.

— Powiedz, że na pewno oddam...

Mam ochotę chwycić go za ramiona i potężnie nim potrząsnąć, żeby wreszcie zaczął zwracać uwagę na to, co się do niego mówi. Ale z drugiej strony: czy to mój mąż?

Niech się cieszy, że już nie ma żony. One potrafią nie takie numery wykręcać.

Podobno do komisji poborowej USA w 1943 roku trafił facet z listem mniej więcej tej treści: „Droga Armio Stanów Zjednoczonych. Mąż poprosił, żebym mu napisała zaświadczenie, że jest jedynym żywicielem. Nie umie czytać, nie mówcie mu, co napisałam. Weźcie go i już. To kawał drania. Odkąd się pobraliśmy osiem lat temu, nic nie robi, tylko urządza awantury i pije cytrynowkę, a ja muszę wykarmić siedmioro dzieciaków. Może wsadzicie mu do łapy karabin. Umie strzelać do wiewiórek i jeść. Weźcie go, bo ja potrzebuję żarcia, a i jego łóżko przyda się dla

dzieciaków. Nic mu nie mówcie, tylko weźcie".

Iwona jest bardzo podniecona tą swoją tajemniczą wróżbą. Cóż, „wróżby — opium dla ludu". Założę się, że usłyszała, jak to rychło wyjdzie za mąż, co w tłumaczeniu na Iwono wy znaczy, że Jędrkova urodzi tygrysa szablatozębnego, a wrażliwy jak mamut Jędrək rzeknie na to „adieu" i wprowadzi się do pani redaktor...

78

Siedzimy w posepnej knajpie (niskie stropy, ciemna boazeria, surowe ławy. Pub irlandzki?). Po trzecim drinku dotarło do nas, że właśnie zaczyna się tu wieczorek zapoznawczy dla samotnych, chociaż — jak poinformował z entuzjazmem didżej — również dla par.

— To stręczycielstwo — oburzam się.

— Co za zbieg okoliczności! A ty jesteś sama.

— Myślałam, że jesteśmy tu we dwójkę... — syczę.

— Spójrz, jaki Adonis. — Iwona odrywa się od baru i wskazuje jakiegoś gościa z wąsem, w obskurnym, syntetycznym garniturze. — Zaraz ci go poderwę.

— Wielkie dzięki.

Piję krwawą Mary i wymachuję nogami. Nie ma Iwony, nie ma pana Syntetycznego, ale ktoś się jednak przystawia. Społgładam...

„Każda potwora znajdzie swego amatora" — głosi przysłowie, ale w tym układzie to on wywodzi swój rodowód z Loch Ness.

— Zatańczysz?

O matko! On ma sztucznego goździka w butonierce, Che Guevara jeden!

Pochylam się nad drinkiem.

— Ja nie tańczę. Ja piję... — Polscy mężczyźni nie znoszą ponoć alkoholiczek i feministek. Tak więc gościowi trafił się trefny towar i zgodnie z teorią powinien zwać do innej samot-

nej laluni, ale on spogląda na mnie jak na jakiegoś cholernego
(„mieć czy nie mieć”) Hemingwaya w spódnicy...

— Czytałaś Za rzeką, w cieniu drzew? — I porywa mnie
z barowego stołka wprost do tanga. Nie! Za chwilę zwymiotuję!

Kiedy wreszcie zwalnia nieco uścisk, wyrywam się jak kot wściekłemu psu i w ratunkowym odruchu rodem ze szkoły po-wszechnej rwę do damskiej toalety. Dobiegam do pierwszej lepszej umywalki, by nabrać zimnej wody, i ciężko dyszę. Głośno. Ale chyba nie aż tak głośno? A rytm tego dyszenia... Dla pewności przestaję oddychać.

79

— Och, och, och... — To nie ja! — Mmmmm.

— Wow!

Ale numer! To przecież Iwona!

Znam dobrze te dźwięki, odkąd znieczulona alkoholem Iwona próbowała w McDonaldzie przebić Meg Ryan w udawaniu orgazmu. Miała też pewnie inne cele, skoro rodzina Jędrka jadła tam niedzielny obiad. Stare czasy... Ha! Zapomniałam już, że mam tak zdolną koleżankę! Chociaż, mimo lepszej akustyki, odnoszę wrażenie, że idzie jej trochę gorzej...

Może dlatego, że teraz to naprawdę...

— Co ja narobiłam?! — Kiedy próbuję z niemałym trudem wy-
prowadzić czerwoną na twarzy i panikującą Iwonę (a dla mnie
ten kochaś miał być dobry, co? Przyjaciółka!), wchodzę na znu-
dzonego „wodzireja” imprezy.

— Wciąż chce Białego Misia. — Popatruje na mnie dziwnie.

— Ten od pani chce... I szuka pani.

Rany boskie!

— To proszę mu powiedzieć, że poszłam... — Biegnę do

wyjścia, do taksówki, do wolności...

Później, w moim domu, Iwona siedzi w wannie i pochlipuje:

— Zdradziłam Andrzejka!

Nie jest dobrze... „Źle się dzieje w państwie duńskim"... Jasna cholera, w wannie mam się utopić niczym Julia Ofelia? Wiem, kupię sobie paprotkę do towarzystwa. Będę jej puszczać Mozarta — rośliny podobno to lubią. Tyle że nie mam Mozarta, wystarczy jej Enriague Iglesias?

Pomalowałam paznokcie na różowo, aby chociaż tak poprawić sobie humor. Nic — nadal czarno. CZARNO. Mam straszną zimową depresję. Przechodzę miłosny zawód. Bankomat zjadł mi kartę. Komórka prawie w ogóle nie dzwoni. Od czasu do czasu dostaję SMS od siostry albo od Iwony... Popijam dziurawiec

80

i jem czekoladę, aby podwyższyć poziom serotoniny (co podobno pomaga na samopoczucie). Ale od czekolady tyję, a od dziurawca robią mi się plamy na skórze.

Udałam się na łowy do szmateksu (bankomatowe pożarcie mojej karty uniemożliwia mi relaksujące zakupy w Galerii Centrum). Wyszperałam supergrafitowe dzinsy, ale te nie chciały mi przejść przez biodra. Przecież ja jeszcze nawet nie rodziłam, a już mam rozmiary „Titanica"! Zrezygnuję z dzieci dla garderoby? Chciałam mieć co najmniej dwójkę, a może nawet trójkę. Trzecie w okolicach czterdziestki, żeby uchronić się przed kompleksem „opuszczonego gniazda". A tu kanał... Jak mam mieć dziecko, skoro nie mam męża? Zapłodni mnie złoty deszcz? Straszne. Kobiety, które rodzą po raz pierwszy w wieku dwudziestu siedmiu lat, są nazywane przez bezlitosnych położników starymi pierworódkami... Gdyby odliczyć od tego trwającą dziewięć miesięcy ciążę i statystyczne pół roku prób zostania mamusią, oznaczałoby to, że powinnam zacząć dzisiaj, z marszu, żeby zdążyć przed przykurczami ścięgien i zwiotczeniem mięśni. Brrr... Ale z kim? Czy w ogóle ktoś miałby na to ochotę? Czy ktoś mnie kocha? Czy ktoś kupiłby dla mojej przyjemności viagrę?

Nie chcę być kobietą! Chcę być... muchomoremsromotnikowym!

Te wróżby to u Iwony już jakaś choroba. Nałóg. Jeszcze nie zeszło jej zaczerwienienie skóry (nie wiem, czy to wstyd czy efekty głębokiego peelingu, któremu poddała się po „amoku w WC"), a już chce mnie wyciągnąć na jakieś andrzejki. Natomiast na wszelkie delikatne nawet pytania o „tamto" reaguje wrzaskiem „Zamknij się, gruba-sie!", co jest o tyle nie w porządku, że schudłam ze

zgryzoty. I nie jadam śniadań, żebym nie musiała jeść ich samotnie...

— Dobra — mówię. — Chodźmy do kina. Będą całonocne seanse.

— Wiesz, nie całkiem o to mi chodzi.

81

— Panny powinny sobie w spokoju powróżyć w andrzejkową wigilię, więc chyba pójdziemy na osobne imprezy.

— A nieprawda!

— Co nieprawda?

— Nic nas nie różni. Nie wykręcaj kota ogonem. Jesteśmy obie kobiety i obie idziemy na tę samą imprezę.

— Ty jesteś panną. — Oskarży cielsko wyciągam paluch w jej stronę.

— A ty niby kim?

Podsuwam jej dowód osobisty.

— Czytaj.

— Czytam: panna.

O rany! Rzeczywiście! Jestem panną z odzysku.

— Gdybyś chciała zmienić status w naszym patriarchalnym społeczeństwie, na straży którego stoją, o naiwności, kobiety...

Bo to kobiety dla innych kobiet są klawiszami... Musiałabyś Michała zaciukać siekierą albo jakoś inaczej. Byłabyś wdową, a to oczko wyżej...

— Gdzie chcesz iść na te andrzejki? — pytam słodko.

Nie lubię andrzejek, odkąd zorganizowaliśmy takowe w drugiej klasie liceum... Niewiarygodne, ale taka Sylwia po przelaniu wosku przez klucz pochyliła się nad miednicą i powiedziała:

— Dziecko.

To było dramatyczne wyznanie w erze pękających gum i przed-wczesnego wytrysku. Nastolatki zbiły się w drżącą grupę jak stadko wystraszonych ptaków. Istotnie, przelany wosk uformował się w kształt parotygodniowego embriona.

— Dziecko — stwierdziła Sylwia już z mniejszym zdumieniem i zaczęła się śmiać.

Śmiech jest zaraźliwy. Cięża jak dotąd nie. Inaczej dziewczyny wpadłyby w kompletną paranoję, kiedy po wakacjach okazało się, że Sylwia nie wraca do szkoły, bo będzie mamą. A może moja niechęć sięga podstawówki, kiedy podczas andrzejek wy-

82

bierano Miss Klasy i ja oraz moja przyjaciółka z króliczymi zębami (przezywana Stopą, ale stopy miała małe, więc nie wiem dlaczego) sukcesywnie odpadałyśmy w pierwszym rzucie poza wszelką klasyfikację. W siódmej klasie przestało mi to już sprawiać przykrość, ale w ósmej zatrzęsło mnie ze złości, kiedy klasową piękną została Kinga Kaczmarek. Charakteryzowało ją jedno: miała najgrubsze z nas wszystkich nogi, ale i najkrótsze spódniczki. Wtedy po raz pierwszy dotarła do mnie tępota facetów...

Tak, pomiędzy andrzejkami i traumą stawiam znak równości.

— Co masz? — pyta Iwona, która po przelaniu wosku uzyskała coś na kształt rozlewającego się znaku dolara. Miałam nieokreślona bryłę stopionej świecy.

— Kangur? — zgaduję.

— Fajnie. Według Manueli Gretkowskiej kangur ma dwa.

Tego drugiego ma w zapasie, gdyby jednego sobie przydepnął...

Cóż, mój kangur wygląda, jakby od razu przydeptał sobie oba, a przy okazji wszystkie inne kończyny... Pójdę do klasztoru! Z za-ostrzoną regułą... Żeby wszyscy

mogli pocałować mnie gdzieś!

Coś podobnego! Wracam właśnie ze zsypu i kogo spotykam na moim piętrze?
Mojego eksmęża.

— Witaj.

Uśmiecha się do mnie pełnym garniturem zębów. O, zrobił sobie koronkę na wyszczerbionej jedynce. I zrobił coś z kamieniem nazębnym... Kły błyszczą mu jak kryształy. Musiał zapłacić majątek za dentystę.

— Czekasz na mnie?

Popatrzył dziwnie i pokręcił przecząco głową.

— Byłem oddać wiertarkę.

— Aha.

— Nie wiedziałem, że kogoś masz. — Czyżbym usłyszała

83

pretensję? Mój głos wewnętrzny z całej siły zamienia słowo „mieć” na „miałam”, ale tego nie powiem.

— Niby skąd miałbyś wiedzieć? Przecież nie mieszkamy ze sobą.

— Nie za szybko? Może powinnaś...

— Rozwiedlił się, pamiętasz?

— Julia, zmarnujesz sobie życie. Ty jesteś romantyczką i popelniasz błąd. Popelniasz błąd, spotykając się na siłę z obcym gościem.

A niech mnie! Pozwoliłam mu się zdeflorować, a teraz powinnam iść do tego klasztoru!

Nagle otwierają się drzwi Ekologicznej. Ekologiczna wcale nie wygląda na ekologiczną. Ma jakieś koronkowo-fiszbinowe, purpurowe dessous. Do tego świeżą malinkę na szyi.

— Zapomniałeś szalika...

Znikam u siebie. Starannie zamykam drzwi na zamek i łań-cuch. Chyba napiję się zimnej wody albo czegoś innego.

— I wtedy mówię historyczce z pełną powagą, że Napoleon i pani Walewska byli ze sobą bezpośrednio złączeni...

Iwona wytacza się z fotela i rży ze śmiechu. Efekt jest upior-ny, bo wymachuje wszystkimi czterema kończynami, jakby miała drgawki albo coś... Trzeba przyznać, znowu się wtrąbiłyśmy.

— A Michał... — chichoczę — jest bezpośrednio złączony z moją sąsiadką.

— Żartujesz?!

— No coś ty. Prawie ich nakryłam.

— Martwi cię to? Przecież to już nie twój mąż, tylko głupi dupek...

— Skąd! Ale moja sąsiadka?

Świat jest taki zabawny, ale poważnieję. Iwona ma swój pro-blem.

— Czujesz coś jeszcze do niego? — pytam.

— Złość.

84

— To dobrze.

— Trochę miłość. Ale widocznie tak musi być. — Krzywi się, bo na leżąco próbowała dopić martini i zagryźć oliwką. — Lekarz powiedział Jędrkowej, że to ciąża mnoga.

— Jaka?

— Widzisz, Jędrkowa brała jakieś hormony potęgujące owu-lację czy co... A jak wtedy rozbiegnie się te trzysta pięćdziesiąt

milionów męskich kijanek, to niewiele się zmarnuje...

Za oknem pada pierwszy śnieg i pokrywa całą wredną okolicę białym welonem niewinności.

Jestem idiotką, bo dopiero teraz załapałam, że Iwona miotała się w andrzejki i udawała beztroskę, a Jędrrek świętował wtedy imie-niny. W dodatku z przyjaciółmi ze szkół oraz z żoną.

Wolny Golec z Golec "Orkiestra ożenił się... I w porządku... Tylko że nie ze mną. To znaczy dlaczego nie poczekał, aż się spotkamy? Gdzieś, kiedyś?

Julia Walewska, lat dwadzieścia pięć, bezrobotna i rozwódka idzie do hipermarketu. Nie, nie po zakupy. Kieruje się do szatań-skiego wynalazku robiącego zdjęcia. Wrzuca monety, wchodzi do środka i siada na niskim stołku. Bierze głęboki oddech, roz-luźnia ramiona. Uśmiecha się.

Zrobione.

Wstaje, wychodzi na zewnątrz. Czeka.

Aparat wypluwa zdjęcia. Cztery obrazki małego formatu... Julia Walewska uśmiecha się do czterech uśmiechniętych Julii Walewskich. Ale nie tylko do nich... Za lewym ramieniem każ-dej uśmiechniętej dziewczyny majaczy znajomy cień.

Dziewczynka z aniołkami

Wyobraźcie sobie mnie — Julię — jako ośmioletnią dziewczyn-kę. Co za karkołomne zadanie! Trudno uwierzyć, że kiedykol-wiek bawiłam się lalkami, bo istotnie, jak wysilę pamięć, prefero-wałam metalowe autka. Mniejsza jednak o szczegóły, wyobraźcie sobie małą, która ma ogromne fiołkowe oczy — na pół

twarzy. Tak intensywne w kolorze, że pochopny obserwator może odnieść wrażenie, że dziecko składa się tylko z nich. Patrząc dalej: ręce, nogi jak u każdej innej małolatki. Cienki, długi warkoczyk, mysi ogonek, upleciony z szarawych włosów, które ktoś kiedyś miłośniwie nazwał barwą szatynową. Do tego wełniana spódnica w kratkę i ortalionowe buty marki Relax, sprana bluza dresowa z wścibską myszą. Bluza i mysz przysłane przez ciotkę z bajkowej Ameryki, do której to ciotka wcale nie bajkowo uciekła podczas stanu wojennego. Jest rok 1984 i wciąż trochę jak u Orwella. Wielki Brat, Died Moroz śpi za wschodnią granicą. Moja babcia, osoba bardzo ekscentryczna, ale patriotka (wdowa po AK-owcu, ta, co to roznosiła bibułę pod pozorem spacerów z pekińczykiem Pimpusiem), uparła się, że pośle mnie do pierwszej komunii. Dyskretnie, rzecz jasna, żeby ojca nie wyrzucili z Wyższej Szkoły Oficerskiej, w której to czegoś nauczał. Wieczorami wymykam się do kościoła na katechezę. Kościół jest z betonu; okrągły moloch, koszmar dla architekta Notre Dame, wznosi się absolutnie niedyskretnie nad równie szarym osiedlem.

Wokół ani

86

jednego drzewa, ani jednego klombiku — tylko prabiblijne błoto, z którego coś dopiero ma zostać stworzone. Nie ma też lamp ulicznych. Od jesieni chodzę tam z wojskową latarką po dziadku. Zamykam się w pachnących kurzem i kadzidłem salach wypełnionych dzieciakami. W trzyliniowym zeszycie maluję białą chmurkę z napisem „Bóg”. I słyszę, że Bóg na mnie patrzy. To dobrze; ja jednak po heretycku dedukuję, że Bóg ma pewnie dużo pracy z całym światem, więc obserwuje mnie jakiś anioł. Mój anioł, bo każdy ma swojego anioła. Tak czy inaczej, przestaję dłużyć w nosie — wstrętnemu temu nałogowi oddawałam się w samotności, ale skoro zawsze mi ktoś towarzyszy, to dłużyć nie porzucam. Bardzo staram się być grzeczna, nie sprawiać kłopotu. Sęk w tym, że do owej religii jestem w ogóle nieprzygotowana, a tu czeka mnie egzamin przedpierwszoeucharystyczny. Egzaminuje siostra Hermenegilda. Nauczycielka, której imię za konne w pełni charakteryzuje urodę, takt, podejście do młodych i siłę charakteru. Boję się jej jak Złej Królowej z bajki o Królownie Śnieżce...

„Julia, powiedz nam, dziecko, czy anioły mają skrzydła?” Co to w ogóle za pytanie. Czy zakonnica może czegoś takiego nie wiedzieć? To zmyłka! Popatruję na siostrę Genowefę, tę o różanych policzkach, która najwyraźniej zapomniała o naszych wspólnych katechetycznych przeżyciach, gdy Hermenegilda zległa na gripę (uczyła mnie gospel i pięknie po aktorsku pokazywała, jak jeździłaby na mojej hulajnodze ze skrzywioną kierownicą, która zawsze skręca w lewo). No tak, zapomniała, bo teraz

popatruje to na zakurzony sufit, to na własne blade paznokcie, nie kwapiąc się do podpowiedzi. Na proboszcza, który siedzi na katechezie z wizytacją, dzieci działają jak stado liczonych baranów u progu męczącej nocy — usnął w najlepsze i nawet od czasu do czasu pochrapuje śmiesznie jak czajnik na zbyt dużym ogniu, za nic mając zgorznione spojrzenia Złej Królowej.

— No! — Każdego zdenerwowałoby takie chrapnięcie. — Mają te skrzydła czy nie mają?

87

— Mają!

A widział ktoś prawdziwego anioła bez skrzydeł? Niemożliwe. Raczej należałoby zadać pytanie o to, jakie te skrzydła są. Wielkie, białe i gołębie, czy może u takich zupełnie małych aniołów jak skrzydła motyli. Orle skrzydła pewnie ma Michał Archanioł, a myślę, że takie jak czarny aksamit całkiem nieźle wyglądałyby na Lucyferze.

— Mylisz się, dziecko. Anioły nie mają skrzydeł, bo to tworzy bezcielesne — tłumaczy łagodnie siostra Genowefa.

— Jak duszki. — Przebudził się ksiądz. — Wiesz, co to duszki?

Akurat! Anioły to nie duchy. Zresztą co to za dyskryminacja, czy jak duch, to już nie może mieć skrzydeł? Moja prapraprapra-babka ukazuje się na swoim zamku i z kochankiem, i z karołą do kompletu. I słyszałam, jak babcia Helena mówiła o skoligaco-nej z rodziną Białej Damie „ta latawica”, a potem, że niby my wszystkie takie uskrzydłone.

— Oblaś, moja panno. — Stukanie drewnianej linijki o zakurzone biurko.

Jak można coś oblać, jak się ma dopiero osiem lat?

Od małego wiedziałam, że jak spotyka człowieka jakieś nie-szczęście, to wtedy trzeba sobie kupić jakiś prezent, żeby odzyskać wiarę w życie. Do sklepu papierniczego udało mi się wbiec tuż przed zamknięciem. Sprzedawca chciał mnie wyprosić, bo się spieszył.

— Ale proszę pana, ja tylko na chwileczkę, ja wcale nie będę się zastanawiała, co kupić — miauknęłam, a mars na czole raptem mi się wyprostował. — Po prostu kupię.

— Iz takich małych dziewczynek wyrastają potem żony? —
Sprzedawca popatrzył na mnie ciekawie.

Dorośli oszaleli z tym zadawaniem pytań, na które i tak potrafią odpowiedzieć sobie sami. Postanowiłam, że nigdy nie będę dorosła. To nawet gorsze i bardziej gorszące od bycia dzieckiem,

i nie wolno w tym stanie jeść czekolady, i trzeba się odchudzać, jak mama.

— Ja poproszę anioła, ze skrzydłami oczywiście.

— Ma się rozumieć. Nasz klient, nasz pan.

Wyciągnął je spod oszklonej lady — trzy aniołki, a dokładnie trzy anielice (problem płci będzie mnie intrygował później, na razie mam osiem lat i pozwalam na siebie mówić Julcia. Później na taką poufałość nawet mężowi nie pozwalałam). Tamtego wieczoru ujrzałam pierwsze w swoim życiu serafiny. Twór bożski, na który składała się głowa, z której na wysokości uszu wyrastały skrzydła. Można było się przestraszyć.

— To są ozdoby na choinkę. Komplet.

— Może i komplet, ale do Gwiazdki przecież jeszcze trzy miesiące.

— Hej, a rodzice wiedzą, co chcesz kupić? — oburzył się jakoś.

— Tata nie żyje, a mama pracuje w psychiatryku...

Po pouczającej lekturze bajek dość wcześnie zorientowałam się, że sieroty, a przynajmniej półsieroty zwykle dostają pół królestwa i królewicza za męża. Też tak chciałam, a przez to zmuszona byłam przez okoliczności do częstego łgania. Przepraszam, tato, gdybyś chociaż miał mniej kontrowersyjną pracę... Co do mojej mamy to szczerą prawdą, była pielęgniarzką na oddziale zamkniętym, tak jak Mutter Gretkowskiej („Trudne dzieciństwo to najlepsza szkoła dla pisarza”, mawiał

Hemingway albo ktoś do niego bardzo podobny).

Sprzedawca poczerwieniał i chrząknął.

— A ten czarnowłosy — stuknął palcem w obrazek — to szef wszystkich aniołów.

Wyszłam ze sklepu, ściskając w rękach niespodziewany prezent. Za moimi plecami szcęknął zamek. Mężczyzna smutno uśmiechał się do mnie przez szklane drzwi. Może miał córkę i poczuł się śmiertelny przez taką małą żonę jak ja? Zadowoloną żonę. Dobrze się stało, bo przyznam, że w ogóle nie miałam pieniędzy, ani grosika.

89

„Dziewczynka z aniołkami” wraca do domu. Zmarznięta na sołpel — możliwe, że do Gwiazdki było wcześniej, niż się spodziewała. W końcu kres wędrówki: dom, słodki dom, dziewięćciopiętrowy mrówkowiec z wciąż psującą się windą (wyrabia kondycję) i zapychającym się zsypem (wyrabia hart ducha). Można odwiesić na wieszak kratkowany płaszcz na watolinie: ohydztwo, z którym nic by nie zrobił nawet najzdolniejszy stylista. Julia nie wie, że za siedmioma morzami, za siedmioma górami i za siedmioma wizami wznosi się królestwo Marksa & Spencera oraz cesarstwo Vivien Westwood. W sumie tak jest lepiej dla dziecka. Co z oczu, to z serca, albo Republika Marzeń przed przewrotem. Po płaszczyku i rodzinnych nieprzyjemnościach (religia) pora na obiadokolację i kąpiel. Każdy, nawet rodzic, wie, że lekcje się odpisze.

— Umyłaś zęby?

— Tak, mamó! — odkrzykuje z łazienki.

— A uszy?

— Też! — gładko kłamie.

Przyszła dać buzi na dobranoc swojemu kotkowi...

„Kotek” leży sztywno na połowie łóżka. Zdobi go flanelowa piżama w skaczące pajacyki — kolejny ciuch, kolejna kropla gotryczy do odzieżowej traumy dorosłej Julii.

— Ładnie ci w niej, kochanie. — Dlaczego mama nie patrzy

Julii w oczy? — Julia, dlaczego układasz się tylko na kawałku

łóżka?

— Ciii, anioł.

— Tak?

— Anioł Stróż śpi ze mną. Ty go po prostu nie widzisz, bo jesteś za stara.

— Pewnie tak. Mam tylko nadzieję, że ten twój anioł to dziewczynka...

I kto stworzył rodziców?

— Zuza, chodź tutaj, Zuza! — drze się tato z drugiego pokoju.

— Dobranoc, mamó.

90

— Dobranoc, aniołku.

— (Dobranoc, proszę pani!

— Julia?

Słodkie pochrapywanie.

— ZUZA!

— Idę już, idę...

Julia jeszcze nie śpi, tylko udawała. Stara się nie wybuchnąć śmiechem na dźwięki dochodzące z sypialni rodziców. Podślućhuje ich przez cienkie gipsowe ścianki. Ciekawe... Czy fajnie byłoby mieć na przykład siostrę? Cholera wie, co może się wydarzyć, gdy ma się rodziców do pary. Czy ich Anioły Stróże te-raz na nich patrzą? Rodzicielskie łóżko rytmicznie poskrzypuje. Co za śmieszna zabawa. Julia dużo później dowie się, że niejaki Orygenes (nie byle kto, bo ojciec Kościoła) stwierdził, jakoby każdy Anioł Stróż brał udział w „akcie płodzenia” swojego przyszłego podopiecznego. Od takiego anioła to wiele można było się nauczyć...

W mrocznej szafie szepcze jeszcze zielony, fosforyzujący stwór z kosmosu, ale Julia w ogóle się go nie boi. Każde dziecko ma swojego Marsjanina. Anioł ją obroni. Wtula się ufnie w wiel-kie gołębie skrzydła.

To przyszło z dnia na dzień: biodra, piersi, wycięte majtki. Panna Julia, psiakość!
Obudziłam się i już to było.

— Rosjanie przyszli!

Ja, panna postokrągłostołowa, nieświadomie małpuję określenia Brigitte Bardot na period. Taki szyfr wymyśliła sobie z Va-dimem, by rodzice się nie zorientowali. Superseksowna Bardotka miała być do ślubu dziewicą. Kłopot w tym, że narzeczony nie nazywał się tak naprawdę Vadim (pseudonim artystyczny), lecz Plemniakov. Nawet najbardziej mieszczańskich rodziców można wyrolować, chyba że chodzi o pójście do szkoły. Wtedy nie ma zmiłuj!

— Julia, wstawaj!

91

— Julia, pospiesz się, bo nie zdążysz zjeść śniadania!

— To nie zjem... — Wcale nie mam ochoty, gdyż przy tym samym kuchennym stole malutka Aśka siedzi na podwyższonym stołku i uderzając łyżką w pełny talerz, eksportuje owsiankę na ściany.

— Nie odszczekuj się, moja panno!

— Daj kanapkę. Zjem po drodze.

— Julia, jak kłamiesz, to ci się z nosa kurzy.

Więc jem.

— Brrummm, bruummm.

Takie poranne rozmowy sprawiają, że prawie przestałam się spóźniać na lekcje.

Matka zatrzymuje mnie w drzwiach.

— Wzięłaś worek z pantoflami?

— Teraz nosi się je w reklamówce. — Wyciągam torbę przed siebie.

— Ale to niehigieniczne!

Kiedyś jednak będę dorosła.

Po narodzinach Joanny już nie wierzę, że aniołki przynoszą dzieci. Żeby zostać małym ateiście rodzicem, nie musiałam wcale zacząć miesiączkować, po prostu żaden aniołek nie byłby tak wredny, żeby przynieść takiego bachora.

Szkoła. Miejsce kaźni maluczkich. Mordobicie na każdym korytarzu, pała w każdym dzienniczku. Kasty jak w Indiach i matematyka. Nauczycielka rozdaje klasówki. Nie jest to dla nas dzień zwycięstwa. Nawet szkolny kujon zwiesił nos na kwintę. Coś niedobrego wisi w powietrzu.

— Proszę pani, Śmiałkowski znowu zepsuł atmosferę!

Mojej klasówki wciąż nie ma. A przecież ją pisałam. O tak. Na nic się zdało wkładanie termometru do herbaty. Byłam zdrowa — nieoficjalność pokrywała się w tym z oficjalnością: Aśka w zamkniętym pokoju chorowała na świnkę. I po co to główniarze? W zerówce można być zdrowym.

92

— A Julię Walewską zapraszam po lekcji do swojego gabinetu.

Z tą matematyką to anioł mi pomógł. Anioły są ekspertami od

liczenia, odkąd postawiono pytanie: Ile aniołów zmieści się na łebku szpilki? Anioł Stróż obiecał, że we śnie ześle mi zadania z klasówki, już rozwiązane... I zesłał, rzecz jasna.

— Walewską, nie złapałam cię na ściąganiu. — Macha mi przed nosem kartkę, na której jak wół stoi piątka. — Myślałam, że to Tomasika, ale to twoja.

Ups!

— I to jest niemożliwe, moja panno!

Pali się!

— Jak to zrobiłaś?

— No, nauczyłam się...

— Nie żartuj sobie ze mnie.

— Te pytania — mówię — przyśniły mi się.

Parska przez nos.

— W zasadzie, proszę pani, to był prezent od przyjaciela.

Najbliższego przyjaciela.

— Walewską, ty się przygotuj na powtarzanie roku.

— (Byłaby (Pani szczęśliwsza, gdyby wierzyła w anioły. Chodź,

Judo, wychodzimy!

— Byłaby pani szczęśliwsza, gdyby uwierzyła pani w anio-

ły! — Prawie widzę tego jej nieszczęśnika postawionego do kąta.

Smętnie macha nam końcem skrzydła.

— Cdyby pani słuchała swojego Anioła Stróża, to wyłączyłaby żelazko przed wyjściem do pracy.

— Gdyby pani słuchała swojego Anioła Stróża, to wyłączyłaby żelazko przed wyjściem do pracy.

— Wynoś się, Walewską! Następna nawrócona! Biznes w tym czujecie, biznes!

— Słucham?

— Słucham?

Wychodzę, a matematyczka zadzwoniła do swojego domu. Nikt nie odebrał, bo od żaru stopił się bakelitowy aparat telefoniczny.

93

Rusycystka, przyjaciółka matematyczki, która teraz przeszka-la się na anglistkę, przywiozła z Bostonu Carrie Stephens Kinga — to książka o dziewczynce, której, gdy dostała miesięczkę, od razu zaczęło odbijać. Myślą przesuwawała przedmioty i

wzniecała pożary.

— Carrie! — Słyszę w korytarzu.

Matematyczka, dawna towarzyszka przewodnicząca komórki PZPR w naszej macierzystej szkole (czy czegoś podobnego) obgaduje mnie w pokoju nauczycielskim i mówi, że jestem żywym dowodem na „histerię religijną” i że za czasów komunizmu nic takiego nie mogłoby mieć miejsca.

Nie zostaję jednak na drugi rok, a szkoła nadal jest moim problemem.

Kiedy mama wchodzi do pokoju, leżę na kanapie tak, że nogi opieram o ścianę, a głowę zwieszam w dół, by krew do niej napłynęła.

— Co robisz?

— Wyobrażam sobie.

— Aha. — Siada obok mnie i przyjmuje tę samą pozycję. —

Ale co?

— Nie widzisz?

— W ogólnym zarysie — stęka.

— Wyobrażam sobie świat, który stanął na głowie. Ludzie chodzą po suficie, nie ma matematyki...

— Byłaś w szkole?

— Ani fizyki. Byłam.

— Na pewno?

— Byłam. I nigdy już tam nie wrócę. — Z hałasem siadam na tyłku.

Mama nie.

— Jeszcze sobie tak popatrzę.

— Ja nie żartuję!

— Ja też nie.

Mijają minuty. Ojca nie ma, a Joanna śpi. Mażę coś na kartce.

— Niegłupie — mówi mama, z wysiłkiem przekręcając głowę, by spojrzeć na rysunek.

— Nie wrócę do szkoły!

Siada wreszcie normalnie.

— Jeszcze tylko pół roku podstawówki. A potem... Liceum plastyczne?

— A tam nie ma fizyki i matematyki?

— Jest, ale mało. Wiesz, artyści.

— Maaama! — To Aśka się obudziła.

— Obowiązki wzywają. — Wstaje.

— Mamo? A ty lubisz liczyć?

— Dlaczego pytasz?

— Zastanawiam się, czy mogę się pogodzić z tym, że będę miała jeszcze jakieś rodzeństwo...

Powoli, acz nieuchronnie pochłania mnie wir przedświątecznych zakupów. Jak ruchome piaski. Znikąd nadziei. Chyba żeby prześpać, przeleżeć te święta jak wielka niedźwiedzica Byrcyny... Inna sprawa, że tylko teraz można przetrwać taką kupę forsy bez obawy o wyrzuty sumienia.

— Kupię sobie sutki — stwierdza jakby nigdy nic Iwona, kiedy ja właśnie przymierzam się do jakiejś cholernie drogiej bluzki.

— Myślałam, że już masz.

— Och... Nie mówię o naszych sulkach — powiedziała to takim tonem, jakby zapomniała, że i faceci je mają, co przecież tworzy sprzeczność, bo faceci nie mają piersi. — Mówię o sztucznych sulkach. Takie sterczące sutki to dla faceta sygnał „Jestem podniecona. Weź mnie tutaj!”. Sęk w tym, że jeśli nawet nam te sutki sterczą, to zwykle w biustonoszu i efekt optycznie się marnuje. Biustonosze zaś większość z nas musi nosić, żeby, no wiesz, nie tracić figury... Więc aby pogodzić interesy damskie i męskie, wymyślono sztuczne sutki. Nakleja się taki sterczący sutek na sutek oklapły, jeśli masz małe cycki, a jeśli masz duże, to na specjalne miseczki stanika...

— I co?

— No i możesz iść w tango!

— Z tym stanikiem to coś ci się nie pomyliło?

96

— Nawet jeśli, to nie sądzisz, że te silikonowe sutki są przełomem jak, bo ja wiem, płucoserce?

— Tabletka antykoncepcyjna.

— Mikroprocesor.

— Czip.

— A propos, wiesz, kto jest w „Playboyu”? Goły? — Robi efektowną pauzę. — Anita Lipnicka!

— Aha. To chyba symptomatyczne, że jest goła.

Zmordowane zakupami siedzimy w kawiarence domu handlowego.

— I jak wygląda?

— Chudo. Bardzo chudo. — Iwona z pasją atakuje napoleonkę. Bardzo kremową. — „Wszystko się może zdarzyć”, tylko Anita nigdy nie będzie gruba — mamrocze.

— Co cię tak złości? Też nie jesteś gruba.

— Tylko nie złości. Tylko nie złości. Nie jestem jakaś zażdrosna — burczy. — Ale wiesz, co to znaczy nosić trzydziesty ósmy rozmiar? — pyta dramatycznie.

— Nie. — Zwykle noszę czterdziestkę. Jak schudnę, to ciuchy na mnie trochę wiszą, ale ja lubię luźne ubrania. Kiedy przytyję, no cóż, nie ma problemu...

— Fajne koronkowe ciuchy (nie mylić z bielizną — tu panuje większa demokracja) to najwyżej 36, a nawet... — cisza — 34.

Wzruszam ramionami. Pałący „problem 34” co jakiś czas powraca, jak bumerang.

— Bzdury. Zresztą ty i tak chodzisz w bojówkach.

— Bo pracuję w radiu, a tam nikt mnie nie ogląda — wzdycha.

ELLE-owski horoskop na grudzień 2001: „Pora spojrzeć prawdzie w oczy i jeśli w skarbonce zrobiło się pusto, wziąć się do pracy. Masz jej dość? Nie podejmuj przedwczesnych decyzji, sprawy doprowadź do końca. Autorką niepochlebnych opinii na Twój temat jest zazdrosna pseudoprzyjaciółka. Nie przejmuj się byle czym.

Koniec miesiąca naprawdę radosny!" .

97

Haaa!

A najfajniej mają Barany (21.03-20.04, planeta opiekuńcza Mars): „Realizacja jakiegoś ważnego projektu przyniesie wiele satysfakcji. Być może świątecznym prezentem okaże się prze-prowadzka do nowego domu lub objęcie odpowiedzialnego sta-nowiska. Wolałabyś wielką miłość? Jest blisko, a może już przeczuwasz jej nadejście? Zapowiada się dużo emocji! Miłos-ne podchody to wciągająca gra".

A może by tak poderwać jakiegoś zodiakalnego Barana? Py-tanie tylko: Jak to zrobić?

Jest jeszcze jeden problem: Po czym poznać, że to właśnie on?

Zawsze chciałam mieć mały, biały parterowy domek, a w nim zakochanego mężczyznę (mam nadzieję, że nie jest to tylko ho-roskop dla kobiet. Istnieje przecież równouprawnienie?!).

Za każdym razem czuję się nieswojo w tym wielkim radiowym bunkrze Iwony. Dziś głośno przełykam ślinę, gdy widzę, w jak zasadniczy sposób moja przyjaciółka chlasta żyłką sześćdzie-sięciomilimetrową taśmę z wywiadem. Czyżbym przyjaźniła się z żeńską wersją Hannibala Lectera?

— No co tak patrzysz? Montażu nie widziałaś? Ja montuję.

— Myślałam, że wszystko robicie elektronicznie...

— Też tak myślałam, dopóki nie przyszłam tu do pracy —

warczy. — Spójrz na to pieścidełko. — Podaje mi srebrne pu-

dełko. — Kupili nam takie cuda, ale już im nie wystarczyło kasy

na resztę. Przynajmniej z zewnątrz wyglądamy jak bonzowie.

Wracamy tu, przegrywamy na zwykłą taśmę i chlast!

— To przykre.

— Tak, przykre. — Złośliwie się uśmiecha. — Czytałam

ostatnio taki angielski romans, który częściowo dzieje się w lon-

dyńskim radiu. I wiesz co?

Milczę.

— U nich taka sama bryndza! Tyle że tam to jakieś podrzęd-

98

ne radio. W przeciwieństwie do nas, tradycjonalistów. — Prostu-je się do pełnej wysokości.

— A jaki tytuł miała ta powieść?

— Wzloty..., kurna, .../ upadki.

— Prawie jak Wojna i pokój. Bardzo biblijny romans, biorąc pod uwagę sen faraona o siedmiu krowach...

— Julia, a ty byś wolała być krową chudą czy tłustą?

— Chudą. Przyznaję, że biblijna symbolika trochę się zde-waluowała, ale...

— Lepiej nie kończ!

Iwona cały czas jest wściekła. Skończyła właśnie robić materiał z przywódcą chłopskim, który przyjął ją w domu — na fermie stru-si, wokół której pasły się pawie. W dodatku gość rozmawiał z nią ubrany w walonki i drelich, co Iwona odebrała bardzo osobiście.

— Przecież pani z radia, więc nic nie będzie widać, a po co mam ciuchy brudzić... — wytłumaczył.

Śmierdział sztucznym nawozem i był przekonany, że Witos to potrawa z karpia.

— Dziwne czasy — burczę współczująco, żeby jakoś prze-rwać jej żale, i zaczynam opowiadać kosmopolitycznie, że w „Die Welt” ukazał się artykuł, którego autor przypuszcza, że za śmier-cią Diany i jej islamskiego narzeczonego Dodiego al Fajeda może stać Ibn Ladin. Diana była zmorą Ibn Ladina. Inspirowała islam-

skie kobiety do walki o postęp. Prawdopodobnie za to właśnie zapłaciła życiem.

— Biedna Diana... — wzdycha Iwona.

Konfetti z taśmy spada na podłogę.

— Muszę jeszcze do tego idioty dopisać komentarz.

— I co to będzie?

— „Miałeś, chamie, złoty róg”, ale najpierw obiadokolacja.

Zabiera torbę, zostawia rozrzucone taśmy i groźnie błyszcząca żyletkę na stole montażowym. Nie zamyka drzwi.

— A niech by ktoś tego idiotę ukradł i mnie od niego uwolnił...

W stołówce serwują tak dobre żarcie, że musiano wprowa-

99

dzić przepustki dla pracowników i gości, bo pół miasta pchało się na wyzerę...

— Dopadły mnie lęki egzystencjalne — wyznaje Iwona nad kupką ziemniaków i buraczkami. I zaczyna: — Stałam przed „widmem nieuchronnej bezdzietności”. Miesiączka mi się spóźnia, ale to nie to, tylko to, że schudłam... Jędrak coraz bardziej mnie wkurza!

W końcu nawet łza skapnęła na kotlet w serowej panierce. Słowem, wzloty i upadki.

Jestem „ponownie zamknięta”. To socjologowie wymyślili termin „neococonning”, aby określić stan, w którym ludzkość znajduje się po katastrofie WTC. Podobno mniej czasu spędzamy w knajpkach, na bibkach, a nawet w pracy, i niczym synowie marnotrawni wracamy na łono rodziny (ciekawe, czy zaowocuje to przyrostem urodzeń). A wszystko przez prywatne kompleksy mężczyzn w turbanach. Facetów, którzy każą chodzić swoim kobietom w zasłonach na twarzach, a jednocześnie twierdzą, że spojrzeć w oblicze pięknej kobiety to jak ujrzeć oblicze Boga (wszystkie Arabki są piękne, a przynajmniej te, które uciekły na Zachód i pokazały swoje twarze). Jeśli tak, to czy nie najłatwiejszym skłonieniem niewiernych do przejścia na wiarę Proroka byłoby pokazywanie w pełnej krasie cór islamu? Po co od razu

puszczać samoloty na niewinnych ludzi? Wierzę, że w końcu to kobiety uratują ludzkość...

Jestem „ponownie zamknięta” — nie wiem, na ile do końca jest to mój wybór, a na ile wybór tych, którzy mnie otaczają. Stałam się nie czuć samotna, ale...

W obliczu trzeciej wojny światowej całkiem egoistycznie umiłam sobie życie — na przykład jedząc. Jem co prawda tylko dania z puszek, żeby przyzwyczać się do konserw wojskowych. Aktualnie brzoskwinie w zalewie. Pyszne, bo słodkie... Takie jakie powinno być życie — dolce vita. Nasuwa mi się mimowolne skojarzenie pomiędzy słowem „peach” (brzoskwinia) ze słowem

100

„peace” (pokój). Kocham brzoskwinie i kocham pokój. Pokój ma coś z brzoskwini — daje zadowolenie. Poczucie bezpieczeństwa jak zapach ciasta brzoskwiniowego i dobry nastrój jak nalewka brzoskwiniowa babuni... Uważam, że to porównanie OK, bo jest ludzkie. Jasne, że politycy i socjologowie nazwą je płytkim. Gwiżdżę na to. Gdyby byli mniej wydumani, to nie bylibyśmy „ponownie zamknięci”. W porządku, zakokońmy się na święta, a potem do dzieła! Pogonić Ibn Ladina. Zrozumieć Busha. Odbudować WTC — nowy projekt przewiduje wybicie w budynku dwóch elips w miejscu, gdzie uderzyły samoloty. Niektórzy uważają go za świętokradczy, a mnie się podoba: przez te otwory będą przelatywały wolne ptaki.

I najważniejsze — częściej się uśmiechać.

Ponownie „otworzyć się”, zaprzyjaźnić, pokochać, poseksić, zrobić dziecko...

Natarczywe dobijanie się kuriera wyrwało mnie z wanny (kurier zawsze dzwoni trzysta razy, jakbym i tak to nie ja musiała biegać na pocztę z awizo).

Stoję teraz w korytarzu, mokra, owinięta w ręcznik. Ręcznik zszarzał w praniu (uprałam go z czarnymi majtkami) i trochę się zmechaniał, a to świadczy o zaniedbaniu w domu bez mężczyzny. No bo dla kogo prać prawidłowo bieliznę, obrębiać ją, cerować dziurki, przyszywać troczki? Sama mogę być fatalną gospodynią domową, bo poza mężowską oceną. I oceną teściowej. Inna sprawa, że teściową dotąd obchodziłam tyle, co zeszłoroczny śnieg. Nie inaczej zaś odnosiła się do mnie macocha Michała, bardziej zatroskana kupą kangura niż moją bielizną. W sumie słusznie — gdyby teraz nastąpił atomowy koniec świata, to jak mówią filmy, antypody i macocha wydałyby ostatnie technienie na samym końcu. To duża odpowiedzialność, niepozostawiająca czasu na myślenie o drobiazgach.

Stoję tak i drzę — trochę z zimna, trochę z podniecenia. Jeszcze nigdy nie przyszedł do mnie kurier... Czy to nie brzmi świńsko?

101

Kurier, listonosz, hydraulik — panowie od drobnych małżeńskich usterek... Tak przynajmniej wynikało z półprawd padających w dzieciństwie na zakrapianych rodzinnych przyjęciach. „Julcia, a skąd ty jesteś? Listonosz cię przyniósł!”, „Julcia, a w kogo ty się wrodziłaś? Aby nie w tego hydraulika, co to wam kaloryfer naprawiał?” Istotnie z dzieciństwa pamiętam ciągle awarie pękających kaloryferów, idąc więc tropem tamtej aluzji, powinnam mieć cały legion braci i sióstr. A ja mam tylko Aśkę — skórę zdartą z tatki. Nie, mój meszek na karku wcale nie podnosi się na myśl, że zaraz wparuje do mojego mieszkania jakiś Adonis średniej klasy pracującej. Ja drzę na myśl o przesyłce! Co takiego mogłam dostać? Od kogo? Ciotka z Ameryki ostatni T-shirt przysłała mi wtedy, gdy Wałęsa został prezydentem („A teraz to Wy radźcie sobie sami”). Więc kto?

Cooo?

Kurierów jest dwóch. Obydwaj śmierdzą potem, aż dymią-cym od feromonów, i obaj są wściekli. Tak wściekli, że nawet nie potrafię ocenić, czy któryś jest przystojny.

— To chyba dla pani. — Wnieśli wielkie pudło. Wielkie i ciężkie.

— Dla mnie? — Klasnęłam w ręce. Nadal uważam, że przynajmniej jeśli chodzi o niespodzianki, liczy się wielkość.

Popatrzyli jeden na drugiego.

— Dla pani, jeśli pani tu pokwituje i zapłaci...

To nie prezent, to jakiś cholernie głupi dowcip.

— Ale w ogóle to co to jest?

— Rower treningowy.

To była okrutna aluzja. Więc teraz jestem gruba, a za chwilę będę splukana.

— Ale ja nie zamawiałam...

— Żeby pani wiedziała, ile razy my to słyszymy...

— Ja się brzydę sportem!

I zdrową żywnością, i niefarbowanymi tkaninami, naturalnymi metodami zapobiegania ciąży, pić ziołowych herbatek zamiast szklaneczki Johnniego Walkera...

102

— Proszę mi pokazać adres...

Olśnienia zwykle spadają na degeneratów. Przykład: Szaweł, który jechał do Damaszku, aby wyrzezać chrześcijan. Święty Franciszek, który nim został przyjacielem zwierząt, niedwuznacznie przyjaźnił się z kobietami, a dłoń Pańska musiała wskazać go skacowanego.

— To dla Ekologicznej — mamrocę.

— Co?

— Po pierwsze „słucham”, po drugie drzwi naprzeciwno.

Sąsiaduję z cholerną Jane Fondą. Dziecko się drze, a ta robi

te swoje brzuszki... „Dość życia u boku milionera nomady” — powiedziała prawdziwa Fonda i puściła w trąbę Teda CNN Turnera. Niepokoję się. Czyżby Ekologiczna miała mnie zaskoczyć siłą charakteru? Już mnie zaskakuje, miotając się (to jest ćwicząc) w rytm nie tyle gwiazdorskich poleceń z taśmy VHS, ile ryków brzdąca. Albo kupiła sobie korki do uszu, albo jest jeszcze większą flegmatyczką, niż mi się wydawało. A może to hormony w pierwszym okresie po ciąży robią coś z uszami? Przez dziewięć miesięcy jesteś pewna, że nosisz w brzuchu rybkę, a później okazuje się, że rybka jest syreną. Prędziutko uszy zarastają ci błoną...

Rany, jak ono się drze.

I jeszcze ten rowerek, phi... Kura domowa na kulturystycznej grzędzie — takiej na prąd. Małe ładunki elektryczne drażnią kurze łapy i kurzy kuper, więc kura podskakuje w górę, machając skrzydłami, i mimowolnie wykonuje rozciągające ćwiczenia gimnastyczne. Pióra się sypią...

Ale jestem złośliwa. Wstyd. To wszystko przez to, że wciąż mam moralniaka: przeze mnie giną lasy amazońskie, bo zamiast szorstkiego papieru toaletowego z gazetowego odzysku używam pachnącej, tłoczony w motylki nówki.

Moja mama urodziła się w mikołajki. Fajne to i romantyczne, ale z drugiej strony (tej materialnej) to jeden prezent mniej. Babcia jednak opowiadała, że to najwspanialszy prezent, jaki kiedykol-

103

wiek przyniósł jej Mikołaj. Niemalże dziewięć miesięcy wcześniej wyszła z obozu pracy, po trzech latach. Dziadek ją zobaczył i bach — zrobili mamę...

Dzisiaj są mikołajki, ja nie mam prezentu, a to oznacza, że muszę jakiś kupić. Nie mam nawet pomysłu. Cholera, to dziwne, ale ja tak naprawdę nie znam gustów swojej matki. W ogóle jej nie znam zbyt dobrze... Jestem wyrodną córką.

Wyrodną i nieszczęśliwą.

Nieszczęśliwą przez faceta, a w zasadzie przez jego brak. Ile tak można? Inna sprawa, że powinnam się najeść męskiego ciała (że o duszy nie wspomnę) przez okres swojego małżeństwa — nic z tego. W dodatku mój erotyczno-mentalny obiad zwiewa przede mną... Chyba nie jestem aż tak brzydka, żeby wszyscy faceci esteci przede mną uciekali? „Lustreczko, powiedz przecie...” Księżna Diana była piękna i co? Sami wiecie. Na jej łóżku leżała poduszka z własnoręcznym haftem: „Trzeba najpierw pocałować mnóstwo żab, nim trafi się na księcia”.

Wychodząc ze sklepu na wąski chodnik, wpadł na mnie jakiś młody małżonek. Błyszczące oczy, granatowy płaszcz yuppie, w ręku reklamówka z napisem Triumph. Kuszące... Hm, może też tu wejdę i sobie coś kupię? W końcu są mikołajki. I wchodzę. Oglądam łososiowy, miękki stanik z lycry.

— Doskonale się noszą — mówi ekspedientka.

Rzeczywiście, jest świetny, ale czy ten młody mężczyzna kupił

swojej młodej żonie sportowy stanik? Niedoczekanie! Pewnie nabył drażniące koronki, jakąś bieliznę oszłamiającą zmysły kałskadą czerwieni, czerni, prześwitów i haftów.

— Ma pani coś bardziej sexy?

— Jak bardzo?

— Najbardziej. SUPERSEXY.

— Mam taki dość oryginalny komplet...

To jest to, o co walczyliśmy! Męski prezent na mikołajki dla ukochanej. Stanik wypychający biust, ultrastringi i pasek do pończoch... Mniem. Bardzo odprężający prezent. Od razu można się poczuć kobietą.

104

— Biorę! — oznajmiam radośnie. Zaraz, zaraz, coś mi świta.

— A znalazłby się jeszcze jeden, taki sam, ale w większym rozmiarze?

Moja matka wita mnie serdecznie. Jest rozpromieniona i kończana. Z drugiej strony... Albo mam halucynacje, albo wydużyły jej się zęby. To wszystko przez ten świąteczny stres.

— Jak prezenty? — dopytuję się.

— Wiesz, jak zwykle. Rękawica do kuchni, robot kuchenny.

Książka Nory Roberts...

— Wszystkiego najlepszego — mówię, wręczając jej papierową torbę (nie, nie w reklamówce Triumphu. Przepakowałam w konwencjonalny papier z Mikołajem). — To niespodzianka.

Nie otwieraj przy wszystkich.

— Ale co to jest? — Unosi brew. — Intensywny krem przeciwzmarszczkowy? Kuracja hormonalna?

Bardzo dziwne! Pobiegłam po kolejne mikołajkowe zakupy, irracjonalnie licząc, że przepchnę się przez ten oszalały tłum poszukujących. I kupię rodzinie jakiś prezent, który będzie oryginalny i trafi w indywidualne gusty Walewskich (tato: bokserki w Mikołaje, mama: apaszka w Mikołaje, Aśka: maskotka Mikołaja, Iwona — brelok do kluczy samochodowych z latarką w kształcie zmutowanego renifera. Biorąc pod uwagę, że nie ma samochodu, może się wkurzyć). Miotając się w centrum handlowym od stoiska do stoiska, ujrzałam w pewnym oddaleniu Iwonę właśnie. W dodatku Iwonę z Jędrkiem. Prawie zdażyłam już zapomnieć, jak ten gość wygląda, a tu wielkie olśnienie. Wygląda jak fizyk, taki z poreformatorskiego gimnazjum. Twarz znużona od wysłuchiwania fizycznych bzdur. Zapalenie spojówek od ciągłego

sprawdzania zeszytów. Mars frustrata na czole (to chwiliowo niekulturalne, ze względu na obecność Iwony obok, która generalnie jest kobietą z męskich marzeń)...

Chodzili i też szukali świątecznych niespodzianek dla bliskich, a ja byłam przekonana, że ta wyemancypowana wariatka doradza

105

mu, co powinien kupić żonie. Najdziwniejsze jednak było to, że krok w krok, czając się między regałami, postępowała za nimi za-dbana czterdziestka w futrze z ocelotów. Pojawiała się i znikła jak detektyw Rutkowski. Ani chybi żona, sławetny cerber Jędrusia. .. Chwilę później zaczęli ją ochroniarze sklepu, którzy owo czajenie odebrali jako widoczny dowód przestępstwa. Korzystając z wynikłego chaosu, kiedy to dama tłumaczyła coś z oburzeniem, wpadłam za Iwoną i Jędrkiem do stoiska muzycznego.

— Julia?

— O, cześć! Nie zauważyłam was — ćwierkam.

— Co ty tu robisz?

— Ja? Szukam dla ciebie prezentu. — Rozglądam się w panice.

— Co powiesz na „Największe” Roya Orbisona albo... „Śpiew Porodowy Delfinów”? Dobrze do słuchania w samochodzie.

— Ja nie mam samochodu.

— No ale jeździsz na reportaże, to pewnie kierowca czegoś słucha.

— Tak — mamrocze — Szwagierkolaski.

Zarejestrowałam, że wystarczyła tylko chwila zrozumienia, iż

Iwona spotkała koleżankę, a Jędrrek odskoczył od niej i schował ręce w kieszeniach. Głęboko.

— Może więc „Romantyczne melodie”?

Drgnął. Zazdrosny czy się boi?

— A możesz się z tym wstrzymać do przyszłego roku?

— Przyszły rok jest za dwa tygodnie.

— I wystarczy — burczy Jędrak.

Ona chyba widzi w nim tylko te włosy jak u Einsteina. Gęste i sterczące... I siwe. Niebezpiecznie naelektryzowane od prądów myślowych przepływających pod czaszką.

— Iwonka, to ja już polecę. Jutro, tak jak mówiliśmy. Pa!

A fe, pocałował ją w czoło. I znikł szybciej niż książkę Karol nakryty z Camillą Parker-Bowles.

— I co, kretynko, narobiłaś? Poszedł sobie.

— I ciesz się... — opowiadam jej historię o skradającej się ocelocicy.

— Ona najwyraźniej tak samo jak ty nie może zdzierżyć nas razem.

Słucham wywiadu Iwony z chłopskim przywódcą i solennie obiećcuję sobie w ogóle niczego już nie słuchać, aż nie pozbędę się wrażenia, że otacza mnie banda wariatów. Samo mieszkanie na dziewiątym piętrze vis a vis Ekologicznej wydaje się już wyjątkowo niebezpieczne. Z tonu głosu Iwony wywnioskowałam, że nie podobało jej się, kiedy Chłopski zamiast „pani redaktor”, mówił do niej „koleżanko” oraz „kobietko”. „Kobietko, co ty tam wiesz”. Chłopski zarzekał się, że jak zgrzeczniej, to najwyżej w parlamencie, a przynajmniej parlament zgrzeczniej przy nim. Że chaćma poznaje się nie po tym, jak mówi, tylko jak je (Iwona nie miała „szczęścia” przekonać się, jak je Chłopski). I że „koleżanka” jest z tych, co to „bułkę przez bibułkę”, co stanowiło oralną aluzję do redaktorskiego życia. Słuchacz (to znaczy ja) mógł się z wywiadu dowiedzieć, że Chłopski robi nowąrewolucję antykapitalistyczną i że będzie dobrze, a może nawet tak fajnie jak za Gierka. Wisła popłynie od źródła do morza miodem, a wstecz, pod prąd (cały Chłopski jest „pod prąd”) — gorzałą. Co do mleka, które powinno być w tej bajce, wprowadzi się, że każda kobieta codziennie będzie dostawała mleko. „Bo wy (kobiety) mleka nie macie, a przez to rodzić wam się nie chce”. Po wtóre: „Jak dalej będziecie takie leniwe, to nas Chińczyki wykupią, co teraz handlują taj skim maćkaronem”. Ciekawa jestem, czy przez mowę Chłopskiego staćnęło przed Iwoną „widmo nieuchronnej bezdzietności”? Chłopski stwierdził, że on nie kłamie, że wie i robi, a jak ktoś mu nie wierzy i wytyka takie trudne słowo „niewiarygodność”, to on podda się badaniu

na wykrywaczu kłamstwa jak w przypadku „tych, co w USA mianują na prezesów banków”. Polskie banki oczywiście są wykupione przez Niemców i Tatarów itp. Co do USA, to w Polsce z polskich krów „taliby by Afgan” produkują uranowe bomby na Busha z jego genetyczną kukurydzą. Wywiad kończy się propozycją Chłopskiego, by Iwona obejrzała jego solarium.

*

Stercę pod gmachem muzeum i marznę jak aborygen na Kamczatce. Czekam. Cholera, przypominają mi się wszystkie licealne randki. Zawsze przychodziłam na miejsce spotkania wcześniej, bojąc się, że jeśli przyjdę „na styk”, on zniecierpliwiony pójdzie sobie do innej. Na ten idiotyzm wcale nie pomagało empiryczne stwierdzenie, że to ONI się spóźniają... Wciąż przychodziłam wcześniej. Marzłam albo rozpuszczałam się z gorąca, modląc się, żeby chociaż nos mi się nie świecił od potu. Tak, mogłam umierać, ale jak Nel na pustyni... Ładnie i z angielska. W dodatku dygotałam, co będzie, jeśli mnie oleje? Nie ma nic bardziej upokarzającego niż samotne schodzenie z randkowej czujki. Łatwo wówczas nabawić się paranoi, że każdy przechodzień, każda babcia oparta o parapet w swoim oknie, każda znudzona ekspedientka zerkająca przez okno wystawowe wie, że zostałaś wystawiona do wiatru.

Była na to tylko jedna rada: umawiać się na przystankach autobusowych. Duża rotacja tłumów uniemożliwiała identyfikację, wygląkanie widmowego autobusu i widmowego kochanka szkoliło umiejętności aktorskie (niezbędne w życiu!), a kiedy okazywało się, że absztyfikant nie przychodzi, można było ze zniecierpliwieniem na twarzy (tłumiony płacz) wsiąść do przypadkowego autobusu i dać się wywieźć na koniec miasta jak Jagna z Chłopów na gnojowisko. Cholera, łapię się na tym, że pomimo dwudziestu pięciu lat na karku, eksmeża, niedostatku kolagenu w komórkach twarzy i Bóg wie czego jeszcze wciąż zachowuję się jak randkowy pies Pawłowa. Stoję na przystanku przed muzeum, dygoczę i przepuściłam już dziesiątki autobusów o dziesiątkach powtarzających się numerów. Jest mi coraz zimniej, kiedy widzę jak chudy, najwyżej ośmioletni dzieciak pochłania na tym mrozie ogromne lody.

Nareszcie. Z autobusu, z grupą innych przemarzniętych ludzkich ulegalek (w MZK nie grzeją), wyturluje się Aśka.

— Spóźniłam się?

— Tak jakby, siostrze, tak jakby.

— Poprzedni mi uciekł, a nie będę biegała, bo jest ślisko.

Aśka ma na nogach wykończone futerkiem kozaczki na

ośmiocentymetrowych obcasach. Staram się nie zawyć z zawiś—ci. Właśnie mi strzyknęło w starczym kręgosłupie, bo muszę zadzierać głowę.

— Chciałam zadzwonić na komórkę, ale nie odpowiada.

— Zapodziałam gdzieś ładowarkę — mówię.

— Dawno? — Poprzez głębokie politowanie malujące się na jej twarzy przebija błysk zainteresowania.

Burczę, że gdzieś „na jesieni”. Straciłam męża, faceta, to i mogłam wyrzucić gdzieś „smycz”, którą ich pilnowałam.

— Masz?

— Mam. — Wręczam jej pudełko. — Tylko w drodze wyjątku.

— Tobie i tak niepotrzebne...

Arogancka szczeniara.

— Masz iść do lekarza. Następnym razem...

— Nie mów mamie. — Robi pyszczek spaniela. Wrodziła się w tatę...

— Ciesz się, że jeszcze nie jestem gotowa, by zostać ciotką.

— A jak to się bierze?

— Wszystko masz w ulotce...

Jakaś paniusia się na nas gapi. Pewnie wyglądam jak narkoty—kowy dealer deprawujący nieletnich...

— Wiesz, już to zrobiłam...

— Nie mogłaś poczekać jeszcze tych paru dni?

Oczy majak spodki. Mówią: „No coś ty, w moim wieku?”.

— Wiesz, to był „bezpieczny seks”.

— I jak? — Pora na babskie rozmowy.

— Ziemia się zatrzęsała... — Przymyka teatralnie oczy.

Panie Boże, dlaczego nie mogę mieć tego, co mają moja mat-

ka i siostra?

W końcu zbieramy się z tego przystanku i idziemy na wielkie żarcie. Oczywiście ja stawiam, ale skoro podejrzewam u siebie bulimię, a Aśka karmi się miłością i frytkami „u narzeczonego”, to nikogo to nie dziwi.

109

Ktoś bardzo cichutko puka do moich drzwi. Chyba nie święty Mikołaj? Mam tłuste włosy, włożyłam rozciągnięty amarantowy dres i pachnę spalenizną.

— Ładny kolor. — Iwona stoi na klatce i patrzy na świeżo pomalowane ściany. Do tego nerwowo przebiera nogami. —

Mogę wejść?

— Ha, ha. Nie. Właśnie robię popcorn.

Idzie za mną do kuchni. Hałas jak w bitwie pod Verdun.

— Ale strzela. Lepiej zdejmij z ognia, bo znowu się spali.

A ja mam ochotę na popcorn!

Syczę, bo znowu się oparzyłam. Kukurydza trochę ściemniała, ale coś jeszcze można z tego wybrać. Zabawię się w Kopciuszka.

— No, co się stało?

— Andrzej mnie zostawił. — Opada ciężko na taboret.

— Oj-

— Tylko tyle możesz mi powiedzieć? — Zaperza się. — Pu-

ścił mnie kantem przed samymi świętami! Teraz liczy się MAŁ-
ŻEŃSTWO, RODZINA, TRADYCJA — grzmi obłąkańczo.

— Zobaczysz, zadzwoni po Nowym Roku. Jak zwykle...

— W tym sęk, że ja nie chcę, żeby dzwonił. Nie tym razem.

Niech spada na baobab.

— Na bambus.

— Baobab. I powiedziałam mu, że jest — zniża głos —
„cienki kutas”.

— A jest?

— Trochę.

Podstawiam patelnię pod zimną wodę. Kuchnia przyjmuje ostatni stopień
zadymienia.

— Czuję się taka...

Spoglądam na nią nerwowo. Mgła się rozrzedza... Ramiona mojej przyjaciółki drżą.
Twarz ukryła w dłoniach.

— Drań!

110

— Czuję się taka... — Podnosi na mnie radosne oczy. —

Szczęśliwa!

— Co?!

— Fruuu, odfrunął!

— Co? — To szok, na pewno szok. Zaparzę jej melisy, choć
marihuana byłaby tu lepsza. Ale mam tylko melisę.

— Sama bym się nie odważyła na taki krok. Wiesz, trzy-
dziestka i święta, no i przyzwyczaiałam się do małego drania. A tu

nagle taka ulga.

— Wiesz, nie pomyślałabym o tym w ten sposób.

— Kwestia dojrzałości.

Idziemy do pokoju.

— Co teraz zrobisz?

— Jak to co? Obejrzę u ciebie „Randkę w ciemno”...

— Dobra. — Zgadzam się łaskawie.

Siadamy na kanapie.

— Tfu. — Pluje na dywan. — Przesoliłaś.

— Nie można mieć wszystkiego.

— Można, można. No! — Rozpiera się wygodnie. — Którego wybierasz z tych smutnych gości? — Gapi się w ekran.

— Jest jeszcze prowadzący, Kamei.

— Niech Kamei spada na baobab.

— Na bambus.

— Bambus, baobab, wszystko jedno. — Zgadza się łaskawie. — Niech spada... ?

Czuje się już święta, prawda?

Jeszcze trochę takiej pracy i zapiszę się do Klubu Morsa (chyba że klub ten przestał istnieć wraz z upadkiem ZSRR). Choć trudno w to uwierzyć, z każdą wizytą u Wasioła na Żeromskiego jest zimniej. Trudno jest malować w rękawiczkach. Gdybym malowała „krajobraz letni”, to może chociaż moja podświadomość by się rozgrzała i nabrała resztę. Ale nie — maluję

ZIMĘ. I to jaką zimę. Nie mroźną, ascetycznie białą, ale po kolorowemu interesującą...

— Czy wiesz, Julio, ile barw można znaleźć w zwykłym śniegu?

Zapewne wiele. Na wasiołach pada śnieg jakby w rytm Jingle bells. Przynajmniej takie jest założenie, bo na płótnie, które wykańczam, zima wygląda jak syberyjski epizod. W dodatku okna się nie domykają. Wiktor Wasioł jakby w ogóle na to nie zwracał uwagi... To znaczy trochę zwraca — nikt nie lubi odmrożeń. Pa raduje po pracowni w damskim futrze (które latem służy jako egzotyczna draperia do martwych natur) i czapce uszatce. To nie wszystko: kiedy przechodzi z pomieszczenia do pomieszczenia, pcha przed sobą piecyk na butlę gazową. Ustrójstwo jest wyposażone w cztery zardzewiałe kółeczka. Monotonne skrzyp, skrzyp nadaje ton mojej pracy...

A jednak lubię tu przychodzić. Maluję, odprężam się, żyję. Robię wszystko to, co powinno się robić w oczekiwaniu na księcia z bajki... Na razie napatoczył się jakiś skrzypek (może to taka świecka tradycja, że jego obecność poprzedza obecność księcia/ rycerza). Gra w parku pod oknem... Wychyłam się przez nie.

Mężczyzna liczy około trzydziestu lat. Świetliście biała cera kontrastuje z czarnymi długimi włosami i trzepoczącymi na wieńcze czarnymi połami płaszczka. Skrzypek ma jedno oko. Drugie zakrywa opaska.

— Często tu przychodzi? — pytam Wiktora.

— Często.

— Zna go pan?

— Całkiem dobrze. To Gabriel Wasioł, mój syn.

— Gabriel — powtarzam.

Gabriel, Archanioł Dobrej Nowiny.

Genesis

Meta!

Wigilia!

Chwała Bogu, bo nie jestem w stanie nigdzie dalej powlec kałduna. Wykończyły mnie maratony do EMPiK-ów, gdzie ku-powałam kartki świąteczne, i długie dystanse na pocztę, gdzie je wysyłałam (z krótkimi przerwami na wypisanie życzeń: jeszcze większy wysiłek, bo umysłowy. W trakcie bazgrania co rusz przypominał mi się jakiś „zapomniany” krewny, a ja ze sknerstwa nigdy nie kupuję kartek na zapas, więc biegająca od nowa). Za to po takiej zaprawie serce mam jak dzwon! W dodatku to ja musiałam kupić choinkę (zwykle robi to tato, ale tym razem był u lekarza) i składniki na ciasto piernikowe. W kolejkę do rybnego nie dałam się już wrobić. Dreszcze mnie przechodzą na widok tych trzepoczących się karpia... W końcu wszystko było gotowe do „rodzinnej wigilii”.

Dwudziestego czwartego przyjeżdżam do rodziców. Kiedy tuż po wejściu idę do łazienki, by umyć ręce, nerwowo zaglądam do wanny. Jest pusta (ciężkie westchnienie), ale i podejrzenie sucha. Gdy tak wgapiam się w odpływ jak szpak w pięćdziesiąt groszy, przypominam sobie historię kota moich znajomych. Znajomi zakupili tradycyjnie tuż przed wigilią żywego karpia i wpuścili go do wanny. A kot o imieniu Szczęsny zaprzyjaźnił się z rybą. Przynajmniej na to wyglądało: przesiadywał na brzegu

113

wanny, ale łapy grzecznie trzymał przy sobie. Tylko patrzył, jakby nie chciał straszyć nowego lokatora (Szczęsny nie boi się wody: jego rodzice należeli do tureckiej rasy wan, która pochodzi właśnie z okolic jeziora o tej nazwie. Tak przystosowały się do swojego biosystemu czy biotopu, że polubiły pływanie). W końcu ryba położyła głowę pod tłuczek. Na czas wykonywania spożywczego wyroku Szczęsnego zamknięto w pokoju. Kiedy go wypuszczono, natychmiast pobiegł do łazienki. Usiadł na dnie wilgotnej wanny i zaczął się wpatrywać w

odpływ, wyczekując powrotu kumpla. Trwało to dniem i nocą, ba, całymi dniami... Szczęśny zaczął się zachowywać jak bohater powieści Olgi Tokarczuk. Jego zaniepokojeni państwo wyciągnęli go z wanny i zabrali do weterynarza. Diagnoza była jasna i ostateczna: depresja. Szczęśny do dzisiaj łyka prozac. Na osłodę żywota właściciele kupili mu akwarium i dwie złote rybki. Pewnie Szczęśny prosi je o karpia... Smutna historia.

Stoję tak i gapię się w pustą wannę jak zahipnotyzowana.

— Nie przejmuj się — mówi zniecierpliwiona mama. — Rybę kupiłam w dzwoneczkach.

— A jak będzie nieświeża? — ryczy tato z pokoju. Właśnie zakłada na czub choinki gwiazdę.

Ja dowieszam czekoladowego aniołka. Aśka jest jakaś przygnębiona.

— Hej, zołzo. Rozchmurz się. Mam niespodziankę.

— Płyta?

Kiwnęłam głową.

— Co?

— No na pewno nie Britney...

— A wiesz, że ona podobno SAMA napisała książkę? Prawdziwą powieść Piosenka miłości.

— A ty coś piszesz? — Młode pokolenie jest nie tylko ode mnie wyższe, ale i najwyraźniej mądrzejsze.

— Tak — prychnął ojciec z za drzewka. — Wypracowanie o różokrzyżowcach. Z delikatną pomocą taty...

114

— Hej! To miała być tajemnica! — Głos Aśki jest pełen

prawdziwego oburzenia.

W tym momencie weszła Iwona, nie zawracając sobie głowy pukaniem. Zaprosiłam ją, by chociaż raz puste nakrycie zostało zajęte przez wędrowca.

— Dzień dobry państwu! Co ciekawego?

— Britney Spears pisarką...

— Ha! Czytałam na Onecie, że wspomaga rolnictwo. —

Przysiadła na krawędzi krzesła. — Niemieccy rolnicy z okolic miasta Trewir mieli problem z dzikami, które ryją im uprawy.

Zwierzaki są pod ochroną, więc rolnicy postanowili odstraszyć

je muzyką. Odpowiednią muzyką... „Gdy włączyłem jej utwór

Oops!... I Did It Again, a później I'm Not That Innocent, dziki

zaczęły kwiczeć i szybko uciekły do lasu. Jego doświadczenia

natychmiast wykorzystało trzydziestu innych rolników, którzy

z równym powodzeniem zaczęli stosować nagrania Britney",

wspominał jeden z nich.

A potem na niebie pojawiła się pierwsza gwiazdka...

W połowie wigilijnej kolacji słycać pukanie do drzwi. Rozglądam się po zebranych, ale są w komplecie.

— Zagubiony włóczykij? — Aśka najwyraźniej odzyskała

rezon.

— Pójdę otworzyć. — Decyduję.

I otwieram.

— Co ty tutaj robisz? — syczę.

— Czy jest suchy chleb dla konia? — Uśmiecha się. Tak

pięknie się uśmiecha, że aż ja, cholera jasna, też zaczynam się

uśmiechać.

— Kto cię zaprosił?

— Ja. — Twardy, zdecydowany głos Aśki. — Ja go zaprosiłam.

— Łajdaku, kręcisz z moją siostrą? — A w duchu pytam:

115

„Ksawery, czemu nie kręcisz ze mną?”. Skurwiel wie, że tak myślę, patrzy na mnie, a jego zniewalające oczy Hugh Granta (jak gwiazdy!) mówią: „Przecież kręciłem. Pamiętasz?”. Jasne, że pamiętam... Ale chciałabym zapomnieć... Ciekawe, gdzie wtedy był mój Anioł Stróż.

— To co, wpuścisz mnie?

Mechanicznie odsuwam się od drzwi.

— Dzień dobry państwu. — Kłania się mamie i tacie. —

Julio, nie mówiłaś, że masz jeszcze jedną siostrę.

— Na całym świecie znajdę jeszcze parę miliardów —
zrzędzę.

Rany, całuje matkę w rękę.

— Czy mogę zaprosić Asię do nas? Moi rodzice bardzo lubią gości. Odprowadzę ją jeszcze przed pasterką... — Jest czarujący, a mama i tato zachwyceni.

Aśka zaś cała w skowronkach.

I tak porwano mi siostrzyczkę. Puste miejsce znowu czeka.

Oj maluśki, maluśki, maluśki jako rękawicka... — Dobiega z dołu, z góry, z boków i ze wszystkich mieszkań wokół.

— Musisz iść ze mną na takie jedno wesele. Skoro Jędrak mnie zostawił i już ze mną nie pójdzie... — Wzdycha Iwona. — Z tym waszym wędrowcem przecież nie pójdę, bo by mi Aśka oczy wydrapała...

Prawdę mówiąc, nużą mnie śluby. Kiedy miało się ten swój, wszystkie inne przestają być tak cholernie rewelacyjne. Co w sumie nie znaczy, że mój był taki wspaniały...

— Ja, Jakub, ślubuję ci, Mileno, miłość wierność i uczciwość małżeńską. Że będę wspierał cię w zdrowiu i chorobie oraz że cię nie opuszczę aż do śmierci.

— Ja, Milena... — Panna młoda wygląda jak ogromny ptyś z podwójną porcją bitej śmietany. Obie z Iwoną wiemy, że to

116

niegrzeczne, a z pewnej moralnej perspektywy (jesteśmy w Do-mu Bożym) obrzydliwe, ale robimy zakłady, czy uda jej się sa-mej podnieść z klęczek...

— Kuba będzie musiał ją podtrzymać.

— Co ty, dokooptują księdza! — Chichoczemy. Panie Boże, wybacz, ale mam kaca. Zresztą przyda nam się jakieś przestęp-stwo do rachunku sumienia.

— Nie psujmy dziewczynie ślubu... Wyjdźmy na zewnątrz.

— Coś ty, Julka. To w życiu się nie dowiemy.

— Mówisz, że to twoja kuzynka?

Problemem Mileny Hajduk-już-Mokraśińskiej są wielkie piersi.

— Przeważają.

— No...

— Rozmiar MM.

Milena ze świeżo upieczonym mężem opuszcza kościół. Tym ra-żem to my przegadałyśmy ślubne plotkary. Kiedy panna młoda nas mija (z zapalem rzucamy ryżem), obrzuca mnie i Iwonę wzrokiem bazyliuszka. Mnie się dostaje oko lewe, Iwonie prawe.

Iwona smętnie dziobie widelcem w sałatce śledziowej.

— Czy zauważyłaś, że ksiądz w kościele nie powiedział do pana młodego: „A teraz możesz pocałować pannę młodą”?

— Rzeczywiście. — Łypię na nowożeńców z kąta dla gości. Strzygę uszami, bo pan młody opowiada, jak uwodziła go panna młoda.

— Ta kobieta pozwoliła mi się realizować. I być szczęśliwym.

— Poleciał na mieszkanie. Swoje ze wspólnym kibelem na korytarzu podnajął — mamrocze macocha Mileny.

Obok niej siedzi Władysław Hajduk, tato Mileny i teść Kubby, mieszkający od paru lat w Bostonie. Ma koszulkę z nadrukiem WTC i amerykański akcent. Obecna żona głaszcze go po ręce.

— Przynajmniej ty się wyrwałeś z tego bagna.

117

— Lubię Leonarda da Vinci, nie Picassa — mówi pozornie bez związku tato panny młodej. — A tak w ogóle to się nie wyrwałem, tylko wykupiłem. Prawda? — Uśmiecha się tym razem do swojej byłej żony, która usiadła przy córce.

— Gorzko, gorzko! — pokrzykuje Robert, brat panny młodej i gitarzysta basowy.

Milena Mokrańska skromnie się spłoniła, a potem nadstawiła usta do pocałunku. Goście biją brawo. Gdzieś przy dalekim stoliku wypatrzyłam państwa Politańskich. „Oho, ostatnio wyraźnie wzrosła liczba ślubów” — dokonuję odkrycia.

— Rany boskie. — To Iwona.

Podchodzi do niej jakiś facet i prosi ją do tańca, choć ta wzbrania się nogami i rękami. Ulega jednak i znikają. Wraca po jakimś dwudziestym tańcu nieźle zaróżowiona. Ze wstydu czy z podniecenia?

— Wiesz, kto to?

Kiwam przecząco.

— Mateusz Norski!

— Kto?

— Pan Syntetyczny — syczy. — To z nim miałam „romans” w łazience.

— Myślałam, że go nie lubisz.

— Ja też. — Kręci głową. — A teraz myślę, że nie powinniśmy jeść tego śledzia. Mój oddech śmierdzi cebulą...

— Jak kocha, wybaczy.

Chichocze i wali mnie w ramię torebką ze złotej lamy. Czy ktoś doceni, że ja cały wieczór spędzam przy szampanie i bezwonnych koreczkach ananasowo-serowych? Panna młoda uderza nożem w kieliszek.

— Tak w ogóle chcieliśmy ogłosić, że spodziewamy się dziecka!

Robię zeza nad kieliszkiem, obiecując sobie już nigdy i w żadnym wypadku nie dać się zrobić w coś takiego. Władysław Hajduk całuje żonę w rękę, marząc o Bostonie. I o ciszy.

118

Najwyraźniej mam owulację. Niczym innym nie da się wytłumaczyć mojego zachowania. Chyba że...

Napadało tyle śniegu, że po wyjściu na dwór zapadasz się po kolana. W dodatku jest mroźno, niebo zachmurzone, lodowa pułstynia. Noc ciemna jak cholera...

Gabriel Wasioł, jak przystało na młodego (powiedzmy) dżentelmena, postanowił odprowadzić mnie do domu. Zdołaliśmy dojść do parku naprzeciwko pracowni Wiktora (imponująca odległość) i zaczęliśmy się całować jak wściekli. Seks w nas zabuzował. Wpadliśmy w zaspę, by bardzo romantycznie zamienić się w dwa bałwany.

— Jak to się stało? — Dotknęłam zziębniętą dłonią opaski na jego oku.

— Pistolet, który czyściłem, wypalił...

Samobójstwo? Z miłości?

— Dostałem go od pewnego reżysera. Romansowałem z jego żoną i pisałem muzykę do ich wspólnego filmu. Pistolet był rekwizytem...

Bum! Zabójstwo z zazdrości.

Nagle zmarł, a potem delikatnie uwolnił się z mojego uścisku.

— Nie możemy tego robić.

Nadal wierny swojej aktoreczce? Z rozpaczy dopadła go impotencja?

— Pa. Wracaj, bo zamarzniesz. — I tyle go widziałam.

Zostawił mnie samą w środku ciemnego, pustego parku. Jeszcze przez chwilę miałam w pamięci księżycową cerę Gabriela, identyczną jak ta na policzkach Isabelle Adjani. Zaczęłam gwałtownie wygrzebywać się z zasy; mniej ze strachu przed miejscowym wilkołakiem, a bardziej przed swojskim „wilkiem”.

Wracam do domu zła, zawiedziona i sfrustrowana.

— Dlaczego?! — krzyczę sama do siebie i nie chodzi mi wcale o to, że ktoś zły i obcy zrobił dziurę w moim termofo-

119

rze. Dotykam stóp: lodowate. Dotykam serca: to samo. Dotykam brzucha: istny piec. Może ten dziwaczny Gabriel mi się podoba? Nie, nigdy! Tylko dlaczego mnie nie chciał? Jestem paskudna? A może — o zgrozo — mam paskudny oddech? Może to te pałuszki z czosnku, co łykam na uodpornienie... Lepsze to, niż gdyby pomyślał, że mam za szeroki tyłek... Chyba. Ech, Julio Walewska! Jak można nosić imię najślawniejszej kochanki świata i być sama jak palec?

A może to tylko napięcie przedmiesiączkowe? Wszystko mi się pokiełbało — nie słuchałam mamy, która mówiła „Naucz się liczyć do dwudziestu ośmiu”. Kupię sobie

kalendarz.

Następnego dnia siedzę u Wasioła i dziabię pędzlem po płótnie. Dziabię i dziabię...

— Hej, zrobisz dziurę w blejtramie.

Przestaję więc. Gapię się w pejzażyk jak sroka w gnat.

— Mój syn to taki latawiec.

Ssę koniec pędzla.

— Częściej go nie ma, niż jest.

Kiwam głową, że rozumiem.

— Ale to dobry chłopak. Tyle że indywidualista.

— Samotnik? — Odrywam się od pracy (jakbym dotąd nie była oderwana) i patrzę mu w oczy.

— Eee... Poniekąd.

Znaczy, ma dziewczynę w każdym porcie...

— Szaławiła... To znaczy szaławiła monogamiczny. Wciąż szaleje za jedną babką.

— Idealista. — Domalowałam komin.

— Wariat. — Wasioł się śmieje. Rozkłada ręce jak Grek

Zorba. — Kiedy umrę, to wszystko będzie jego.

— Gabriel dobrze gra.

Oboje kiwamy głowami.

— Jednoocy plastycy widzą płasko... Muzykowi to nie przeszkadza.

- Ale są i jednusi malarze. Van Gogh...
- Wiesz, szkoda, że ktoś przed jego urodzeniem nie uprzedził mnie, jakie to będzie dziwne dziecko.
- Na przykład taki Archanioł Gabriel — mówię odkrywczo. Śmiejemy się.
- Za wysoka instancja. Na Wasioła wystarczyłby zwykły anioł.
- Każdy ma swojego anioła.
- I swojego wasioła. Trzeba będzie trochę przystopować z pracą, bo ceny runą na morde.

Odchodzi do innego pomieszczenia, pchając przed sobą gazowy piecyk. Czuję się jak we śnie.

Nie że jestem zawistna albo co, ale trochę mi nie w smak, że moja młodsza siostra (prawie dziecko!) prowadzi się z play-boyem, a ja drzę na myśl o walentynkach czy sylwestrze. Najwyraźniej nie potrafię już sama upolować mężczyzny. Lata małżeństwa popsuły mi radar łowczy na chętnych samców. Zastanawiam się, czy nie sięgnąć po prosty zamiennik — swatkę. Ostatecznie swatka to instytucja prawie tak samo stara jak bajzelmama. Musi mieć doświadczenie, stoi za nią cała kultura światowa, cała tej kultury łakoma obyczajowość. W końcu Iwona znalazła Mateusza na wieczorku dla samotnych. Sęk w tym, że przerażają mnie wszelkie ogłoszenia matrymonialne, boję się, że mogę trafić na towarzyskie. Z drugiej strony profesjonalne biura matrymonialne tym różnią się od biura ogłoszeń, że są cholernie drogie. Kandydatka na żonę (to jest w moim przypadku: na partnerkę) musi przynieść bajeranckie portfolio zamiast zdjęcia legitymacyjnego, które posiadam (atut: jestem na nim maturzystką w białej bluzce. Niektórzy to lubią). Potem napisać jeszcze curriculum vitae i list motywacyjny. Nagrać przemowę na wideo. Przynieść komplet badań i zaświadczenia o umiejętności lepienia knedli ze śliwka-mi. Wyciąg z konta, żeby udowodnić, że nie jest Calineczką Łowczynią Posagów. Potem trzeba się jeszcze modlić, żeby biu-

ro nie umówiło cię z małorolnym... Nie wiem, czy temu wszystkiemu podołam. Skąd wiem, że procedura jest jeszcze gorsza od procedury wydania wiza do USA? Z telewizji, oczywiście. Z noweli dokumentalnej... Jaki ona miała tytuł? „Lecznica dla zwierząt”? „Pierwszy krzyk”? Nie pamiętam.

Zapomniałam już, jak to jest być kochaną — oczywiście nie chodzi mi o miłość siostry, mojej matki czy taty do mnie. Tylko o taką romantycznie seksualną. Żeby chciało mi się śpiewać Only you. Uśmiechać się do ludzi na ulicy, a dla kochanka włożyć tiulowy karminowy stanik z karminowymi pomponikami, jaki widziałam w butik na Centralnym. Chyba przejrzę ogłoszenia o biurach matrymonialnych. Tylko wrócę do domu. Na razie brnę w śniegu do Biblioteki Miejskiej. Aśka ma nieoficjalną poprawkę z polskiego — musi napisać pracę porównującą symbolikę w Ojcu Goriot Balzaka i Zbrodni i karze Dostojewskiego. Oczywiście nie zrobi tego, bo jest zakochana. A jak się jest zakochanym, to nawet głowy do Harlequina się nie ma. Obiecałam napisać wypracowanie za nią — siostrzana przyjaźń. Najpierw jednak muszę się doksztąpić. Kiedy śnieg sypie mi się do butów, jedyny jasny dla mnie symbol to siekiera Raskolnikowa.

Pączek... Biuro Matrymonialne Pączek. Zziębnięta jak doberman w zaprzęgu husky stanęłam przypadkowo pod takim sztyłem. Tylko że ja nie wierzę w przypadki, lecz jedynie w znaki. Chyba wejdę do tych swatek... Tylko na chwileczkę... Moment-cik mnie nie kosztuje... A i wypracowaniu wizyta nie zaszkodzi. Tak myślę. Ostatecznie siostrzana przyjaźń siostrzaną przyjaźnią, ale jak ja zazdroścę tej smarkatej mojego Ksawerego. Jedyną osobą, która być może cierpi bardziej z powodu tej „zdrady”, jest podkochujący się w Ksawerym Amadeusz. Ale on jest artystą i swoje cierpienia zamienia w sztukę. U mnie z frustracji rodzą się tylko wrzody na żołądku. Dobra, zobaczymy, czy Pączek jest lepszy od Maloxa.

122

Słowo daję! Nie przyjęli mnie... To dlatego, że jestem rozwódką. Więc elementem niepewnym jest fakt, że zmarnowałam już swoją szansę. Biuro Matrymonialne Pączek nie przyjęłoby nawet mojej siostry. W ich kartotece mogą figurować tylko panienki. Oczywiście panienki w kontekście cnoty, a nie rozpusty.

Sylwester — dobrze, że wszystko wreszcie się kończy! A jeszcze fajniej, że wszystko się zaczyna. NUDY! Wiem, że nie powinnam tak myśleć, bo idę do Iwony na imprezę, ale jednak. NUDY! Idę sama. Znowu będzie tam pełno samotnych lasek (w obszytych koralikami indyjskich sukienkach) polujących na facetów... No i obowiązkowo paru samotnych facetów: z łysiną lub z trądzikiem. Albo z jednym i

drugim. Grupy INDIA and CLEARASIL będą się ze sobą czubić, by na koniec wylądować na wspólnej kanapie. No i NIE MAM SIĘ W CO UBRAĆ! Katastrofa! Do-padł mnie kryzys ubraniowy: jedyna sukienka „trochę wieczoro-wa” po praniu w ekologicznej pralni wygląda jak szmata do podłogi. Dodatkowo ta i owa błyskotka oderwała się od tkaniny, więc szlag ją trafił do końca — wygląda jak obdarta z ozdób choinka. Nie mam czystych stringów. Ani całych, niepozaciąga-nych pończoch. No i dobrze! Pójdę w dzinsach. Podartych na po-śladkach i na kolanie. Jak nałożę czarny topik, będę wyglądała jak samotna szesnastka. Bycie samotną szesnastolatką to żaden obciach...

Panie Boże, po co wpuściłeś do raju Adama? Jedna Ewa ci nie wystarczała? Bo przecież to, że Ewa została stworzona pierwsza, jest tak samo oczywiste jak to, że Curie-Skłodowska to kobieta. Ponoć Pan Bóg wysłał świętego Sylwestra na niebiański firma-ment, by ten zdjął dogasającą gwiazdę starego roku, a o północy zapalił gwiazdę noworoczną. Liczba zgasłych gwiazdeczek ozna-cza lata, które minęły od stworzenia Ewy. Po drugiej stronie nie-ba czekają gwiazdy „prenatalne”. Ciekawe, ile ich jest? Ile ich zobaczę? Gdzie jest moja gwiazdka?

Brrr, Sylwester rodzi takie niestosowne pytania...

123

PETARDY! Będę musiała uważać na petardy, by nie stracić swoich oczu jak gwiazdy. No i nie schlać się za bardzo! Jedno z drugim szczególnie niebezpieczne. Może urwać pół twarzy, że o stratach na honorze nie wspomnę. Koleżanka mamy jest pielę-gniarką na okulistyce — bierze dyżury w noc sylwestrową, bo może później opowiadać swojemu rozmówanemu w horrorach wnusiowi ciekawe historie (do tej pory wygadała chyba wszyst-kie i teraz musi czytać brzdącowi Harry'ego Pottera. Dzieciak najrychlej wyrośnie na socjopatę). Przy okazji opowiadała je mojej mamie. W zeszłym roku na przykład jakiś facet skończył niby Marsjanin z okiem na szypulce. Nie odpaliła mu raca, więc pochylił się nad nią i zajrzał do tulei...
Drrrrrrrrrrr!

O, Iwona dzwoni. Pyta, dlaczego jeszcze mnie nie ma. A przecież JA JESTEM i się STRESUJĘ!

Dobre, swojskie mieszkanie Iwony wygląda jak jakaś okrop-na jama madejowa — wszędzie baloniki (pękające!) i serpenty-ny przyprawiające o torsje swym łagodnym kołysaniem, jakby w rytm oddechów biesiadników. Na stołach babeczki wypełnio-ne dietetycznym kremem z zielonego groszku i wino musujące Dorato. Z głośników

płynie macarena, błyskawiczne tracę więc poczucie czasu. Który to mamy rok? Czy czas się dla mnie za-trzymał? Napijmy się więc Dorato! Spoglądam krzywo na krótko ostrzyżoną blondynkę w obszytej koralikami indyjskiej (oczy-wiście!) kiece. Przyszła z jakąś parą: koleżanką i jej facetem. Koleżanka (jak usłyszałam Baśka) przypomina zasuszonego chrabąszcza. Dziwne to wrażenie, bo ma na sobie bluzkę z wize-runkiem anioła. Mówiła coś właśnie do krótko ostrzyżonej.

— .. .Więc następnym razem zabierzemy cię z Tomkiem...

Tomek wygląda jak amerykański drwal. Zarost, włosy, ko-
szula w kratę.

— Lubisz anioły? — podpytuję Baśkę. Jestem już podpita.

— Bo ja wyjątkowo...

Spojrzała z politowaniem.

124

— Na HISTORII SZTUKI robię magisterkę z anielskiego wizerunku.

— A to pardon. — Żegnam tę babę i wpadam na jej drwała, który wiesz się na mnie ze słowami:

— Gdybym od trzech lat nie był zakochany, to byłbym z tobą!

Historyczka sztuki porzuca nagle rolę swatki i przybiega do nas, by facetowi wybić co nieco z głowy. Idę dalej, a za mnąDo-rato postępuje jak cień. Do północy chyba nie dojdę. Nie zobaczę fajerwerków. Na pocieszenie zamykam się w toalecie i zapalam zimnego ognia. Chronię się tam, bo nie chcę wyjść na sentymentalną dziewczynę. Wtedy wparowuje tu mały człowieczek (a jed-nak nie zamknęłam drzwi) i dramatycznie szepcze.

— Tylko nie krzycz.

Człowieczek ma czerwony krawat. Zostawiam go z mydłem Dave, z moim Dorato i idę do bocznego pokoju. Małego, ciem-nego gniazdka, gdzie nie dociera zabawa ze „stołowego”. Jak stoję, tak się kładę. Miętko. To chyba czyjś płaszcz...

Zjawia się jakaś para i kładzie się na mnie. Gdyby tak poszli spać, ale oni zaczynają się poruszać.

— Wiem, że nazywasz się Julia. — We śnie wdaję się w ro-mans z rosyjskim pionierem. Ktoś macha przede mną czerwoną szmataj jakbym była bykiem, którego trzeba sprowokować do czynu. Tyle że ja już jestem sprowokowana...

— Jesteś aniołem? — pytam pioniera, ale przychodzi mi na myśl, że u nich w Związku Radzieckim nie ma religii, to i nie może być aniołów.

— Raczej nie...

A dzwony dzwonią, dzwonią, dzwonią... Chyba jeszcze w starym roku się wstawiłam. Ale już się nie stresuję. Wcale się nie stresuję.

125

Gdzie ja jestem? Co się stało z moją głową? Natychmiast wstaję. No dobrze... Poleżę jeszcze trochę. A na czym ja w ogóle leżę? Oślepia mnie słońce niewiadomego pochodzenia, więc zmysłem wzroku nie sprawdzę. Macam... Domacałam się karimaty. Wysu-nęła się spode mnie, więc leżę na śmierdzącym pastą do podłóg parkiecie. Dobrze, że to nie syntetyczna wykładzina, bo dopiero bym się nałykała kurzu. Moja ręka idzie dalej... Pod śpiwór... Oho, śpi tu ze mną jakieś... zwierzę? Może kot gospodarzy — jakoś tak w ogóle przyciągam koty, to chyba kwestia osobnicze-go zapachu...

Rany boskie! Obok mnie spoczywa fragment mężczyzny! Go-rzej, cały mężczyzna! Tylko spokojnie. Molestowałam go? Mo-że... Ale czy on mnie wcześniej nie zgwałcił? Otwieram oczy z kwikiem wystawionego na słońce Nosferatu.

— Cześć. — Słyszę.

— Szczęśliwego Nowego Roku — mówię.

Facet jest drobny, ryży i chłopięcy.

— Czy my?

— Hm, chyba tak...

— Na pewno tak! — jęcę. Jestem ladacznicą, grzesznicą,

spłonę na stosie! — Miałeś jakąś... No wiesz, gumkę?

— Eee, nie przypuszczałem... Zwykle...

Szczęśliwego Nowego Roku, Julio!

Przyglądam mu się uważnie...

— Nie nosisz czasem czerwonego krawata?

— Nie...

— A co to? — Wyłuskuję spod głowy karminowego śledzia splecionego z moim biustonoszem. — Krzyczałam?

— Nie. — Spuszcza wzrok i rumieni się jak wiktoriańska kochanka.

— To jesteś dupa, nie kochanek.

Z kuchni gospodarzy dobiegają odgłosy smażenia, tłuczenia, mlaskania.

— Julia jestem. — Krzyżuję ręce na piersiach.

— Uriel.

126

— Naprawdę?

— Ojciec był antropologiem religii. Ale skończył w ofiarnej zupie, gdzieś w dorzeczu Amazonki.

— A mama?

— Zwykła ekspedientka. Bardzo się kochali. Do dziś jest wdową. Zrezygnowała nawet z pracy w stoisku mięsnym i pracuje na cukierniczym... Próbowwała też na warzywnym, ale za bardzo kojarzyło jej się to z wywarem — szepcze.

— A jak mama woła na ciebie? — Brawo Julio.

— Krzyś.

— Zostaniesz więc Krzysiem.

Kiwa głową.

— To jest Krzyś. — Przedstawiam go Iwonie, która przynosi nam bardzo mocną kawę.

Życie jest trudne, a potem się umiera... Dostajesz osobistą aureolę i grasz do końca; to znaczy grasz i grasz, i grasz do entej nie-skończoności na niebiańskim bandżu.

— Musi pan zrozumieć, panie Mateuszu, że to trudne...

— Ale ja ją kocham!

— Czy jest pan pewien, że i ona pana miłuje?

— Tak.

— Skąd?

— Wyjawiała mi to!

— Po butelce wina i wytrysku hormonów?

— Zupełnie na trzeźwo.

— Och...

— No widzi pani. Musi pani zejść z drogi naszej miłości. Bę-dziecie do siebie dzwonić...

Unoszę brew.

— Na mój koszt — dodaje szybko Mateusz.

— Mówił pan, że jest naukowcem?

— Zapewnię jej godne życie.

Ciężko westchnęłam. Bardzo ciężko.

— Ale czy ona nie będzie się nudzić, jak ty będziesz robił te swoje cholerne, geologiczne wykopki?

— Kupię jej samochód, żeby mogła zwiedzać wyspę — zaśmiała się.

— A co ze mną? I z moją nudą?! — piszczę.

— Wszyscy jesteśmy niewolnikami miłości.

— Dobra. Powiem jej, że jak naprawdę ma ochotę, to niech jedzie na tę cholerną Islandię. Skłamię, że wcale nie będzie mi przykro. W imię przyjaźni...

I pomyśleć, że ten zakochany chłystek wyprowadza mi Iwonę z kraju i, nie daj Boże, z życiorysu, by pokazać jej jakiś chory, gej zerowy raj.

ISLANDIA, Republika Islandii, Lydhveldidh Island, państwo w Europie na wyspie I., w półn. części O. Atlantyckiego; pow. 103 tys. km², stoi. Reykjavik; język urzędowy isl.; jednostka monetarna: korona. I. jest krajem wyżynno-górzystym; większość powierzchni stanowi płaskowyż z rozległymi pokrywami lawowymi i tufowymi; liczne czynne wulkany i gejzery; ok. 12% pow. zajmują lodowce; liczne jeziora polodowcowe; roślinność tundrowa; większość obszaru wyspy jest pustynią skalną.

Łabędzi śpiew

Najbardziej wkurzające w styczniu jest to, że ludzie — zanim przejdzie im kaczka posylwestrowy — próbują rozpocząć „nowe życie”. Najchętniej od nowa

pozwoliliby sobie zasznurować pępowinę. Cały świat cierpi od tej cholernej „nowonarodzino-wej” fanaberii. W dodatku jest w popapwany sposób rozkojarzony, a próbuje się zachowywać jak stachanowiec albo jakiś inny przodownik pracy. Próbowaliście coś załatwić w styczniu? Nie da rady! Każdy stara się dokonać czegoś rewolucyjnego w terminie nieprzekraczającym trzydziestu dni i w ogóle nie trafia mu do egoistycznej czaszki, że ktoś może potrzebować jego pomocy. „Styczniowi” ludzie zachowują się jak amerykańscy rugbysty; niczym swojskie kujony, które nie chcą uchościć za symfonicznych i swoje kartkówki zakrywają łokciem. Dopiero od lutego ludzie zaczynają brać na luz. Styczeń to miesiąc rozwodów, zejść i zająć. Miesiąc totalitomanii i psychicznej przemocy w telewizyjnych castingach do sukcesu. Czas gremialnego odchudzania po grudniowym obżarstwie i nawadniania skacowanej twarzy. W dodatku styczeń sprawia, że każdy rocznik może poczuć się starszy od poprzedniego.

Czternastego lutego. Samotni zachowują się jak szaleńcy próbujący rozpaczliwie wykupić bilet do ortodoksyjnego muzułmańskiego

129

kraju, gdzie nie obchodzi się presjogennych walentynek. Jeszcze ten nacisk bridgetpodobnych postanowień noworocznych; nakładanie mentalnej włosiennicy na rozpasaną egzystencję. A czego ja mogę sobie zabronić? Palenia? Feministyczny powrót do nałogu okazał się klęską... Mam nie obżerać się czekoladą? Albo niczym w ogóle?! Z powodu stałego lenistwa panny z odzysku moja lodówka wciąż stoi pusta, a ja żywię się Opycha. Jest to pewna forma zapewnienia sobie nieśmiertelności: nie rozłożę się przez te spożywcze konserwanty i polepszacze smaku. Może nie pić? W zasadzie to wspólny problem mój i Iwony, a za nią nie mogę przecież decydować; byłby to psychiczny terroryzm. Ograniczyć przypadkowe kontakty z przypadkowymi mężczyznami? Po co? Przecież i tak czuję się jak dziewczyna, co w moim wieku nie jest ani budujące, ani przyjemne... Więc co sobie postanowić, co u siebie polepszyć w nowym roku? Nic. Ja przecież jestem Baba Dziwo... To znaczy Baba CUDO — to chciałam powiedzieć.

W sumie „coś się kończy, coś się zaczyna”. Zupełnie jak u Sapkowskiego. Zupełnie jak u moich rodziców.

— Zawsze było to przyjemne, ale teraz... — Matka szczyrzy do mnie zęby. — I tatuś mniej gra. Za to zaczął biegać po lekarzach. .. — Marszczy czoło. — Chyba nabawił się niegroźnej hi-

pochondrii.

Jasne. Brawo, tato.

— A co poza tym?

— Renesans! Tatuś uroił sobie daltonizm. Uważa, że ten fi-
kuśny komplecik — matka stoi w pąsach — jest niebieski.

— Daltoniści widzą na szaro...

— To widocznie są różne daltonizmy. On widzi na niebie-
sko. Żeby siebie i jego nie stresować, zamówiłam to u gorseciar-
ki... — Pokazuje mi błękitny fragment intymnej garderoby żyw-
cem wyjętej z Moulin Rouge. Jak to mawiała Bridget Jones:

„Najważniejszą rzeczą, którą kobieta może dać mężczyźnie, jest

130

spokój". Jak to możliwe, że matka urodzona w okresie paczek UNRRA wpadła na to
szybciej niż ja? Przedstawicielka „pokole-
nia X" i Nowa Kobieta? Zaskakujące.

— A Aśka?

— Asia przyprowadziła kolegę.

— Długie włosy? Żabot? Kolczyki?

— Eee... Raczej nie. Typ intelektualisty.

— Hm.

— Jeżyk, okulary jak denka od butelek, sweter.

— Obcisłe spodnie? — pytam z nadzieją.

— Niestety. Strój maskujący. — Wzdycha mama. — Na-
kryłam ich nawet na całowaniu. Dobrze w tym wszystkim jest to,
że przestała mi wiercić dziurę w brzuchu o szkła kontaktowe.
Nosi teraz okulary ze szklami „zero". Puste ramki wyglądają

idiotycznie, ale ona czuje się pewniej.

Wyobraziłam sobie tę dwójkę pieszczących się, małoletnich okularników. Nie było to takie złe. Tylko dlaczego najpierw wy-myślam u niego wystające zęby, a potem francuski pocałunek? Chyba jestem trochę zazdrosna. A także poważnie zaniepokojona nowym romansem siostry.

Dzwonię do niej z autobusu. Wiem, że to absurd, bo poruszam się w godzinach szczytu i dziesiątki uszu mnie podsłuchują. W dodatku wsiadłam do jakiegoś rzęcha, który buczy i trzeszczy, jakby zaraz miał się rozpaść na kawałki. Ale mam to gdzieś, w końcu najważniejsza jest rodzina.

— Jak on ma na imię?

— Siostra, włączyłaś komórkę!

— Co kombinujesz, mała diablico?!

— Diabeł to też anioł, tyle że pechowy. — Prezentuje mi swoją wiedzę teologiczną godną bierzmowanej osoby. — Kto to?

— Ma na imię Uriel. Właściwie Uriel Krzysztof, ale woli to drugie — prawie recytuję, gapiąc się w zmarzniętą szybę i udając

131

się na duchowe odosobnienie. Mam nadzieję nie przegapić przystanku. — A twój?

— Benedykt. Wiesz, jak ten święty od psów templariuszy.

— To Bernardyn, mądralo.

— Możliwe...

— Ale są za to jajka po benedyktyńsku. Tak zwane benedyktyńki. W koszulkach, na toście, z plasterkiem smażonej szynki i majonezowym sosem.

— Wiesz, on jest dziewicem.

— Kto?!

- Benedykt oczywiście. Prawiczek.
- No.
- Pomyślałam, że fajnie byłoby zrobić to z kimś takim.

Wiesz, wprowadzić w zmysłowe doznania...

Odnoszę wrażenie, że łąe jak najęta.

- A Ksawery?
- Ksawery to już przeszłość...
- Aha. — Sama kochałam się w Ksawerym... Biedna mała.
- Wiesz co, siostra? Z tego Benedykta to całkiem miły gość.
- Wiem.

Jakiś horror! Erotyczny! Najwyraźniej zbyt długo tego nie ro-biłam i tracę seksualny instykt. Uriel niemiło mnie zaskoczył klatką piersiową okupacyjnego gołębia. Cóż, trzeba być realistką albo znać statystyki — nie wszyscy faceci wyglądają jak Tarzan. W łóżku jest bardzo delikatny. Jakbym się miała stłuc albo co... W ogóle mnie nie dotyka. W zasadzie dowiaduję się, że można się kochać i tak, i tak... Tylko częściami ciała do tego przeznaczonymi. Dla mnie wybitnej przyjemności z tego nie ma (wierzę, że on jakąś ma, bo inaczej w ogóle byłaby to strata cza-su i energii hydroelektrycznej). Czy powinnam udawać orgazm? Nie chce mi się, skoro jemu też się nie chce! Może tak go wycho-wali? Biedny dzieciak, poznawał seks z opowieści kumpli z po-dwórka. Ależ się nadyma i czerwieni. Cóż, jak się zmęczy, to

132

przynajmniej usniemy bez liczenia baranów... Jezu! Zupełnie jak w dziewiętnastym wieku.

- Tylko uważaj...
- Założę się, że śliczne mielibyśmy dzieciaki — wzdycha.

Rany boskie! Ja nie chcę być „Kinder, Kuche i Kirche”!

Zestarzałam się, straciłam radość z miłości fizycznej. W ogó-le należałoby zreformować zaloty, żeby nie kupować erotyczne-go kota w worku. Tylko jak? Ankieta? Każdy skłamię.

— Jak było, kochanie? — pyta ten indywidualista.

— Och, wspaniale, skarbie!

Uriel Krzysztof jest spod znaku Panny, a ja nie muszę pytać Iwo-ny, co to oznacza dla mnie i dla ewentualnego, choćby tylko ero-tycznego związku. W końcu sama jestem Panną. Panny są drę-tywe, nudne, w dodatku złośliwe i niewspółmiernie krytyczne do rzeczywistości. Tak zwanym Pannom Ambiwalentnym odbija niekiedy szajba i... Wstyd wspominać. Może i dwie Panny do siebie pasują, ale czy to nie potęguje ich złych cech?

Chyba przestaję wierzyć w związki. Z drugiej strony nie było przecież tak źle, bo jeśli wierzyć horoskopowej charakterystyce, powinniśmy przed wspólnym seksem testować bidet, dokładnie wyczyścić przestrzenie międzyzębowe i zaliczyć wizytę u denty-ty. Wyszorować język. Wypucować palce1 stóp. Wypytać się wzajemnie o przebyte choroby (także genetyczne). Sprawdzić jeszcze sprężyny w łóżku (sąsiedzi) i wykupić polisę od nie-szczęśliwych wypadków. Potem moglibyśmy przystąpić do rze-czy. Naturalnie nie tak spontanicznie jak nasi zodiakalni bracia. Panny są bardzo odcytane i lubią się tą wiedzą popisywać. „Ko-chanie, jeśli bardziej pochylisz się w kierunku mojej klatki pier-siowej, to zwiększymy szansę odnalezienia twojego punktu G”. „Misiu, bodźce, które przekazujesz mojej clitoris, powinny być zmienne. Poczuj się jak dyrygent orkiestry symfonicznej — to zwiększy obopólne efekty doznań”. „Nie szczytuj zbyt głośno, bo obudzisz psa sąsiadów — jest bardzo hałaśliwy. Tak przy okazji:

133

wbijasz swój łokieć w moją przepo-nę, przez co niwelujesz przy-jemne bodźce napływające z innych źródeł naszych ciał”.

Brrr. A pomyśleć, że gdybym przyszła na świat jako wcześ-niak, zostałabym astrologicznym Lwem. Przy następnej reinkar-nacji trzeba będzie się pospieszyć...

„Pokażę ci DOM” — zakomenderował nagle Uriel, co przeraziło mnie nie na żarty. Cały ten jakże krótki tekst był obrzydliwie auto-kratyczny i nienaturalny. Ludzie mówią: „Chodź, pokażę ci moją chatę”, „Napijmy się czegoś u mnie, obejrzysz lokum”, „Pokażę ci moje gniazdko...”, „Widziałas już moją dziuplę?”, „Starzy twierdzą, że mam melinkę”, „Chodź na squat” i tysiące innych... DOM od razu mi się skojarzył z... DOMEM. „Nareszcie jesteśmy we własnym DOMU. Nie wierz, nie czekaj, wyjedź po kryjo-mu”. — Ciarki przechodzą... W równie istotny sposób zaniepokoił mnie brak zaimka osobowego wypowiedzi. No bo „czyj”, do chole-ry,

był ten DOM? Przecież nie MÓJ ani chyba nie NASZ?

Wysiadając z taksówki, przekonałam się, że ani to Dom Ushe-rów, ani zamek Draculi... Mieszkanie Uriela położone było na strychu odnowionej kamienicy, ale widocznie ja miałam tendencje do wyższych grzęd (w końcu nie było to dziewiąte piętro). Postanowiłam pokazać facetowi, że nie lecę na mieszkanie (bo w istocie nie leciałam) i choćby okazało się Ritzem, wolę mieszkać obok Ekologicznej...

Dobra, pora przekroczyć próg.

— Muszę zmienić termę, bo ta jest zepsuta, a ty chyba nie lubisz zimnej wody. No i założy się plastikowe okna. — Moi rodzice pomogą. Będzie znacznie ciszej od ulicy...

— A czy to nie zabytek? — wtrącam nieśmiało. — Konserwator miasta...

— Mam dosyć zakłócania snu pijackimi przekleństwami.

Zrobi się i nie myśl o tym. Gdyby były dzieci...

Czy istnieje taki twór jak rodzinny psychopata? Z drugiej strony, czy tylko psychopaci potrafią być tacy męscy?

134

— Hm, nie ma żadnej kuchenki.

— Jadałem w barach, ale to się zmieni. — Zaczerwienił się.

— Tu trzeba postawić jakiś większy stół... Wstawić szersze łóżko do sypialni... Pomalujemy ją na różowo, będzie pikantnie, a jakby co, przeniesiemy się do „dużego”, a tu rzuci się wzorek w słoniki.

Wzorek w słoniki. Jednak facet potrafi mnie rozśmieszyć.

— Myślisz, że możemy się kochać? — pyta nieśmiało.

— Gdzie? — Głowa robi niemal obrót wokół szyi, jak na Egzorcystyście.

— Bo ja wiem... Na podłodze?

Niby dlaczego nie, tylko dlaczego znowu trudno mi się sku-pić? Rozglądam się nerwowo i dobrze, że on tego nie widzi zaję-ty sobą.

— Co ty w ogóle robisz?

— Teraz? — Podnosi na mnie spoconą twarz.

— Nie. W ogóle.

— O ho, ho. Zajmuję bardzo odpowiedzialne stanowisko w oświacie. Rany! Podrapałaś mnie paznokciem stopy w nos! I ten krwisty lakier, jakbym się kochał z lady Makbet.

— Ona miała krwawe ręce... — Gnojek, nawet nie wie, ile pracy, skupienia i bezruchu kosztował mnie kolorowy pedicure!

— A co to?

Dostrzegam na półkach kolekcję figurek. Tylko zamiast porce-łanowych pasterek i pastuszków mojej babci stoją tu jakieś „złote” korpusy lub zminiaturyzowane i pokrecone elementy przeciętnego ciała.

— To trofea!

Dobrze, że nie zbiera motyli na szpilce. Mam nagle potworną wizję własnej głowy wiszącej nad telewizorem... W dodatku moja głowa jest przerobiona na zegar, z kukułką.

— Kuku, kuku.

Obiecuję, że następnym razem będę delikatniejszy. Podciągnął spodnie i ogląda „Złotopolskich”. Można się je-

135

dynie pocieszyć, że jest to również ulubiony serial Czesława Miłosza. Pasjonujące średnio...

— Julcia, podaj mi chrupki. Są w tej szafce z przyczepiony-mi kuponami.

Czy na tym właśnie polega życie? Możliwe, że tak; tylko dla czego mam atak klaustrofobii i dzwonię po taksówkę? Chciałam znaleźć drugą połówkę swojej pomarańczy, ale tu mam tylko pół zimowego jabłka. Czy to coś znaczy, że od czasu do czasu przychodzi mi ochota na jabłko? Czy jestem w ciąży z cudzą rzeczywiście?

— Kochanie, przepraszam, możesz przed wyjściem zrobić mi kanapkę?

Może za trzydzieści lat Uriel nie będzie miał problemów z sercem i będzie mógł zażywać ultraviagrę czy co tam wtedy będą w aptekach.

Jestem w piekle! I nigdy, przenigdy nie będę miała dzieci! Jezu, niech one się wreszcie zamkną! Uriel coś do mnie mówi. Skoncentruję się i będę czytała z ruchu warg... Gównu, w życiu się nie skoncentruję! Hałas przeżarł mój mózg. Uriel bierze mnie za łokieć i gdzieś prowadzi, dobrze. Stajemy przed pokojem nauczycielskim. Lepsza byłaby pracownia muzyczna, ma dźwięko-szczelne drzwi.

— Witaj w moim królestwie. — Dobrze, że nie przenosi mnie przez próg.

— To moja narzeczona, Julia — mówi Uriel do słoczonych na lilipuciej przestrzeni ludzi.

— Ooo, panie Krzysiu, to wszystkie starsze uczennice będą miały serca złamane. — Jakaś baba płoni się, jakby sama była uczennicą.

— Ja... — Staram się zaprotestować przeciwko tej nominacji.

— Pani taka blada. — Dopada mnie inna piła. — Czyżby pan Krzyś wreszcie doczekał się potomka? — pyta czule.

Wreszcie? A z kim on miał się doczekiwać?

136

— Nie. To ten hałas...

— Hałas? Przyzwyczai się pani...

— A to trener nas zaskoczył! — Gratuluje Urielowi ktoś inny.

— Trener? — pytam słabo.

— Taki skromny! Narzeczonej się nie pochwalił! O, pan Krzysztof ma za sobą sukcesy. Nasza drużyna tenisa stołowego święci ogólnopolskie triumfy...

— Uczysz WF-u? — pytam.

O rany! Chodzę z Ping-Pongiem.

— Tak, wychowania fizycznego. — Stoi odwrócony, więc nie widzi mojego skurczu przerażenia. Jak ja skończyłam? Mam romans z wuefistą. Teraz mi pewnie zaproponuje seks na matach treningowych...

— Pani dyrektor, przyprowadziłem Julię, bo może mogłaby wziąć zastępstwo za panią Arletę...

Dyrektorka mierzy metr pięćdziesiąt i jest podobna do świnki Piggy.

— Maluje pani?

— Skończyłam ASP.

Co tu się dzieje? Nie potrafię tego opanować.

— Pani Arleta wzięła urlop. Dłuższy... A jej wychowankowie muszą się dalej uczyć. Nauczycielka plastyki nie ma u nas dużo zajęć, ale gdyby się pani zdecydowała... Chyba że zaraz po ślubie planujecie dzieci...

— Nie.

— Julia chciałaby się realizować zawodowo. Z dzieckiem poczekamy co najmniej rok. Potem dwa lata przerwy i może...

córeczka. — Zaśmiał się. — Jedynacy są krnąbrni...

— Pani jest jedynaczką? — Piggy pyta przyjaźnie.

— Byłam. Do ósmego roku życia.

— To rodzice nadrobili. Brat czy siostra?

— Siostra.

Myślę o tym, jak wspaniale się rozwinę jako człowiek i artysta, kiedy będę obserwować dziatwę malującą sobie na twarzach

137

odznaki wojenne. „Proszę pani, proszę pani, bo Marysia żuje moją świecówkę!”

Dzwonek na lekcje. Wrzeszczące istoty rozbiegają się do swoich klas.

— I na mnie pora. — Uriel cmoka mnie w czoło. — Wrócisz tramwajem do domu?

— Proszę się w miarę szybko zdecydować. — Piggy zabiera dziennik i znika. Wszyscy znikają.

Przytrzymuję Ping-Ponga za sweter.

— Nie chcę tu pracować.

— Jak chcesz, kochanie. Moja żona pracować nie musi.

I macho odpływa na swoje zajęcia, niezrażony tym, że w ogóle zapomniał się oświadczyć. Chyba że ta szkolna szopka wystąpiła zamiennie... Tyle mam płacić za tę odrobinę seksu? Czy to, co ja czuję teraz, czują zwykle faceci, których chcemy usidlić? No nie, chyba nie jesteśmy takimi strategicznymi idiotkami...

Upojny wieczór pożegnalny. Ba, prawie wieczór paniński. Mateusz Norski żartuje, że przed Islandią wprowadzi Iwonę na Bo-ra-Bora, gdzie wezmą tubylczy ślub.

„Nigdy” Iwony było głośne i stanowcze. Zaczęła tłumaczyć, że nie weźmie ślubu, jeśli ja nie będę jej druhną, i ma w nosie to, że ślubne uroczystości na Bora-Bora drухen nie uwzględniają. Jestem bardzo dumna!

Splakałam się jak bóbr, kiedy usłyszałam, że Iwona wyjeżdża na Islandię na razie na pół roku, bo na tyle opiewa wstępny kontrakt geologiczny Mateusza. Później na

pewno przyjedzie na troćchę do Polski, „żeby złapać słońca i ciepła”. Pocieszam ją, że na wyspie są gorące jeziora i alternatywą dla marznięcia w pułchowej kurtce jest byczenie się na golasa w takim naturalnym jacuzzi.

— Ale czy Mateusz znajdzie czas?

No i gdzie się podział jej feminizm? Uciekł na samą myśl o nierozbrzmiałych jeszcze dzwonach weselnych? Zapytałam delikatnie, czy nie żal jej posady w radiu. W odpowiedzi stwier-

138

dziła, że za stołem montażowym można się dorobić jedynie he-moroidów, a na konferencjach prasowych żyłaków, więc ona już woli „złapać wilka” w Islandii.

— Jula, co ja zrobię bez ciebie! — I już rzucamy się sobie w ramiona.

Chlipiąc, pocieszam ją, że to tylko pół roku i nawet załapie się na mój urodzinowy tort, ale niewiele to pomaga

— Bo ja jestem numerologiczną Dziewiątką. — Krztusi się łzami.

Wydało się, że oprócz astrologii jej nowym konikiem jest numerologia. Zamiast dwunastu znaków zodiaku jest tu dziewięć liczb, a Iwona jest właśnie liczbą dziewiątą, czyli Dziewiątką, która symbolizuje kosmiczną doskonałość oraz to, że Iwona odradzała się już dziewięć razy niczym kot i następnego życia już nie będzie. Będzie za to nirwana, bo Iwona przez te życia tak wspaniale się rozwinęła, że może zniknąć bez śladu.

Ja jestem dopiero Piątką i mam przed sobą jeszcze cztery wcielenia...

— Ale w żadnym, w żadnym my już się nie spotkamy!

Ech, sama się poryczałam, tylko Mateusz popatrywał tak dziwnie... Pomyśleć, że jak tu wchodziłam, byłam przerażona tym, jak zdołam przeżyć bez Iwony pół roku. A przecież cztery życia (przyjmując biblijne siedemdziesiąt lat przeznaczone dla człowieka) to razem dwieście osiemdziesiąt lat babskiego osamotnienia. Straszne!

Czytanie zamiast randek... Skoro Uriel zaplanował już całe nasze życie, to po co się spotykać, żeby je omawiać? Wystarczy w odpowiedniej chwili do niego wskoczyć.

SMS od Uriela:

„JESTEŚ?”

„JESTEM” — odpowiadam.

„WIDZIAŁEM ŁADNE KRZESŁA DO STOŁOWEGO”.

„FAJNIE”.

139

Nie dopisuję, że już mam krzesła, a nawet pokój „stołowy” (bez względu na to, jak okropnie to brzmi), dzięki inwencji jakiegoś koniuszego architekta od schematycznych blokowisk.

„KIEDY W KOŃCU SIE WPROWADZISZ? RODZICE CHCIELIBY CIE POZNAĆ...”

„POWIEDZ IM, ZE MAM RÓWNY ZGRYZ I REGULARNE RYSY”

„NO CO TY?”

„ŻARTOWAŁAM”

„ZJEMY DZIŚ RAZEM KOLACJE?”

Świat wciąż staje na głowie. Znowu modne są „witkiewi-czowskie” pumpy (poszerzają kuper, ale i dają alibi: „Nie mam dużego tyłka, tylko tak wygląda w spodniach” — identyczne odkryłam kiedyś na nastoletnim zdjęciu babci pod Giewontem) i grube, wełniane skarpety. Została mi chyba jakaś para sprzed prawie dwudziestu lat. Nie wyrzuciłam przez sentyment... Ciekawe, czy bardzo urosły mi stopy i czy taka wełna to się nie rozciąga? Podobno „rozciągają” się faceci: według poradników Graya są „jak sprężynka”. Czy ja jestem faceciarą, skoro tak wrednie i z premedytacją odsuwam się od lubego? Rozciągnę się do końca, a potem trach? Nawet kochane „ELLE” uparło się, żeby mnie podreńczyć. Drukuje zdjęcia przystojnych, samotnych „ELLE”-manów, a czytelniczki stają ze sobą w całkiem niesio-strzane szranki i ślą miłosne oferty za ofertami. A jeśli i mnie znęci zakazany owoc? Może to odmładza bardziej niż lifting, bo nie sędzę, by prowadziło do seksualnej niemocy.

Zastanowiłam się i pójdę z Urielem Krzysztofem na tę kolację. Jeśli postawi.

„IDE, JEŚLI STAWIASZ”.

Ekonomia samotnie płacącej za prąd i gaz kobiety ma swoje prawa...

Boże, straciłam Twoją iskrę i zostałam pozbawioną pogody ducha materialistką! To dlatego myślę wciąż o księżciu? Może powiększyć sobie piersi? Komputerowo, na fotce. I przekonać naczelnego polskiej edycji „Playboya”, że jestem „playboyoma-

140

niaczką” i po wydrukowaniu mojego portretu czytelnicy będą słać do mnie (na ręce redakcji, oczywiście) listy pełne miłosnego skowytu, co w konsekwencji podniesie nakład, bo każdy będzie chciał mieć przecież piersiportret „współczesnej Julii”.

Odprowadziłam Iwonę z narzeczonym na pociąg i znowu się po-ryczałam... Odnajduję w sobie nieodkryte dotąd pokłady wrażliwości! Chciałam już krzyknąć: „Zatrzymać pociąg! Zatrzymać pociąg!”, ale moja głęboka intuicja podpowiedziała mi, że Iwona wcale nie byłaby zadowolona z takiego obrotu sprawy. Przestała być społecznym pariasem jako samotna kobieta i została śliczną narzeczoną z perspektywami.

Żeby poprawić sobie nastrój, idę do kafejki naprzeciwko sądu. Zamawiam wielkie ciacho i wielką kawę (z dwiema łyżeczkami cukru i ze śmietanką). Powoli świat nabiera kolorów, ale i wykręca jakoś dziwacznie rzeczywistość. Właśnie zaczynam się zastanawiać, czy w kawie nie było czegoś specjalnego, kiedy zaczepia mnie zażywny osiemdziesięciolatek.

— Czy pozwoli panienka kupić panience jeszcze jedno ciastko?

I dziwić się, że nasze babki na sepiowych zdjęciach wyglądają jak pulpety! Inna sprawa, że nie wypada mi odmówić; staruszek pewnie stoi nad grobem. Dziadek zdecydowanie, acz delikatnie przysiada naprzeciwko mnie i zaczyna referować historię wielkiej miłości. To znaczy historię uczucia, którego prawdziwą możliwą jakość zrozumiał w swoje sześćdziesiąte urodziny, bo kiedyś robił wszystko, by to uczucie spać i usunąć ze swego życia, choć nawet nie był pewien, że ono tam jest...

— Odeszła z kimś innym. A takie miała nogi! Taki temperament! Używała francuskich perfum. Prawdziwa „panienka z dworu”. Była sanitariuszką w powstaniu. Wokół śmierć, a ona za-

różowiona jak po balu... Bardzo odważna. Wtedy też znalazła tego swojego ukochanego, tego swojego Marka, a mnie kazała „pchać rzyć na grubą bertę”.

141

Ho, ho...

— Moja Helenka! O taką wybuchła wojna trojańska! A ty, dziecko, jak masz na imię?

— Julia.

— O, też ładnie. Imię najślawniejszej kochanki nowożytnej! Tyś z Romeem przyniosła pokój na dwa zwaśnione rody... Myślałam, że gdybym w ferworze walki ze strachu i z głupoty nie przespała się z jej przyjaciółką (chyba Jadźka jej było...), zostałyby ze mną.

— Nie. Ona kochała tamtego skrycie i od dawna. I niech pan nie postponuje czynu patriotycznego pokolenia mojej babki — odstawiam zdecydowanym gestem resztkę ciasta.

Bach! Złapał się za serce i osunął głową na stół. Rany bożskie! Mam na sumieniu dziadka! Ktoś musi zadzwonić po karetkę! Muszę zadzwonić do dziadkowej rodziny! Jeśli takową ma...

— Stara wiara — stwierdził lekarz. — Jeszcze pożyje.

Stara wiara? Kiedy na oddział wpadli jego synowie z żonami, zostałam wyzwana od flaków lecących na emeryturę i dolary dziadka. Dobrze sobie! Dolary pewnie dawno spleśniały. Jak znam życie, dziadek trzymał je w słoiku od 1946... W sumie szkoda, że względu na znaki serii byłyby rarytasem kolekcjonerskim.

Sama się czuję jak spleśniały rarytas kolekcjonerski, kiedy docieram do domu dobrze po północy. Nie mogę jednak ukryć wewnętrznej satysfakcji, że moja babcia wybrała odpowiedniego dziadka. Mogłam przecież mieć wielgachny nos i tak wąsko

rozstawione oczy, że nie miałabym możliwości oglądać w kinie panoramicznych filmów.

Zabiłabym za papierosa!

Ubieram się pospiesznie i wybiegam w noc, z kołącą się w sercu jak potępieniec nadzieją, że w sklepie nocnym znajdę ukojenie dla swojego nałogu. Co mnie napadło? Pogoda gorzej

142

niż paskudna; według wszelkich prawideł powinien sypać śnieg, ale pada jedynie deszcz. Brudne błoto sięga kostek.

Dziwnie krzyczy do mnie budka telefoniczna. Tylko się zagrzeję — w końcu telefon mam w domu, nie? Nawet dwa telefony: drugi, komórkowy, wyłączyłam i schowałam głęboko do szuflady biurka. Tylko się zagrzeję...

— Halo? — Nawet nie wiem, kiedy wykreciłam numer. —

Uriel? — pytam niepotrzebnie.

— Tak? — Zaspany głos.

— To ja.

— Julia? Skarbie, wiesz, która jest godzina?

— Musiałam zadzwonić.

— Co się stało? — Słuchawka się martwi.

— W tym sęk, że nic się nie stało... — Przygryzam usta.

— Co?

— Myślę, że trzeba to skończyć.

— Wy, dziewczyny... Co skończyć?

— Nie powinniśmy się więcej spotykać.

— Wiesz co? Za chwilę u ciebie będę.

— Nie dzwonię z domu.

— Ubrałaś się ciepło?

- Uriel...
- Krzysiek jestem! Pomyślałaś, co będzie z naszymi dziećmi?
- Nie będzie żadnych naszych dzieci!
- Czy ty wiesz, co mówisz?!
- Koniec — stwierdzam.
- Pogadamy o tym jutro. To na pewno stres przed mie-
- siączką. Moja siostra...
- Żegnaj, Urielu! — O, jak dramatycznie.

Romansowa heroina nie powinna chyba śmiać się w takiej chwili.

- I ty mi to przez telefon mówisz?
- A co za różnica?
- Dla mnie jest różnica.
- Nie, nie ma różnicy.

143

— Jest! A ty, Julia, jesteś świnią! Tak wszystko przekreślić. — Trzask odkładanej słuchawki.

Jestem świnią. Jestem też bardzo nieszczęśliwa. I bardzo rozsądna. Ale przynajmniej ssanie na nikotynę mi przeszło.

Pozostawanie w związku niewątpliwie stanowi ogromny STRES.

Ostatni raz u Wasioła — żeby się pożegnać. Praca się skończyła. Wiktor zapchał Majkę blejtramami i postanowił wziąć urlop, „żeby ceny na wasioły nie spadły”.

- Niech pan dzwoni do mnie od czasu do czasu...
- Wyślę pani kartkę. — Obiecuje.
- Skąd?
- Z Tahiti. — Mruga.

— Wyjeżdża pan na Tahiti?

— Jak Gauguin — potwierdza. — Mam już dosyć tego zimna...

Raczej oziębłości. Wszyscy wiedzą, że Gauguin pojechał na Tahiti dla Tahitanek. Zupełnie tak samo jak oficerowie napoleońscy gościli w Polsce dla pięknych Polek.

— A Gabriel?

— Wybył gdzieś, ostatnio ma tyle pracy...

Światowa konferansjerka i koncerty skrzypcowe Liszta. Pewnie... Nic bardziej oczywistego. Trzeba się nastawić na powtórne przyście. Hippisi mieli rację. Era Wodnika...

O la, la! Najwyraźniej natykając się z kubłem na mojego eks weszło mi w krew.

— Cześć — rzucam mu na dzień dobry. Mocuje się z jakimiś pakami; próbuje wtaszczyć je do windy. — To ta wiertarka?

Duża...

— Mówiłem ci już, że wiertarkę oddałem! To mój sprzęt — syczy.

144

— Zawsze podejrzewałam, że potrzebujesz jakiegoś wspomagania. — Zadowolona z siebie grzebię w kieszeni spodni, by znaleźć klucz do zamka zatrzaskowego.

— Julia, powinnaś coś wiedzieć... — Stara się przyjąć taki milutki ton, zbyt milutki. — Wprowadzam się do Jagi.

Jakbym dostała kowadłem po głowie...

— Do...?

— Stąd te pudła, gdybyś nie zauważyła.

— A więc Ekologiczna ma na imię Jaga. Baba... — Mam

pod nosem skurcz, który chyba wygląda jak jędzowaty uśmiech.

— Proszę, żebyś tak o niej nie mówiła. To zbędne złośliwości.

— A jej mąż? — W sumie widziałam go ze dwa razy, ciągle w rozjazdach, ale kiedyś chyba siedzi w domu? Michał zaś, o ile pamiętam, nie był zwolennikiem trójkątów — zwłaszcza tych z przewagą osobników męskich.

— Już nie wróci z delegacji.

— Została wdową?

— Spodziewa się dziecka.

— A więc pogrobowiec...

— Będzie miała dziecko ze mną. — Jakby mu parę centymetrów od razu przybyło.

Odwrotnie niż mnie. Dla mnie kilkakrotnie zwiększyła się grawitacja. To jasne, że nie mogę tu dłużej mieszkać. Gdzie ja się biedniutka podzieję?

Na dzień dobry założę drzwi dźwiękoszczelne. I zrobię sobie grzańca.

Anielska podszewka

„Drogi Aniele Strózu”. Nie... „Kochany Aniele Strózu”. Już le-piej, ale czy nie brzmi to trochę jak list siedmiolatki do świętego Mikołaja? Jasne, że nie. W końcu wszyscy wiedzą, że święty Mikołaj nie istnieje. Umarł wieki temu w Mirze, w Azji Mniejszej. Anioły są nieśmiertelne — choć ktoś napisał, że „odnawiają się co rano i powstają za każdym razem, kiedy Bóg nabiera tchu”. Bardzo ładne...

„Jestem w dołku. Rzeczywistość zamknęła się wokół mnie jak jakaś mydlana bańka. Miałam wrażenie, że dzisiaj mi się śniłeś. To był bardzo przyjemny sen. Stąpałeś przede mną, a nie jak zwykle za mną. Wokół było białe. A później się odwróciłeś. Zrozumiałam, że to nie Ty, tylko Nicholas Cage. Wiesz, kto to jest Nicholas Cage? Pewnie, że wiesz. W końcu Wy wiecie wszystko (ale nie wiem, czy Warn tego

zazdroszcze). Nicholas Cage zagrał w filmie z Meg Ryan (tej, co miała romans z gladiatorem Russe-llem) — Miasto Aniołów. Był tam aniołem zakochanym w śmiertelniczce. W ogóle był to świat pełen aniołów: siedziały na dachach wieżowców niczym stada kawek. Anioł Cage postanowił jednak upaść dla swojej ukochanej. Skoczyć w dół z wysokiego domu i rozbić się o ziemię. Stracił skrzydła i zyskał śmiertelność. Byli bardzo szczęśliwi; przynajmniej do chwili, kiedy Meg Ryan wjechała rowerem pod ciężarówkę z drewnem. Czy taka jest zapłata? A jeśli tak, to czy cena nie jest wygórowana? Chciała-

146

bym być szczęśliwa ze zwykłym facetem. To chyba nie jest śmiertelne? Ja śmiertelnie się nudzę (wiem, że mam Ciebie, ale wybacz... Jest też seks i planowanie rodziny. Aha, jeśli uda mi się jeszcze znaleźć jakiegoś kochanka, to gdy dojdzie co do czego, zamknij oczy. Podglądanie mnie w brodziku, gdy byłam mała, to jednak co innego...). Spec od Was, ojciec Sullivan pi-sze: »Ogromna większość mężczyzn i kobiet jest powołana do stanu małżeńskiego. Nie ma dla nich nic ważniejszego niż udane małżeństwo; nic innego nie rujnuje i nie rozbija ich życia tak jak nieszczęśliwy związek małżeński. W tym wypadku anioł jeszcze bardziej niż rodzice stara się o zapewnienie tej wielkiej łaski«. Aniele Stróżu, zostaniesz znowu moją swatką? A propos, jak Ty w ogóle masz na imię? To nie fair, że Ty wiesz o mnie wszystko, a ja o Tobie tylko to, że lubisz przestawiać meble (choć przyznaję, że ostatnio nic z delikatnym napomknieniem nie spadło na moją głowę) i czasami zachowujesz się tak zasadniczo, jakbyś był aniołem Mojżesza, a nie moim. A może nim byłeś? Wybacz, ale zawsze odnosiłam wrażenie, że Anioł Stróż to jakby produkt jednorazowego użytku. Przypisują Cię do jakiegoś poczętego dziecka i już z nim musisz zostać. Chociaż Wy chyba lubicie tę pracę, tak jak alpiniści albo marynarze? Bierzesz czasem wolne od Niego, tam na górze? Raz na dwadzieścia lat? Albo raz na... trzysta? Wiesz, święty Augustyn sądził, że »rozmnażacie się jak muchy«. Niż demograficzny Warn nie grozi i to dobrze, skoro »każde źdźbło trawy ma swego anioła, który mu mówi: rośnij«. Ładnie urosłam, prawda? Aśka też coraz starsza. Och, Aniele Stróżu! O czym rozmawiasz z Aniołem Stróżem Iwony, kiedy my plotkujemy? Ciekawe... A propos, ona chyba znalazła to, czego szukała.

Mam nadzieję, że mnie nie przypadły w udziale łowy na świętego Graala? Myślę, że wcale nie jesteście takimi sztywnia-kami, jak pokazują Was na niektórych obrazach. Myślę, że jednak jesteś podobny do Cage'a. Oglądałeś go w Rycerzu pierwszej damy? Pewnie tak, skoro i ja... Chyba że przysypiasz przed telewizorem. Śpisz w ogóle? Jak byłam mała, to sypiałeś przy

mnie. Pamiętam. Milton opisał Waszą zmysłowość. Pisał, że się kochacie (trochę ochrzaniała go za to ówczesna krytyka lite-racka). Podobno wówczas mieszacie się jak dwa gatunki wina. Jak radzicie sobie przy tym ze skrzydłami? Kiedy ludzie się całują, przeszkadzają im nosy. Mogę sobie wyobrazić te skrzy-dła. Wyobrazić, jak siedzicie na dachach niczym kawki. Jak Was pełno w tramwajach i na uniwersytetach, w bibliotekach, super-samach, na ulicach, że już o kościołach boję się wspomnieć. Anioły z Notre Dame, anioły z kościoła Świętego Krzyża... Jeden z moich praprapradziadów był Bretończykiem. Wstąpił do dru-żyny Napoleona. A kiedy przybyli tutaj, skusiła go piękna Polka zupełnie jak Walewska innego praprapradziadka... W naszej ro-dzinie pozostał po nim rytuał francuskiego powitania »Bon-jour, Monsieur, et votre cher Compagnon«. Ty jesteś moim to-warzyszem. ..

Cholera, niedługo świętego Walentego. Jak długo można szu-kać odpowiedniego mężczyzny? Nie żebym Cię krytykowała, taka na przykład Barcelona ciągle była napadana, a swojemu Aniołowi Stróżowi wystawiła wielki pomnik. Po prostu trochę się niepokoję. Dobra, niecierpliwie. Jestem niekochana".

— Ja Cię kocham.

„W imię Pana, Boga Izraela, niech Michał stanie po mojej prawicy, Gabriel po lewicy, Uriel przede mną, Rafał za mną, a ponad głową przebywa obecność Boga. Wiesz, co napisał jakiś aniołolog o Urielu? Nazwał go »pobożnym, ale niezbyt spostrze-gawczym fizykiem wyznającym filozofie atomistyczne«. Z moim Urielem/Krzyśkiem było tak samo. NIEZBYT SPOSTRZE-GAWCZY. Kiedyś sprawa była prostsza: facet miał zarabiać na dom i płodzić dzieci. Dzisiaj, kiedy my, kobiety, stałyśmy się niezależne ekonomicznie, szukamy kochanka z odrobiną fanta-zji. Nie wstydę się, mam ochotę na superorgazm. Niekoniecznie codziennie, może być od święta. Do tego nie wystarczy sam pe-nis, trzeba jeszcze inteligencji. A Ty go, hm, chyba masz?... Py-tam w kontekście uniwersyteckiego Milтона. O inteligencję nie muszę; cholerny skrzydlaty Einstein. Cage też podobno jest by-

stry. Czy ty wiesz, że on chce się ożenić z córką Presleya? Czy Presley żyje?

Przeziębłam się! Dobrze, że ta praca nie wypaliła, jak powin-na, bo krępowałabym

się wziąć zwolnienie, dostałabym zapalenie płuc i umarła. Anioł świętego Izydora prowadził za niego woły, ale w tym czasie święty Izydor się modlił, a nie smarkał i oglądał TV Fashion. Pewnie dociekas, dlaczego uparłam się na pisanie tego listu w parku, choć jest koniec zimy. To taka świecka tradycja: karmię kaczki, które też są sfrustrowane, bo im kupry przy-marzają do lodu. Czuję się jak Królowa Śniegu, tylko z gorszym profilem... Kaczki są szczęśliwe, kiedy rzucam im kawałki chleba. Gawrony też: podkradały co nieco. Teraz siedzę na ławce (zimny kuper) i piszę. Z rzadka spojrzę w gwiazdy: każda ma swojego Anioła Stróża, zupełnie jak ja. Ciekawe—jestem romantyczna czy sentymentalna? O! Spadająca gwiazda! Meteoryt — czy pomyśleć życzenie? A może to jakiś anioł upadł dla śmiertelniczki? Może będą ze sobą żyć długo i szczęśliwie? Istnieje anioł, który nazywa się Kakabel, „Gwiazda Boża”. Uczy astrologii. Nie wszyscy to aprobują, więc może też został spadającą gwiazdą...

To co, Aniele Stróżu, zostaniesz moją swatką? I ochroniarzem... Ciemno się zrobiło, a grupa blokatorów w czapkach Adi-dasa oblega sąsiednią ławkę. Ławkę, którą muszę minąć, by dojść do domu. Nie chce usłyszeć »Cześć, Julcia«, choć niby skąd mogliby wiedzieć, jak mam na imię?

Aaaa! Hej, tu jest strasznie wielki pies! Chyba owczarek alpaczeki. Połknij mnie, nim tamci zdążą mnie zaczepić... No, spadaj!

O, polizał mnie po ręce".

— Crigio, to Juda...

— Juda, to Crigio, pies stróż (aCe także anioł) świętego Jana

<Bosco.

„Idzie przy mojej nodze. Oooo, warknął na tamtych. Chyba się go boją... Pięknie, pięknie... Nazwali mnie »wypindrzonym gorsetem«, a ten jak zawarczał! Jesteśmy już w pewnej odległości, a nawet niczym za nami nie rzucają. Grzeczny pies, pani da kielbaski".

149

— 'W zasadzie to on nic nie je...

„Śliczny pieseczek, słodki, psuńcia kochana".

— (Psuńcia (Bosco.

„Tak przemarzałam, że nawet w domu jest mi zimno. Nim zrobię sobie kąpiel, dam mu mleka. Może zamieszkałby tu ze mną, zamiast męża?

Gdzie on się, do cholery, podział?! Uciekł! Wydawało mi się, że drzwi zamknęłam, a balkonem ten psi superman chyba nie wyskoczył?! Przecież tu jest cholernie wysoko! Ciekawe, czy jakbym teraz gibnęła za poręcz, to podtrzymałbyś mnie niczym jakąś średniowieczną świętą? Hm, głupi żart, przyznaję... Pleców też mi chyba nie umyjesz, chociaż wiesz lepiej ode mnie, jak wyglądają, i jeśli jesteś aniołem facetem (nawet anielskim), pewnie gapiłeś się nieraz...

Kochany Aniele Stróżu, nie pomyśl sobie, że traktuję Cię jak świętego Mikołaja, ale pomóż mi. Pomóż mi znaleźć faceta... Całuski, Twoja Julia Walewska.

PS

Gdybyś podał mi numery najbliższego totka, pojechalibyśmy na Seszele, J."

Julia schowała pod poduszkę list do Anioła Stróża. I z tym listem przespala całą noc. Kiedyś w szkole chowała pod głowę podręczniki, wierząc zabobonnie, że wiedza sama przejdzie jej do głowy. Wczoraj kopertę ułożyła po pustej stronie przyszłomałżeńskiego łóżka. Pustej czy nie — zrobiła tam miejsce dla Anioła Stróża.

Dzisiaj szybki prysznic, szybkie szczotkowanie zębów. Na-ciaga na siebie dres i siada do najszybszego na świecie śniadania.

— Niezła ze mnie westalka. — Chichocze.

— ZamurowaR6y cię żywcem. Za bra^dzieivictwa. Tafca religia

— tłumaczy anioł, który przycupnął po drugiej stronie kuchenne

go stołu. Gdyby to było możliwe, wyglądałby na zaspanego. Po

ruszył parę razy skrzydłami, by je rozprostować, i oddycha szyb-

150

ko niczym zziąjany szczeniak. Grigio, który przycupnął obok, patrzy na niego podejrzenie.

— Trening buddyjskich mnichów. 'Pobudza. W ten sposób tło

czysz więcej tCenu do fcrwiobiegu.

— JL(e ty nie masz krwiobiegu — mruczy pies i odchodzi ura

żony przez zamknięte drzwi (zgodnie z teorią kwantową), w poszukiwaniu duchowej strawy. Odkąd zmarł Bosco, nie potrafi sobie znaleźć miejsca.

Anioł psychokinetycznie podpala ulatniający się gaz, o którym zapomniała Julia. Kobieta nabija wczorajszą bułkę na widelec, a potem osmala ją nad palnikiem, by była bardziej chrupiąca. Zje ją z dżemem jagodowym.

Potem nad tym samym palnikiem spali list do Anioła Stróża. Energia do energii. Uwolni jego Manitu; potraktuje ciepło jako boski przekaz lub coś w tym rodzaju. Nigdy nie była dobra w metafizyce. Ostrożnie trzyma jeden róg papieru, drugi — ten po przekątnej — przykłada do ognia. Pismo blednie, papier żółknie, brązowieje, zwija się. Spalone drobiny szybują wokół palników. Później zakręca gaz, zbiera delikatnie płatki popiołu, wrzuca do kawy. Zamiesza i wypije.

Z wieszaka w korytarzu zdejmie przesycony zapachem pokoju fartuch z grubego płótna. Dzisiaj będzie pracować.

Rozkłada sztalugi pośrodku jasnego, puszystego dywanu, wybranego jeszcze przez Michała. Wściekłyby się, gdyby zobaczył plamę karminowej farby wsmarowanej nieopatrznie butem. Julia gwizdże na to.

Zdejmuje z gwoździa paletę. Pędzle trzyma w wazonie z Ćmiełowa. Musi się rozgrzać, poczuć od nowa narzędzie, rozsmakować w odcieniach barw. Chociaż tego spojrzenia, naśladownicztwa natury w rysunku i Bóg wie jeszcze czego się nie zapomina. Z malowaniem jest jak z jazdą na rowerze...

Odtwarza martwą naturę identycznie jak w szkole, jak „na studiach”. Na talerzu leżą owoce; mocno połyskujące, bo wywo-

151

skowane. Aż plastikowe od konserwantów. O żywych kolorach, gładkie jak dwudziestoletnie supennodelki.

Anioł Stróż siedzi zaś w kącie i obgryza paznokcie.

List zna na pamięć. I trochę się denerwuje — tym i owym można się zarazić od śmiertelników.

Żeby się nie poślizgnąć

Julia — mama przemawia z namaszczeniem. — Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł.

— Mamo, dla mnie to jedyne wyjście — tłumaczę bezprzewodowej słuchawce telefonicznej „Madę in China”.

— Ale ty przecież nie masz prawa jazdy!

— Owszem mam.

— Co?!

— Zrobiłam je, kiedy miałam osiemnaście lat, w tajemnicy przed wami. I był to cud. A przynajmniej coś cudownego.

— Nigdy nam o tym nie wspomniałaś...

— Mamo, na tym polega tajemnica.

Boże, jak ona ciężko westchnęła.

— Sprawa chyba uległa przedawnieniu, bo jakoś nie mogę się na ciebie złościć... O kupnie samochodu też nam nie powiedziałeś?

— No nie. Samochodu nie mam.

— To jak chcesz tam, kochanie, pojechać?

— Wiktor Wasioł pożycz mi swoją ładę.

— To ten biznesmen?

— Jezu...

— Kochanie, czy on pożycz ci ten samochód za... coś? —

Martwa, pełna zgrozy cisza.

— Mamo, Wasioł ma blisko osiemdziesiąt lat, a łada chyba ze trzydzieści!

— Jak chcesz, kochanie. Tylko pamiętaj, że tam jest zimno i ślisko... No i bywa wysoko...

— Nałożę na siebie wszystko, co mam. — Rzeczywiście, w aucie nie ma ogrzewania. — Pozdrów tatę.

— Julia?

— Tak?

— Czy widzisz przed sobą ścianę?

Nie, widzę przed sobą GÓRY!

Wykoncypowałam, że w tym roku nie zniosę samotnych walen-tynek. Ale nie będę nikogo prosić o towarzystwo! Rzygam, do-prawdy rzygam na widok malutkich tłustych amorków i serc po-rozklejanych na szybach wystawowych. Telepie mnie na myśl o słodkich promocjach dla zakochanych. To znaczy dla tych za-kochanych tradycyjnie i szczęśliwie. Miłość do samej siebie się nie liczy. Chcesz kupić taniej mydełko Fa z różowym serdusz-kiem na zielonym jabłuszku? Musisz odbyć stosunek ze swoim narzeczonym przed kasjerką w supermarkecie. Brrr! Nie znoszę tego cyrku. Nie znoszę, choć jestem rozwódką, a nie starą panną. Nie znoszę, chociaż sama kupiłam sobie walentynkę z kupidyn-kiem i sentencją: Na każdego przyjdzie pora! A najbardziej nie znoszę tego, że ta jędza z korytarza obok dostanie pewnie jedną walentynkę od swojego męża, a drugą od mojego eks! Jestem za-zdrosna i wściekła. Wściekle zazdrosna. Co pomyśli o mnie li-tonosz? Jak ja spojrzę mu w oczy ze swoją pustą skrzynką pocztową?! Nawet nie mam komu się wyżalić, bo Iwona Pierwsza Za-kochana uprawia seks w gorących islandzkich jeziorach gdzieś na końcu świata...

Ludzie! Po co wymyślać takie święta?! Czy wy wszyscy je-ścieście tacy szczęśliwi?!

No więc sprzeciwię się tej obrzydliwej komercjalizacji i wy-jadę w góry! Zamiast piernikowych serduszek antyunijne oscyp-

154

ki! Zamiast beczenia w pojedynkę beczenie ze stadem owiec! I kupię sobie

drewnianą ciupagę zamiast wibratora... Samotne górą! Piotr Pustelnik może sam się wspinać? Może. To i ja mogę... Mogę? Giewont nie jest przesadnie wysoki...

Ja mam lęk wysokości! Dla mnie to będzie Czomolungma!

Zresztą, jak przysiądę sobie na leżaku pod koczykiem, z drinkiem w ręce, to może poderwę jakiegoś cepra?

Jestem bardzo szczęśliwa. Wzięłam życie we własne ręce i przeżywam euforię kobiety aktywnej! Nigdy już nie będę bluszczem owijającym się wokół ludzi, chociaż faceci to nie ludzie... Jestem jak róża ogrodowa. Statua Wolności!

Prowadzenie samochodu to rzecz prostsza, niż mi się wydawało. Prostsza niż surfowanie po Internecie i nauka angielskiego metodą Callana. Dziecinada! Prostsze niż ciągnięcie za sobą plastikowego autobusu na kłębku kordonka!

Wezmę jednoosobowy pokój, a jeśli będę tylko dwuosobowe, to złożę łóżka i będę się na nich byczyć. Nie boję się pójść do restauracji i poprosić o jedno nakrycie ani usiąść samotnie w pubie. Ba, gdybym umiała jeździć na nartach, to nawet na stok poszłabym sama. Może się nawet przełamie i pójde do kina! Rany, brawo, Julia!

O, miga czerwona lampka.

Czy jest tu jakaś stacja benzynowa? Hej, hej, hej... Czy jest tu stacja? STACJA!

Dzięki ci Boże w niebiesiech — jest!

O zesz kurna. Samoobsługowa. JAK SIĘ TANKUJE?

Wezmę się w garść. Zaczę naśladować statystów z reklamy Statoii. Tu odwiesić, tam odkręcić. Włożyć. Nacisnąć. Poczekać. Ha! Jak te cyferki migają. To dystrybutor czy jednoręki bandyta? Może wyskoczą trzy cytrynki i coś wygram? Na przykład płyn do odmrażania szyb albo zapachową choinkę?

155

Szlag! Przełało się. Tylko spokojnie. Nikt tu nie pali. Nikt nie zauważył... Czy benzyna niszczy zamszowe buty?

Pójde teraz do tego popaprańca, co grzeje dupę w ciepłe, zamiast pomóc kobiecie, i jakby nigdy nic mu zapłacę.

— Ma pani łańcuchy?

— Co?

— Mamy zimę. Powinna pani założyć łańcuchy. Tu są góry,
a nie działka rekreacyjna.

A to męska szowinistyczna świnia! Na pewno jestem już cała czerwona. O nie. Nie dam się. Co on bredzi, co to są łańcuchy?

— Oczywiście że mam. Od listopada!

Patrzy grubas jeden z powątpieniem na mój samochód. Po co te łańcuchy? Przekłete duchy noszą łańcuchy. Łańcuchy są w dźwi-gach i w takich palikach ogrodowych. Popapraniec zaraz mi po-wie, że świnie pachną jak poziomki. Zostawię mu napiwek, żeby wiedział, z kim ma do czynienia. Jak śmiesznie rusza nosem.

— Przebrałbym się na pani miejscu. — Skrzywił się. —

I unikał zadymionych miejsc.

To takie oszołomy paliły nas kiedyś na stosach.

— Dziękuję — mówię to takim tonem, żeby nie ważył się wtrącać.

— Pani facet jest dziwak, że panią w taką pogodę puszcza.

No, przynajmniej uznał mnie za atrakcyjną na tyle, by posia-dać faceta... Tylko że ja przecież miałam męża. Rozwiodłam się na własną prośbę. A pieprzyć to, górale to konserwatyści. A cała ta stacja jest okropna, jak z horroru Stephena Kinga. Niby nor-malna, a wystarczy, że się obrócisz... Wynoszę się stąd.

Znowu w zimnym samochodzie, który nie chce zapalić bez ssania. Trzeba było kupić ten odmrażacz do szyb... Ale to innym razem i zupełnie gdzie indziej. Teraz posłucham sobie muzyki współczesnej dziewczyny. Oczywiście Wasioł nie ma w samo-chodzie radia, ale wzięłam magnetofon na baterie.

„HEJ MISTER D.J. * PUT A RECORD ON * I WANNA DANCE WITH MY BABY
* AND WHEN THE MUSIC STARTS * I NEVER WANNA STOP..”

156

*

Jestem tak zrelaksowana (to orzeźwiające górskie powietrze wpychające się w każdą szparę!), że widzę, jak z głośników wyśskakują kolorowe nutki. Relaks! Relaks!

Jakbym była dziewczyną Kena Keseya i próbowała LSD. Tylko że nigdy nie próbowałam LSD, tylko raz je widziałam — w gazecie, na zdjęciu; towar przechwycony od jakiegoś deale-ra... Takie LSD bardzo dziwnie wygląda, jak część układanki dla liliputa albo miniaturowy znaczek. Tylko zamiast Małysza jest kot Garfield. Relaks!

Wokół biało i pięknie. Myślałam, że tylko zielony działa kojąco na zmysły, a tu okazuje się, że biały też. Słońce powoli zachodzi, więc mogłam zdjąć okulary przeciwsłoneczne — światło prześtało się odbijać od śniegu. Kłopot w tym, że zaczynam cierpieć na chorobę wysokościową. Tubylcy muszą się różnić od nas, ludzi z nizin, budową anatomiczną. Wiem, co mówię. Raz po raz mijają mnie mikrobusy prowadzone przez wściekłych górali; dostrzegam przyklejone do okienek twarze pasażerów amatorów narciarstwa... Niedobrze, że robi się tak ślisko, a jeszcze nie widziałam piaskarki. A co mi tam. Nie będę się tym przejmować. Chłonę atmosferę polskich gór. Jadę powoli. Czasem zbyt wolno, gdy Wasiolowy samochód przestaje mnie słuchać.

Panuję nad tym! Tylko po co tutaj tyle niebezpiecznych zakrętów? Oni tu ciągle pijana góralskich weselach i potem są takie pijane plany dróg. Nie żeby mi to przeszkadzało. Dziś czuję się jak Hołowczyc.

Rany boskie! Oczu nie masz, baranie! Syn owcy i gazdy, cholera jasna! Zostań przy nartach, jak się na kółkach nie znasz!

Boże, prawie runęłam w przepaść, a GOPR ma podobno problemy finansowe i kto by mnie biedną z tej zimnej kipieli wyciągnął? Ciekawe, ile tu może być metrów. A może jest już... za wysoko?

Weź się w garść! Weź się w garść! Najważniejsza jest strategia. I dedukcja—jak nie przymierzając u Napoleona Bonaparte.

157

Co... Jaki idiota posadził drzewa na poboczu drogi? Po co? Żeby było ładniej? Przecież można w nie wjechać i zrobić sobie krzywdę... Dzwoni mi w uszach. Chyba pomyliłam sprzęgło z gazem. Chyba mam napad paniki. Oddycham, to znaczy hiperwentyluję... Drzewa... Cholera, dlaczego one są tak blisko? ZBYT blisko.

Lecę! To nie w porządku, ja się boję latać... Aniele Boży, Stróżu mój...

Stoi tu gość, który wygląda tak^ samo jak^ja; gdybym była facetem rzecz jasna. I dużo piła. (Przesadzała z piciem. Z drugiej strony nie jestem pewna, czy to na pewno facet, bo ma jasną kieckę. 'Ta kiecka to żaden modeC z /ELDE" i ma jakiś sakralny charakter (może JArka-dius?). (Bardzo sakralny, więc pewnie to tylko ksiądz. 'To znaczy facet, tyle że z powołaniem, nie z przyrodzeniem... !Nhnne, coś jest nie tak.

— Cześć, Julio.

Myślałam, że się nieźle potłukłam, a tu proszę: nic mi nie jest. 'Najwyraźniej wypadłam z samochodu. Jasno tu... Widocznie śnieg odbija resztki światła. I jest ciepło, z emocji rzecz jasna.

— Mam na imię Ismael.

— My się znamy?

— Od momentu poczęcia. Jestem jakby twoim bratem...

— Mama nic mi nie powiedziała... Jł. była urażona o zwykłe prawo jazdy.

— Chyba nie była...

Oooo, nie jest sam. Szkoda, mogłabym go pociągnąć za język^ Ta kobieta (też w kiece i też ze skrzydłami... To na pewno Jlrkadius!) wygląda zupełnie jak^Monica <Sellucci.

— Witaj, Ismaelu, cześć Julio! Cótowa do podróży?

— Monico, zobacz, jaka ona jest zmęczona...

— To ty wyglądasz na zmęczonego.

158

— Taka praca.

Mówią o mnie!

— Naprawdę masz na imię Monica? — pytam.

— To naprawdę ty?

%iwa głową.

— <Dasz mi autograf?

— Jeśli ze mną pójdziesz...

— Monico, jeszcze nie pora.

— (Dla was nigdy nie jest pora. (Pracoho Cicy.

<3oże, jakjma się rusza. fl. ten facet, Ismael, też sympatyczny gość.

— Ona naprawdę nigdzie z tobą nie pójdzie. — IsmaeC staje za moimi piecami.

— 'Wiesz, kto rozstrzyga.

O, gołąb. (Biały gołąb pocztowy. IIsiadłjej na ręce. Ma liścik^przy nóżce.

— Ty czytasz, Ismaelu, czyja?

— (proszę cię bardzo.

— Cholera!

— Nie będzie autografu? — Trochę mi żat

— Co ma być, nie ucieknie... Ta mata powinna się przespać. Och, uspokój się, IsmaeCu! Nie to mam na myśli. Zestresowany jesteś. (Przy-
dałby ci się urlop incognito.

— Tobie też.

— Cóż, ja nie mogę.

— A widzisz.

— (Ech, byk do końca świata... (Do widzenia, JuRo. (Do zobacze-
nia, IsmaeCu.

(Rany boskie, 'Monica (BeCCucci rozplynęła się na moich oczach. (Do-
słownie. JL gołąb zamachał skrzydłami i odleciał.

— Coś niesamowitego.

— (prawda.

wyglądała!

— Cfidata się podobać. Ma kompleksy.

Co jest nie tak^.. Co nie gra?

— O żesz jak^ rany!

— <Po co tak^ krzyczeć? <Bez paniki, ma tyk spraw na głowie...

Zresztą — zarumienił się — myślałem, że ci wystarczam. %iedyś ko-
chałaś mnie, Judo.

Zemdlałabym, gdyby to Było możliwe. ANIOŁ StfRPŻ! Wiedziałam! 'Wierzyłam!
Całe życie na to czekałam.

— Więc ona... ?

Jednaką mogę zemdleć. Cołębie pióra łaskoczą mnie w nos.

Boli... Moja głowa... Co to? Jest! Światelko w tunelu! Świa-tełko w tunelu! Jestem
fartowną księżniczką, jestem nieznisz-czalna. Jezu, wyszłam z tego! Rany boskie!

Mdli mnie...

Głos... Słyszę głos. Podobno ofiary wypadków ze stłuczony-mi głowami potrafią coś
usłyszeć. Śnieg zsuwa się z szyby. Aj! Jak jasno...

— Halo! Słyszysz mnie pani? Nic pani nie jest? Wszystko
w porządku?

Potakuję niepewnie głową.

— Już panią wyciągam! Przesiedziała tu pani całą noc? To
jakiś cud!

Cud? Pewnie mam zapalenie pęcherza. Zresztą, dlaczego cud? Skoro Eskimosi mogą
mieszkać w igloo, to...

Och, jest! To on! Mój książę! Trzeba było prawie zejść śmier-cią tragiczną, żeby
spotkać kogoś takiego. Czuję się jak Królew-na Śnieżka w kryształowej trumnie... A
on, cały w purpurze (to znaczy w czerwonej czapce i ortalionowej kurtce), pochyla

się nade mną.

160

— GOPR. — Przedstawia się, kiedy jest już pewien, że ze mną w porządku.

— Całe? — pytam rozmarzona.

— Następnym razem radzę założyć łańcuchy...

Okowy miłości... Czuję się jakoś tak... histerycznie i historycznie rozbita.

— Boli coś panią?

— Serce. — Z nadmiaru wrażeń, cholera. Powstań, Łazarzu!

— Może się pani poruszyć? Wszystkie kości są OK.

A ta krew? Widzę krew...

— Rozcięła sobie pani głowę, chyba o kierownicę. Ale to nic groźnego.

Moja krew! Niegroźne?! Mdleję — tym razem bardziej zdecydowanie.

Szpitalnie biało. Nudno. Trochę jak w więzieniu... Chociaż właściwie to nie. Gorzej. W celach są telewizory i magnetowidy. I biblioteka z takimi hitami jak Życie seksualne dzikich Bronisława Malinowskiego i całą masą pouczających kryminalów... Nigdy nie byłam ani w więzieniu, ani w szpitalu. To znaczy w szpitalu byłam, na porodówce, ale nie pamiętam.

WYPUŚCIE MNIE STĄD!

Jutro wypisuję się na własną prośbę, dziś jeszcze trochę poleżę... Nic mi nie jest z wyjątkiem rozbitego czoła (nie będzie śladu). Lekarze myśleli, że załapię się chociaż na lekki wstrząs mózgu, ale nie dałam im tej satysfakcji. Nikt mnie tu nie odwiedza. Nie ma mamy ani taty, ale w końcu to Zakopane i sama prosiłam, by ich nie zawiadamiać (w dowodzie nie mam żadnego numeru telefonu, tylko wzrost w centymetrach...).

Ktoś otwiera drzwi. Mój książę! Przyszedł i daje mi kwiaty! Znaczą kwiat, jeden! Kobaltową różyczkę! Z plastiku!

— Nie wolno wnosić żywych...

Chyba się zakochałam!

— W zasadzie to nawet nie zdążyłem się przedstawić...

161

— Nie. Niech pan nie mówi. Spróbuję zgadnąć. Michał?

— Nie.

— Rafał?

Kręci głową.

— Gabriel?

Głupio się uśmiecha.

— Uriel?

Też nie. Szybciej, szybciej, inne „archanielskie” i „anielskie” imiona...

— Piotr. — Śmieje się.

— Słucham?

— Po prostu Piotrek.

Piotr. Czy to oznacza, że po archaniołach pora na apostołów? Dwunastu?

Sześć miesięcy później

Wspaniale! Wspaniale! Jestem bardzo szczęśliwa. Wokół mnie gorące słońko, nagrany piasek, szumiące morze. W sumie idealne proporcje. Popijam mrożoną herbatę, mocząc tyłek w słonej wodzie (ponoć konserwuje, a to mu nie zaszkodzi). Drinków też nie za wiele; w końcu chodzi o to, żeby się troszeczkę zrelaksować, a nie depresyjnie wtrąbić i iść się topić.

Uwzględniając czynnik, że nie spajają mnie z Piotrem oko-wy małżeństwa ani wspólny genotyp w postaci bardzo młodej istoty ludzkiej (ot, po prostu są to nasze wspólne wakacje), staram się wyglądać superatrakcyjnie. JULIA WALEWSKA JEST KOCIAKIEM. Kupiłam niesłychanie skomplikowany kostium kąpielowy, wycięty w strategicznych punktach, a inne punkty mojego ciała strategicznie podciągający. Jasne, że wołałabym sznurkowe bikini — nawet kilka przymierzałam,

ale wyglądam w nich raczej jak przetrawiony rolmops niż syrenka... Piotr albo naprawdę mnie kocha (co byłoby wspaniałe), albo dał się nabrać na tę tekstylną chirurgię plastyczną. Dla pewności kupiłam

162

wydłużający tusz do rzęs (miauuu) i „napuszyłam” sobie włosy u fryzjera (odrosły na tyle, że można układać seksowne koki, które w odpowiednich momentach rozsypują się jak lwia grzywa). Co prawda przez te włosy jedynie brodzę w morzu (żeby ich przypadkiem nie zmoczył), ale w końcu nie można mieć wszystkiego.

Oho, założę się, że Piotr na brzegu puszcza do mnie oko (nie mam pewności, odkąd zgubiłam szkło kontaktowe. Tylko jedno, a w dodatku zielone). Taaa... Interesujące — jakaś wysoka fala na mnie idzie... Phi, przysięgłabym, że w Bałtyku nie ma rekimów ani takich fal właśnie...

Ratunku! SOS! Mayday! Topię się! Nie umiem pływać! Wo-da! Wlewa mi się do płuc! Szczypie w oczy! Jestem za młoda, żeby umierać! Nie ubezpieczyłam się! Nie mam dzieci! Ciężko mi! Szlag trafił moje włosy! Oj...

— Nie wygłupiaj się, Jula! — Och, dzięki... Aniele Strózu, jesteś super. Piotr wyratował mnie z kipieli. Czuję silne ramiona, które wyszarpują mnie z paszczy śmierci...

— Jula, stań na nogi. Jesteś na płyciźnie.

— Ja się topię...

— Zachłysnęłaś się wodą.

— Wszystko? — Próbuję ściągnąć zasłonę włosów, które oblepiły mi twarz.

— Hej, przepraszam. Ja... Myślałem, że...

Faceci!

— Kocham cię.

Phi.

— Czym mogę wynagrodzić?

Patrzę na niego koso.

— Obiad — mówię.

Najwyraźniej zgłodniałam przez tę walkę z żywiołem, a w żołądku mam ze trzy litry morskiej wody. Piasek i słońko, cholera jasna. W przyszłym roku zostaję w domu i oglądam National Geographic. Tak jest bezpieczniej. Zdecydowanie bezpieczniej. Chyba że wybuchnie kineskop.

163

*

Mogłabym przysiąc, że kiedy oszołomiona wychodziłam z wo-
dy, po plaży snuł się facet w długiej, białej szacie. Był boso i raz po raz unosił się lekko w powietrze, kiedy trafiał na zbyt gorący piasek (najwyraźniej miał wrażliwe stopy). Mamrotał coś pod wydatnym nosem. Gołębie skrzydła trochę mu opadły od soli i wilgoci. Co miałam zrobić? Ryczeć na całe gardło: „Ismael!”? A jeśli jest tu incognito?

— Cześć.

Może nie chciałby się wdawać w rozmowę? Może medytował? Może ma urlop? Może mają tam redukcję etatów? Rany, nawet Kevin Costner w Bodyguardzie miał wychodne niczym przedwojenna służąca. Dam facetowi odzipnąć.

Zresztą, czy to nie byłby obciach, gdybym zaczęła krzyczeć w stronę anioła, którego widzę tylko ja, bo akurat był w pobliżu, kiedy ćwierćwiecze temu tato wlaź na mamę?

Łono natury, cudownie! I jak tu się nie wzruszyć? A pomyśleć, że jakiś czas temu za szczyt przyjemności uważałam kilometrowe spacerunki po centrach handlowych. Miłość uleczyła mój wybujały konsumpcjonizm. Może nawet zostanę antyglobalistką? W akcji walki ze złem wszelakim tego świata skanceruję sobie ciuchy i powycinam z nich wszystkie metki. Gorzej, że zazwyczaj na nich tkwi przepis prania, ale tak chce los! Moje ubrania trafi pralniczy szlag i będę chodzić naga jak pramatka Ewa w ogrodzie Edenu. Piękna wizja: czuję się tak zrelaksowana, że nawet zapominam o cellulitis. Jedyna skórka pomarańczowa,

O jakiej myślę, to ta na zrywaniu wprost z drzewa owocu... Je-

stem mądra. Zerwałabym pomarańczę zamiast jabłka i nikt, do-

słownie nikt nie mógłby przerwać moich rajskich wakacji.

Obok smaźalni ryb wznosi się piaskowa ściana. Jest podziurawiona jak sito dziesiątkami gniazd jaskółek. I całe to ptasie towarzystwo wywija pętle w jakiejś rewii powietrznej, piszcząc

1 furkocząc. Ładnie...

164

W miejscu naszego urlopowania sprzedają koszulki z napisem STILO — KONIEC ŚWIATA. Istotnie, człowiek może tu się tak poczuć.

Plaża jest prawie pusta, nad nią króluje latarnia morska. Na moje oko wysoka, ale chyba taka powinna być latarnia morska. Słabo mi się robi, nawet gdy oglądam ją z dołu. Zupełnie inaczej działa na Piotra: jak skała na kozicę. W końcu pracuje, gdzie pracuje, i bez wspinaczki —jakejkolwiek — długo nie wytrzyma. W sumie byłam zdziwiona, że tak łatwo przystał na wakacje nad morzem. Teraz jednak wszystko rozumiem. Specjalnie wynalazł ten koniec świata z latarnią morską.

— Julia, byłaś kiedyś w takiej?

— Nie. I nie będę.

Znaczy, mogę zaszczycić swoją obecnością jej parter, ale w sumie nie o to mu chodzi, prawda?

— To zrobmy sobie wycieczkę.

— Nie.

— Proszę.

— Nie. — Jestem skała, granit, diament...

— Ja idę.

— Miłej zabawy. — Nawet się nie dąsam.

— A słyszałaś rzymskie powiedzenie?

— Które?

— „Gdzie ty, Kajus, tam ja, Kaja”.

— Czy to propozycja? — Uśmiecham się słodko.

- Tak, wycieczki.
- Jeśli tylko na to cię stać... — Obrażam się podręcznikowe
- Posłuchaj, trzeba walczyć z lękami.
- I kto to mówi!
- Będę cię stale trzymał za rękę. A tam na górze jest pięknie!
- Wierzę ci na słowo.
- To dlaczego, do cholery, masz mieszkanie na dziewiątym piętrze?
- Przypadek.

165

Myślał, że z kim się umawia? Z jakąś cholerną Roszpunką? — Proooszę.

Skoro postanowiłam rozpocząć nowy etap w swoim życiu, to może powinnam się przełamać...

- Julka...
- Dobrze.
- Naprawdę?

Ho, ho, potrafię sprawić, że mężczyzna jest pijany ze szczęścia. Czarodziejka ze mnie. Już mnie mdli. Założę się, że jestem upiornie blada pod tą opalenizną. Już pewnie zzieleniałam.

- Eeee, słuchaj, chyba będzie lepiej, jak zamkniesz oczy. —

Sugeruje Piotr. Zaniepokoił się i dobrze.

- Wniesiesz mnie?
- To parę kondygnacji... Będę cię pilotował.

Ciekawe.

- W górę, dziecinko. Nie ma się czego bać.

Schody są metalowe i głucho dźwięczą pod moimi stopami. Przymocowano je do całej konstrukcji potwornie wielkimi śru-bami. Narzuca się pytanie, czy taka śruba może się odkręcić. Może runę z całą konstrukcją w dół? Śruby są zamalowane, to chyba się jednak nie kręcą... A jeśli to wszystko jest przerdze-wiałe?

— Jeszcze troszeczkę...

Troszeczkę? Czyżby było aż tak wysoko? Co pólpiętro owie-wa mnie wiaterek wpadający przez małe okienko. Dużo tych okienek.

— Zatrzymaj się na chwilę.

— Już?

— Jeszcze nie. W żadnym wypadku nie otwieraj oczu. —

Dyszy, jakby spanikował, ale możliwe, że to mój oddech.

Coś strasznie skrzypi.

166

— Co robisz?

— Otwieram pokrywę. Tu jest wejście na taras widokowy.

— Aha.

To wspaniale.

— Słuchaj, teraz zaczyna się metalowa drabinka. Łap za szczeble i...

Szczeble?

— Noga wyżej... Dzielna kobieta.

— Zmęczyłam się.

— Nie szkodzi. Jesteśmy na miejscu.

— To znaczy, że mogę otworzyć oczy?

— Tak.

O raju! Ha! Cudownie! Przełykam ślinę. I baaardzo wysoko.

— Sama tu weszłam?

Jestem bardzo dumna. Trochę kręci mi się w głowie, ale to nie umniejsza bijącej ze mnie dumy. A może to właśnie objaw choroby wysokościowej? Na przykład słyszę głosy. I to jakie głosy! Chór anielski. Śpiewają aniołowie. O mnie:

(Będę wyżej, (Będę wysoko, (Będę radosna

1 będę sobą.

(Będę wyżej! (Będę wysoko ty} mojej miłości Spleciona z To6ą.

Bomba. Zostałam świętą jak Szymon Słupnik. To taki śred-niowieczny asceta, który medytował na wysokim słupie...

Dobrze, wszystko pięknie, ale chyba nikt rozsądny nie myśli, że ja teraz zejść na dół. Nikt? No to wszystko w porządku. W stu procentach przełamałam swój lęk wysokości. Teraz, za cholere,

167

nie mam ochoty na zejście do parteru. Ciekawe, czy mogą nam tu udzielić ślubu. I czy Ismael przyleci.

— Ismael?!

— Jestem, Judo, jestem...

To dobrze. Bardzo dobrze. Od razu raźniej. A Piotr? Ciekawe, jakiego on ma Anioła Stróża? Chyba że to anielica. Nie że-bym była zazdrosna, w żadnym razie, ale...

Na balustradzie przysiadła mewa. Łypie podejrzliwie okiem, jakby chciała zapytać: „A co wy tu robicie?”.

Zamiast listy płac

ZUZANNA i WŁADYSŁAW WALEWSCY: renesans małżeń-stwa moich rodziców wszedł w fazę „bujną” (co zawdzięczają zdobyczom współczesnej farmakologii i zapamiętanym umiejętnościami wiekowej gorseciarki). Jak wielu dorosłych, którzy

odchowali dzieci na tyle, by nie wydawało się to egoistyczne, złałali bakcyła globtroterstwa. Zaczęło się od zamku w Malborku, który ponoć zsuwa się do jeziora. Teraz są w Wenecji, która po-woli tonie. Bardzo chcieli przepłynąć gondolą pod Mostem Wes-łchnień. Mniemam, że sięgnęli głęboko do kieszeni, by w hote-lu wynająć apartament dla nowożeńców, albo chociaż kwaterę z łóżkiem wodnym.

JOANNA (Aśka) WALEWSKA i BENEDYKT KWIATKOW-SKI: dobra passa młodzieńczego związku trwa. Mogę stwierdzić, że nie tylko nie straciłam siostry, ale zyskałam szwagra (chcą się pobrać, gdy tylko Benedykt skończy dwadzieścia jeden lat. Mają zamiar osiągnąć matuzalemowy wiek i jednocześnie po-bić rekord w długości pożycia). Aśka zastanawia się (w kontekś-cie rodziców), czy nie napisać „Sztuki kochania dwadzieścia lat

169

wcześniej". Naiwnie zaproponowałam, że służę odpowiednimi anegdotami. Stwierdziła zimno, że co najwyżej mogę poprawić błędy ortograficzne. Mimo wszystko wciąż ją kocham.

IWONA i MATEUSZ NORSCY: udało im się przekonać ducho-wego przywódcę Bora-Bora, że powinien zmodyfikować rytuał ślubny, wprowadzając doń druhnę, czyli moją skromną osobę. Co prawda przywódca początkowo zrozumiał ich opacznie i po-sądził wielce subtelnego Mateusza o seksualną bigamię: po euro-pejsku łóżkowy trójkąt. Biednemu panu geologowi dostało się też od kolegów antropologów, którzy uznali, że „niszczy etno-graficzny rdzeń kultury BB". Pan młody przetrwał wszystkie in-synuacje i został szczęśliwym małżonkiem. Młodożeńcy oczekują pierwszego dziecka. Widziałam je na zdjęciu USG — śliczna fasolka. Płci nie udało się jeszcze ustalić. Matka, „która zawsze wie", twierdzi, że to córka. Tak czy inaczej, córka będzie Julią po matce chrzestnej, a uroczystość odbędzie się w Warsza-wie lub w Rejkiawiku. Ewentualny syn to Romeo. Sami wiecie dlaczego.

JAGA (Ekologiczna) SMOCZYŃSICA i MICHAŁ SOSINA: jeszcze w okresie narzeczeństwa doczekali się córki Inez (głębo-ki sopran). Coraz niecierpliwiej czekają na rozwód Jagi. Roz-wieść się w Polsce jest o wiele trudniej, niż pobrać — ma to chronić wartości rodzinne. W wypadku tych dwojga prawo dzia-ła na opak, ponieważ są szczęśliwsi w nowym układzie. Wciąż pozostają z nimi w związku sąsiedzkim. Michał nawet polubił Piotra; tym lepiej dla Michała...

RAFAŁ ZAMOYSKI: poddał się psychoterapii, bo prześlado-wały go koszmary z

dzieciństwa. Dzięki duchowi Freuda za-mieszkującemu w jego uczniach wierzy, że uda mu się jeszcze

170

stworzyć trwały i nietoksyczny związek. Psychoterapeutka Ra-fała stara się wierzyć w to samo, a ponieważ generalnie to empi-rystka i ateistka, kończy seanse hipnozą...

GABRIEL WASIOŁ: jak odfrunął głosić dobre nowiny, tak jesz-cze nie wrócił. Dla świata to dobrze. Ja tęsknię (ale nic z tych rzeczy).

URIEL KRZYSZTOF SZCZYGIEŁ: przyjął do siebie bezdomną poniekąd (mieszkającą z rodzicami) chemiczkę (miałam nosa!). Zostałam poproszona o pomoc w domu weselnym, przy kuchni, ale odmówiłam. Nie ze złościwości, lecz raczej z troski o zapro-szonych gości...

ANDRZEJ (Jędrak) i WANDA STOKŁOSA (oraz Jacek, Placek i pięcioro niewiniątek): małżeńska sielanka. Jędrak dzięki nie-zwykłemu wyczynowi żony (mowa oczywiście o pięcioraczkach) dostał się wreszcie na pierwsze strony gazet i pławi się w swoich pięciu minutach sławy. Wszystkie dzieci są zdrowe i wszystkie otrzymały już indeksy na studia zaoczne od macierzystej uczelni Stokłosowej.

WIKTOR WASIOŁ: umarł dla świata (żyje z pośmiertnej sprze-daży swoich dzieł). Ścigany za romans z szesnastoletnią Tahi-tanką. Pomimo listu gończego nie wraca. Kolejny odkrywca raj.

MAJA i RYSZARD (Purchawa) RÓŻA: wojna Dwóch Róż szczęśliwie zakończona. Ten i ów dostał nawet zaproszenie na uroczystość odnowienia przysięgi małżeńskiej. Długotrwały ro-zejm, który przerodził się w to, w co się przerodził, wyniknął

171

z zaangażowania w sprawę współczesnej Joanny d'Arc — w cy-wilu młodej sprzątaczkę z galerii. Maja widząc, że jej mąż na trwale umyka z jej szponów, uwiodła go w kanciapie i przymu-siła do ponownego „tak”, bełkotliwie grożąc odgryzieniem na-rządu. Niczym w sztuce Esther Vilar doświadczenie wzięło górę nad niewinną młodością...

AMADEUSZ (Amadeo): z Londynu zamiast widokówki z pa-łacem Buckingham (którą chciałam) przysłał mi pocztówkę z ar-tystycznie ułożonym pęczkiem młodych

porów... Narzeka na moje mieszczaństwo i rozdwojone końcówki włosów (których karygodny widok na zawsze prześwietlił klisze jego umysłu estety). Ze stylisty przemianował się na projektanta i zapewnia wokół, że będzie drugim, jeszcze lepszym Arkadiusem, czego z całego serca mu życzę. A co do serca, to znalazł miłość swojego życia. Nazywa się Filip i jest białowłosym, holenderskim modelem o wzroście koszykarza z Harlemu (dzięki, chłopcy, za soundtrack z Dziennika Bridget Jones z autografem Liz Hurley w zastępstwie Hugh Granta).

PAWEŁ SMO CZYŃSKI (pierwszy mąż Jagi): spotkany przy-padkowo na ulicy skinął mi głową na dzień dobry. Wyglądał na wypoczętego i zadowolonego z życia. Zabiera Walusia na weekendy (oczywiście jeśli nie jest w delegacji). Co dziwne, syn udając się z ojcem, w ogóle nie płacze, a wręcz przeciwnie: wciąż przyjemnie się śmieje.

PIOTR i MAGDA (Politańska) DARNOWSCY: on publicznie oświadcza, że jego marzeniem było wybudować bacznię na Gie-woncie, ale został, by ratować honor kobiety. Zyskał ksywę Dodo — po ptakach, które wyginęły tak jak rycerze... Ona zajmuje się hodowlą psów i oglądaniem telenowel. Starają się o dziecko. Tajemnicza Ruda z wesela przeszła w głębokie utajnienie albo zrezygnowała z Piotra i ułożyła sobie życie z kimś innym.

JAKUB i MILENA (Hajdukówna) MOKRASIŃSCY: Kuba ma rzy o funkcji naczelnika więzienia, żeby mógł wszystkich rozsta-wiać. Misce niczego więcej nie trzeba do szczęścia, odkąd zo-stała kobietą, żoną i matką. Ma syna. Rozważnie pamiętając o tym, że męża „złapała na mieszkanie”, świeżo upieczonemu „ojcu” kupiła hektarową hacjendę pod Łęczycą (tę od zezowate-go diabła Boruty) z czterystumetrową rozsypującą się fabryczką, w której rodzina zamieszkała. W przekonaniu Miśki Mokra-sińskiej porządny remont przełamie każdy małżeński kryzys.

KSAWERY: po prostu Ksawery — niereformowalny łamacz niewieścich serc i dusz (prywatnie założę się, że ludzki związek kynologiczny wyprowadził jego drzewo genealogiczne od Don Juana). Podobno (wiadomość niepotwierdzona) wziął przykład z Richarda Gere'a i zaszył się w Indiach (w Tybecie zbyt niebezpiecznie), poszukując duchowego oświecenia. Ostatnia (chronologicznie) zakochana z widocznym już brzuszkiem czeka na jego bezpieczny powrót...

Postscriptum

Drogi czytelniku, czy wiesz, i(e) aniołów może się zmieścić na łebku szpilki?

